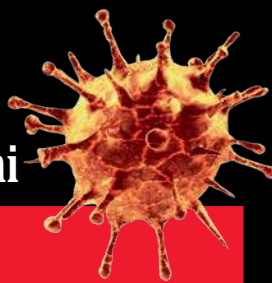


ROZMOWA „DO RZECZY”

Odszkodowania za lockdown
– na co mogą liczyć poszkodowani



Warzecha wlepia mandat
polskiej policji

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 10/415 8–14 MARCA 2021

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



DODATEK SPECJALNY:
IGA ŚWIĄTEK
I INNE WIELKIE
POLSKIE TENISISTKI

TVN i TVN24
drżą w posadach



**Nowa biografia
Adama Michnika
– analizują Piotr Semka
i Rafał A. Ziemkiewicz**

PROROK, KTÓRY ZAWIÓDŁ



ISSN 2299-8510

Nr indeksu 288829

Nakład: 57,5 tys. egzemplarzy



**PARTNER
STRATEGICZNY
NAGRODY**



WIZJONERZY

ZDROWIA 2021

**„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA
W POLSCE 2021–2023”**

**INFORMACJE I ZGŁOSZENIA DO NAGRODY NA:
dorzeczy.pl/wizjonerzy-zdrowia**

Transgenderowe imperium



PAWEŁ LISICKI

W księdze Koheleta można przeczytać: „Cóż to jest, co było? To samo, co potem będzie. Cóż jest, co się stało? To, co się stanie. Nie ma nic nowego pod słońcem i nie może nikt mówić: »Oto to jest nowe«, już bowiem istniało w wiekach, które były przed nami”. Słowa te w pewnym tylko sensie trafnie opisują naszą rzeczywistość. Na dobre czy na złe, czy tego chcemy, czy nie, współcześnie musimy zderzać się wciąż z rzeczami, które są nowe, których nie było przed nami ani nie pojawiły się, przynajmniej w dokładnie takiej samej postaci, nigdy pod słońcem. Podkreślam „dokładnie takiej postaci” – bo w dziejach od wieku XVIII pojawiały się państwa odwołujące się do globalnej, uniwersalnej ideologii, których przywódcy

naszych oczach i to w miejscu, gdzie jego objawienia nikt (a przynajmniej nikt w Polsce, tak w Ameryce zakochanej) się nie spodziewał. Nie mam wątpliwości, że wraz ze zwycięstwem Joe Bidena na mapie świata pojawił się nowy rodzaj bytu politycznego – imperium transgenderowe.

Zamiast bronić wolności i niezależności sumienia, dzisiejsza Ameryka jest i będzie w coraz większym stopniu głównym oponentem wolnej debaty. Można się spodziewać, że będzie też przeciwnikiem swobodnego działania Kościołów i wspólnot wyznaniowych, które nie będą chciały ulec dobrej nowinie transgenderyzmu. Zgodnie z nią każdy sam od pierwszej chwili świadomości (na pewno dotyczy to już kilkuletnich dzieci) decyduje, jaką płeć i jaką tożsamość seksualną sobie wybierze. Podobnie każdy sam ma prawo wybrać formy ekspresji swojej seksualności, a każdy, kto mu w tym wyborze będzie chciał przeszkadzać – czy to rodzice, czy autorytety religijne – musi się liczyć z represjami państwa. Każdy też, kto próbuje oceniać homoseksualizm czy transpłciowość w kategoriach moralnych, musi zostać z debaty publicznej usunięty.

Że to, co piszę, nie jest zapisem majaków prawicowych radykałów, najlepiej pokazuje sam prezydent Biden. W pierwszym zwycięskim przemówieniu nie tylko podziękował osobom transpłciowym, lecz także od razu jednoznacznie poparł osoby identyfikujące się z programem politycznym lobby LGBTQ. Nie była to kurtuazja. Ideologia genderowa, tak jak każdy inny przejaw umysłowej obsesji ludzkości, nie ogranicza się tylko do jednej sfery – musi objąć i podporządkować sobie całość ludzkiego życia. Nie tylko prawo, politykę, lecz także kulturę, sport, edukację. Oraz, przykro to powiedzieć, armię. Dlatego prezydent Biden ledwo wygrał, zachęcił do służby w amerykańskim wojsku

jawnych „transów”. Mało tego. Nowy gospodarz Białego Domu już ogłosił, że wyeliminowanie „transfobii” jest jednym z najważniejszych celów wojska. Na razie szef Departamentu Obrony uznał, że walce z fobiami (homo i trans) amerykańskie jednostki będą poświęcały jeden dzień w miesiącu. Jestem przekonany, że to nie wystarczy. W nieodległej przyszłości zatem w wojsku USA pojawi się, przypuszczam, instytucja genderowych politruków, którzy będą wtłaczali żołnierzom odpowiedni przekaz i tropili niebezpieczne odchylenia.

Jednak prezydent postanowił nie tylko zmienić armię. Miesiąc temu ogłosił specjalne memorandum w sprawie przestrzegania praw człowieka wobec lesbijek, gejów, osób biseksualnych, transpłciowych, queerowych i interseksualnych na całym świecie. Zgodnie z nim „wszyscy ludzie powinni móc żyć bez strachu, bez względu na to, kim są i kogo kochają”. Biden wezwał wszystkich dyplomatów i wszystkie amerykańskie instytucje, by te „rozszerzyły wysiłki na rzecz zwalczania dyskryminacji, homofobii, transfobii i nietolerancji ze względu na status lub zachowanie LGBTQI+”.

Tak gruntowna zmiana polityki, nie tylko wewnętrznej, będzie miała poważne skutki dla ładu międzynarodowego. Można zakładać, że jeśli USA, jak wszystko na to wskazuje, coraz bardziej kierować się będą genderyzmem, to może to w istotnym stopniu pociągać za sobą wzrost napięcia i destabilizację świata zachodniego. Doprowadzi do podziału na tych, którzy nową wiarę przyjęli, i na tych, którzy ją odrzucają. Presja będzie wzmacniać opór i podkopywać zaufanie. Poza tym historia uczy, że kierujące się agresywnymi, uniwersalnymi ideologiami państwa szybciej gotowe są odwoływać się do siły, by swe utopijne wizje zrealizować. A to zawsze zwiększa ryzyko. ©©

RYСУNEK TYGODNIA



przypisywali sobie prawo nauczania, a często i wymuszania na innych dostosowania się do swego rozumienia szczęścia ludzkości. Ostatnim takim przykładem ideologicznego, zaborczego imperium był szczęśliwie złożony do grobu nie tak całkiem dawno Związek Sowiecki.

Jest niebywałą ironią losu (sam gotów jestem w tym upatrywać dowodu na to, że Opatrzność obdarzona jest, jakkolwiek by to osobliwie brzmiało, swoistym poczuciem humoru), że nowy typ ideologicznej potęgi o zaborczych ciągach właśnie zrodził się na

KRAJ

22 KAMILA BARANOWSKA
PRAGMATYZM KONTRA EMOCJE
Zjednoczona Prawica jest podzielona

24 ROZMOWA Z RYSZARDEM CZARNECKIM
DWA SKRZYDŁA PRAWICY

26 ŁUKASZ WARZECHA
POLICJA MA SŁUŻYĆ

28 TOMASZ ROWIŃSKI
TVN DRŻY W POSADACH

30 RADOŚLAŃ WOJTAS
SKRUSZONE ZAGROŻENIE

32 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
SEN O WIEŻOWCACH

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
CZAS NOMADÓW
Złote Globy rozdane po raz 78.

36 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
KOŁCHOZY LITERACKIE

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

44 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
**POLEMIKA „DO RZECZY”:
SPÓR O POLSKIE KINO**

DODATEK SPECJALNY

45 KŁAMSTWO
„POLSKICH OBOZÓW ŚMIERCI”



Prawna obrona przed polonofobią



TEMAT TYGODNIA

14 PIOTR SEMKA
**PORTRET UWODZICIELA (NIEMAL)
DOSKONAŁEGO**
Nowa biografia szefa „Gazety Wyborczej”

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
MESJASZ, KTÓRY NAWALIŁ

OPINIE

62 JAN FIEDORCZUK
WYCHOWANEK SALONU
PSL bez wsparcia zniknie z Sejmu

64 RYSZARD GROMADZKI
SZTUKA BALANSU

HISTORIA

66 PAWEŁ PORAŃSKI
TAJEMNICA CLYDEBANK BLITZ
Wyrok śmierci na szkockim mieście

70 ŁUKASZ CZARNECKI
PIERWSZA SUPERMODELKA

ŚWIAT

72 JACEK PRZYBYLSKI
POWRÓT TRUMPA
Kiepski start Joe Bidena

74 PIOTR WŁOCZYK
RASISTOWSKI ANTYPASIZM

EKONOMIA

78 ROZMOWA Z TOMASZEM CHUDZINSKIM
ODSZKODOWANIE ZA LOCKDOWN
Jeśli państwo wywołało szkody,
to powinno je naprawić

80 JAKUB WOZIŃSKI
**REBELIA CIUŁACZY
I ZDRADA ROBINHOODA**

DODATEK SPECJALNY

85 TENISOWA
SIŁA KOBIET



O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
**ZATRZYMAĆ
WŁÓKNIE**
Choroby płuc,
które rozwijają się skrycie

92 ROZMOWA
Z PROF. MARKIEM BRZOSKO
**GDY NIE MOŻNA
ZŁAPAĆ POWIETRZA**

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (9), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (10), GMYZ, GOCIEK (13), ZYCHOWICZ, KOPER (68), PRZYBYLSKI (76), GABRYEL, WARZECHA (84), KOMUDA (94), ZALEWSKI, WOŁCZYK (96), NOWAK (97), CEJROWSKI (98)



*Polska Grupa
Energetyczna*

MOC BAŁTYCKIEGO WIATRU W TWOIM DOMU



Drodzy Czytelnicy!

Przypominamy, by korespondencję elektroniczną do redakcji przysyłać na adres: listy@dorzeczy.pl.

Gdzie jest raport?

Niedawna wypowiedź prezydenta Niemiec F.W. Steinmeiera przypominała, że wciąż nie doczekaliśmy się publikacji „raportu Mularczyka” w sprawie wysokości odszkodowania za straty poniesione przez Polskę w czasie drugiej wojny światowej. Sam poseł, Arkadiusz Mularczyk, w niedawnym wywiadzie po raz kolejny powtórzył, że „niedługo raport będzie gotowy”. Nie jestem naiwny i nie spodziewam się, żebyśmy kiedykolwiek doczekali się zadośćuczynienia ze strony Niemiec. Jestem jednak przekonany, że zgromadzone w trakcie prac nad raportem materiały są świetną okazją do „edukowania” Europy i świata. Nie tak dawno przekonaliśmy się, i ciągle się

zostały wykonane na potrzeby raportu. I nie zbiorczo, kompletnym raportem, który będzie medialnie żył zapewne parę dni, najwyżej parę tygodni, ale właśnie pojedynczymi, wybranymi faktami, takimi jak: masowe egzekucje, zagłada miast, los wsi, los polskich dzieci, mordy na polskich uczonych, rabunek dzieł sztuki, zniszczenie archiwów oraz muzeów i wiele innych. Można do tego wykorzystać kolejne rocznice związanych z tym wydarzeń. Temat reparacji powinien być regularnie nagłaśniany i dobrze się stało, że poseł Mularczyk podjął go na niedawnej sesji Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Niezależnie od kontrowersyjnych opinii wygłaszanych przez uczynnych niemieckich prawników i ekspertów kwestia zadośćuczynienia nie powinna podlegać żadnym kalkulacjom politycznym czy dyplomatycznym. Świat musi znać prawdę.

**Adam Zubek,
Warszawa**

„Ścisły umysł bratanka Feliksa Perla”, Piotr Semka, „DRz” 9/2021

Szanowni Państwo!
We wspomnieniu Piotra Semki o Janie Lityńskim w nr. 9 „Do Rzeczy” znalazło się kilka błędów, które pociągnęły za sobą błędny tytuł artykułu.

1. Jan Lityński nie był bratankiem Feliksa Perla. Bratankiem tego wybitnego działacza PPS był ojciec Jana – Ryszard Perl-Lityński. Piszą o tym Jacek Kuroń we wspomnieniach „Gwiazdny czas”, wyd. Aneks, Londyn 1991, s. 39 (gdzie zdanie „był on bratankiem Feliksa Perla” odnosi się do ojca Jana Lityńskiego) oraz Bolesław Gleichgewicht w książce „Widziane z oddali”, s. 30, dostępnej także on-line <http://www.andso.org/wyspa/BG/02.html>. Między Janem Lityńskim a Feliksem Perlem jest różnica dwóch pokoleń – ich daty urodzin dzieli 75 lat.

2. Jan Lityński nie był walterowcem. Pisze o tym wprost Jerzy Eisler w monografii „Polski rok 1968”, wyd. IPN, Warszawa 2006, s. 63. Był natomiast członkiem Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności.

3. Jan Lityński ukrywał się w latach 1983–1986, a nie 1983–1984, członkiem tajnej RKW był natomiast w latach 1984–1986 (do momentu ujawnienia tej struktury), następnie był także członkiem jawnej RKW.

[...]

**Pozdrawiam serdecznie
Paweł Kwiatkowski**



przekonujemy, jak bardzo nikła i wypaczona jest w świecie wiedza o tym, czym była dla Polski okupacja niemiecka. O polskich obozach zagłady nie ma co już wspominać. Ale pamiętam zdziwienie byłego prezydenta Niemiec, R. Herzoga, gdy dowiedział się, że powstanie warszawskie to coś innego niż powstanie w getcie. Albo wiedza na temat Wielunia. W Europie nadal pokutuje przekonanie, że druga wojna światowa rozpoczęła się w 1941 r. agresją Niemiec na Związek Sowiecki. Dla wielu szokiem są zdjęcia Warszawy z 1945 r. Polska kojarzy się przede wszystkim z zagładą Żydów, natomiast okupację w Polsce Francuzi, Holendrzy czy Włosi zapewne wyobrażają sobie jako coś w stylu angielskiego serialu „Allo Allo!”.

Nie trzeba czekać na publikację raportu (można podejrzewać, że działają zapewne siły, które wstrzymują jego publikację). Polskie instytucje, ambasady, fundacje powinny nieustannie, co miesiąc, co dwa, co kwartał bombardować świat, a zwłaszcza Europę, faktami i obliczeniami, które



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojaś**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiński

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Cioś (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czański, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn,
Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Tomasz Równicki, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Toraniński, Szwach Weiss,
Piotr Włoczek, Marcin Wojski, Małgorzata Wokczyńska, Jakub Wozinski,
Tomasz Wróblewski, Igor Zaleski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska,**
Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
Przemysław Harczuk, Paweł Jzdziarski

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański,**
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysowniki: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa**
Okładka: **Tomasz Wierzejski/FOTONOVA, Wojciech Stróżyk/REPORTER,**
oprac. graf. **Sunday/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawcą tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Ilona Weiss, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 57,5 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

DO RZECZY TYGODNIK LISICKIEGO



PARTNER
STRATEGICZNY
IX EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2021





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Lekcja pokory

Wyznam na samym początku. Lubiłem Józefa Piniora. Ktoś, kto tuż przed 13 grudnia 1981 r. sprzątnął komunistom sprzed nosa 80 mln zł z konta Solidarności, musiał być kochany w latach stanu wojennego przez miliony Polaków. Także później miałem ze spotkań z Piniorem miłe wspomnienia. Zawsze rozmawiał ze mną bardzo życzliwie. Ceniłem to tym bardziej, im mocniej on sam kierował się ku lewicy.

Dlatego w sprawie zarzutów korupcyjnych wobec Józefa Piniora starałem się nie zabierać dotychczas głosu. Odnotowałem pierwszy wyrok uznający jego winę, ale czekałem na uprawnienie werdyktu. I to właśnie nastąpiło.

W grudniu 2016 r. wiele z solidarnościowych i intelektualnych sław podpisało list w obronie Piniora. Lista podpisów była imponująca: od Władysława Frasyniuka do lidera szczecińskich strajków z 1988 r. Edwarda Radziejewicza.

Dlaczego ci z nich, którzy żyją do dziś, nie mają odwagi zabrać

głosu i powiedzieć: „Myliłem się”, „Udzieliłem kredytu zaufania na wyrost”? „Gazeta Wyborcza”, relacjonując wyrok, pisze w tytule: „Legenda Solidarności: »wyrok świadczący o upadku wymiaru sprawiedliwości«”. W tytule zabrało informacji, że ta oburzająca się na werdykt legenda Solidarności to sam Pinior.

I kolejna nieprzyjemna myśl: W jakim stopniu, uczestnicząc w licznych protestach przeciw zmianom w sądach, Pinior walczył o swoją bezkarność? Mógł przecież zakładać, że sędziowie, którzy będą decydować o jego losie, mogą złknąć się skazania go, nie chcąc, by przyłgnęła do nich łaska wykonawców zlecenia ze strony PiS.

Nie wierzę, by we Wrocławiu nie można było sobie wyrobić opinii na temat tego, czy sprawa Piniora naprawdę jest polityczną szykaną, czy coś jest jednak na rzeczy. A jednak zadziałał instynkt obrony Piniora, bo jest „nasz”.

Były opozycjonista z Krakowa, Bogusław Sonik, napisał: „Józef Pinior to szlachetna postać, wołałbym, by po prostu powiedział, że

się pogubił. Miał swój czas odwagi”. Nawet takiej ostrożnej próby poradzenia sobie z nieprzyjemną prawdą o byłej solidarnościowej sławie nie słysząc z kręgu kombatanckich sław Wrocławia.

Józef Pinior nadal głosi swoją niewinność. Mówi: „Udowodnię ją w europejskiej przestrzeni prawnej oraz przed Trybunałem Praw Człowieka w Strasburgu”. Znając obyczaje w europarlamencie, wielu polityków zachodniej lewicy uwierzy Piniorowi na słowo i będzie podawać jego sprawę jako przykład łamania praworządności w Polsce.

Zapytałem jednego ze starych opozycjonistów wrocławskich, jak tłumaczy sobie wejście skromnego ideowca z 1981 r. na drogę korupcji. Odpowiedź była prosta: „Jak się zostaje sławą za życia, bardzo łatwo uznać, że wszystko, co się robi – nawet ewidentne łamanie prawa – ma jakiś drugi wznioślejszy wymiar. Józek, zanim wziął podsuwane mu przez asystenta pieniądze z łapówek, musiał oszukać samego siebie. I to jest w całej sprawie najbardziej przykre”. ©©



FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

POLSKA MA NAJNIŻSZE BEZROBOCIE W CAŁEJ UNII

Według Eurostatu w styczniu 2021 r. stopa bezrobocia w Polsce wyniosła 3,1 proc. To najlepszy wynik w całej Unii Europejskiej. Tymczasem u progu wejścia do UE, w styczniu 2002 r., Polska miała najwyższe bezrobocie wśród wszystkich krajów wspólnoty (19,4 proc.). Obecnie wśród państw o najniższym bezrobociu są jeszcze: Czechy, Holandia, Malta, Niemcy, Słowenia oraz Węgry. (jap) ©©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Gotowy na wszystko

Na stronie internetowej ruchu Wspólna Polska Rafała Trzaskowskiego ostatni wpis pochodzi z 27 stycznia („wspieramy Strajk Kobiet”). Chyba mniej więcej w tym samym czasie administrator dokonał ostatniej poważnej zmiany: usunął witający wcześniej wchodzącego licznik, oznajmiający, ile osób zarejestrowało się już na stronie jako sympatycy ruchu. Można jednak wciąż ten licznik znaleźć, nieco głębiej. W tym tygodniu podawał z dumą: jest nas już 18 619! Do 10 mln wyborców z drugiej tury, których miał ruch Trzaskowskiego „zagospodarować”, trochę brakuje.

Ruchowi nie chce się nawet odnotowywać aktywności swego lidera. A ten przecież wciąż

udziela wywiadów, dzieląc się z wyborcami cennymi myślami i zapowiedziami. Na przykład: „Musimy zrobić wszystko, by PiS jak najszybciej oddał władzę, to nasz obowiązek”. Taka jest najcenniejsza myśl, wyrażona przez Trzaskowskiego w ubiegłotygodniowym wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”. Choć inne są nie mniej błyskotliwe: „Kaczyński już szuka uzasadnienia dla swej porażki”. I choć „możliwe, że dotrąją do końca kadencji”, to możliwe także, „że wywrócą się w przeciągu dwóch, trzech miesięcy”. Dlatego „opozycja musi być gotowa na każdą możliwość”, bo „wszystko lepsze niż trwanie PiS u władzy”. Ba, tylko co zrobić, skoro „wszyscy wiemy, że przy sile telewizyjnej piśmowskiej

propagandy za miliardy trudno jest konkurować na prawdziwe argumenty”?

Nie wiem, jak to ostatnie zdanie pogodzić z twierdzeniem, że to Kaczyński już szuka usprawiedliwienia przyszłej przegranej, ale jest w nim pewien optymizm: zdaniem Rafała Trzaskowskiego Platforma Obywatelska ma jakieś argumenty, i to nawet „prawdziwe”. Na razie nadzieja opozycji nie dzieli się nimi z czytelnikami „Gazety Wyborczej”, ale to zrozumiałe. Po pierwsze, ci akurat wcale żadnych argumentów nie oczekują, a po drugie, nie można posiadanych argumentów przedwcześnie ujawnić, bo nie będzie zaskoczenia. Pewnie dlatego nawet własny ruch nie nagłośnił tego jakże błyskotliwego wywiadu swego lidera. A szkoda. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Odwagi, jak mówił Danton!

Polityczny ruch homoseksualny rozwija się nieprzerwanie, bo najpierw skrajna lewica przekonała lewicę, by zaangażowała się w jego poparcie, a potem lewica, używając mocnych i przygwałdzających argumentów typu „każdy ma prawo do szczęścia” (bez kombinacji w rodzaju „światopoglądowej kwestii subiektywnego sumienia”), przekonała centrum, a potem i „centroprawicę”. A mogło być inaczej; zróbmy taki myślowy eksperyment.

Gdy w 2013 r. projekt małżeństw homoseksualnych wywołał masowe protesty we Francji, Partia Socjalistyczna wpadła w panikę. Prezydent Hollande natychmiast zapowiedział inicja-

tywę jednoznacznie odwołującą najbardziej radykalne propozycje homoseksualnej ustawy Mariage pour Tous. Zmienił się język, politycy przestali mówić o LGBT („to obciach używać takich amerykańskich terminów”), a zaczęli o „pourtousistach”. Ci zaczęli protestować: święte prawa osób LGBT to nie jakaś subkultura czy ideologia, nie żaden „pourtousizm”! Ale im bardziej się burzyli, tym bardziej schodzili na margines. Na zamkniętych posiedzeniach kierownictwa PS liderzy krzykali na aktywistów popierających „pourtousistów”: „Nie widzicie tych setek tysięcy?! To nie tylko Paryż, to Marsylia, Lyon, oni są wszędzie! Nie rozumiecie? Jak będziemy upierać się przy homoseksualnych

małżeństwach, to po następnych wyborach zakazą aborcji, a po kolejnych – rozwodów”!

Wszystko to piękna bajka oczywiście, oprócz naprawdę milionowych manifestacji Manif pour Tous w obronie rodziny i rodzicielstwa. Republika jedna i niepodzielna potrafiła jednak stanąć twardo po stronie „postępu społecznego”, więc postęp potoczył się dalej. Był i jest jeszcze jeden, ogólniejszy powód. Niezależnie od swego oportunizmu przywódcy lewicy naprawdę żyją mistyką rewolucji. To ich dziedzictwo i tożsamość. A cywilizacja chrześcijańska dla liderów „centroprawicy” – liberalnej czy radykalnej – to jedynie gasnący nastrój ich wyborców. I dlatego gaśnie. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Odbielamy się!

Próbujmy być mniej biali – zachęca specjalny program szkoleniowy dla pracowników gigantycznego koncernu Coca-Coli. Kurs „odbielania” w ramach walki z rasizmem zatytułowano „Lepiej razem”. Ma pomóc w „budowie inkluzywnego środowiska w miejscu pracy”.

Dlaczego trzeba się odbielić? Ano dlatego, że według najnowszych trendów postępowej myśli rasa biała cierpi na kompleks wyższości wobec ras innych, szczególnie czarnej. Program odbielania dla pracowników Coca-Coli opracował nie byle kto, bo

Dama twierdzi, że „rasy w sensie biologicznym nie istnieją, ale jako koncept społeczny mają ogromny wpływ na każdy aspekt naszego życia”. Pani DiAngelo, co uczciwie przyznaje, pełnymi garściami czerpała z podobnych postępowych teorii dotyczących płci. I wyszło jej, że rasa jest konceptem społecznym stworzonym przez białych, by gnębić rasy inne. Nie jest do końca jasne, czy człowiek biały rodzi się rasistą, ale na pewno w procesie wychowania nim się staje. W każdym razie, twierdzi DiAngelo, biali są winni stworzenia „rasizmu systemowego”. Co za tym idzie, wszystkie blade twarze to niestroniący od przemocy opresorzy, rasiści i aroganci.

Nie wszystko jednak stracone. Jeśli rasizm jest efektem społecznego zaprogramowania białego człowieka, to można i trzeba białego człowieka odprogramować, czyli dzięki kursom i właściwej edukacji „odbielić”. Niestety, perswazja nie zawsze jest skuteczna. Znany amerykański aktywista antyrasistowski Ibram X. Kendi twierdzi, że jedynym remedium na dyskryminację rasową czarnych jest dyskryminacja rasowa białych. Słowem – trzeba zwalczać rasizm rasizmem.

Na razie YouTube zawiesił kanał szachowy za zdanie „Białe atakują czarne”. Zaczynamy się rozstawać z rozumem. ©

**O ROBIN DIANGELO CZYTAJ
TAKŻE W TEKŚCIE „RASISTOWSKI
ANTYRASIZM” NA STR. 74**

pani Robin DiAngelo (biała Amerykanka), obecnie wiodący autorytet w kwestii walki z rasizmem. Jest autorką książki „White Fragility” („Niepewność białych”), która przez 70 tygodni znajdowała się na liście amerykańskich przebojów wydawniczych „New York Timesa”. Właśnie wyszło włoskie wydanie.



ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Wartości na każdą okazję

W Krakowie płonęła historia. W pożarze archiwum urzędu miasta z dymem poszło ok. 200 mln dokumentów, w tym np. książka meldunkowa Wisławy Szymborskiej. Na Twitterze Grzegorz Krzywak poinformował: „Rzeczniczka Jacka Majchrowskiego powiedziała, że zniszczony w pożarze dokument meldunkowy Wisławy Szymborskiej nie jest już potrzebny, bo przecież wiadomo, gdzie mieszkała”. Wyobraźmy sobie (oby słowa me ugrzęzły na tej stronie i nigdy się z niej nie wydostały), że w Krakowie płoną obrazy Matejki i, załóżmy, mój ulubiony „Szał uniesień” Podkowińskiego. Pani rzecznik Krakowa ma na taką katastrofę gotową odpowiedź: „Nawet jeśli spłonęły, to przecież wiemy, jak wyglądały”. Krakus Wojciech Mucha na TT w sprawie pożaru dodaje: „W Archiwum Urzędu Miasta Krakowa były kilometry pozwoleń na budowę, decyzje o warunkach zabudowy, odszkodowaniach, zwrotach, wywłaszczeniach i zagospodarowaniu terenu. Także z lat transformacji i XXI w.: Cóż, od „Ziemi obiecanej” Reymonta wiemy, że są pożary, które się opłacają..

Tymczasem znany dziennikarz sportowy i poseł Koalicji Obywatelskiej Tomasz Zimoch odszedł z Koalicji Obywatelskiej. Posłanka Platformy Obywatelskiej Iza Leszczyna postanowiła to skomentować na TT w nieco szerszym kontekście: „Redaktor Chrabota powiedział, że Tomasz Zimoch przyszedł do polityki dla wartości, że nie jest doświadczonym politykiem i dlatego odszedł z KO. Ja też jestem w polityce dla wartości, ale jestem doświadczonym politykiem i właśnie dlatego zostaję w Platformie Obywatelskiej”. Wartości są więc czymś bardzo elastycznym, jednym pozwalającym odejść z opozycji, a innym właśnie w niej pozostać. Dla każdego coś miłego.

Najbardziej krytyczny profesor na polskim TT Stanisław Żerko postanowił skrytykować redaktora naczelnego Bartosza Węglarczyka, który skrytykował podpisanie ustawy o dyplomacji przez prezydenta. Redaktor Węglarczyk napisał: „Praca w dyplomacji bez wykształcenia i znajomości języków. Prezydent podpisał ustawę”, na co prof. Żerko: „Gdyby był pan normalnym, rzetelnym dziennikarzem, toby pan zaznaczył, że to akurat są zapisy przejęte z ustawy o służbie zagranicznej z 2001. Tak, od 20 lat można zostać ambasadorem bez wyższego wykształcenia i znajomości jakiegokolwiek języka”. Ludzie są dla siebie tacy niemili. ©

Cisza! Uczucia wiernych LGBT
zostały utracone zestawieniem
ich tęczę z katolicką
„Matką Boską!!”



c e z e t y k y s z t o p a



FOT. PAMEL CROWDA

DZIECKO I DIAMENT



FOT. TRICOLORS/FAST NEWS

Aktorka Weronika Rosati w wywiadzie dla amerykańskiego kanału internetowego opowiedziała o tym, jak łączy pracę aktorską z macierzyństwem. Mówiła, że generalnie lekko nie jest. – Jestem oddana Elizabeth, więc wszędzie ją zabieram. To ciężki kawałek chleba, bo wstaję o czwartej rano, żeby kuć teksty, chociaż z drugiej strony kocham przecież swoją pracę. Uwielbiam pracę na planie – zapewniła.

Okazuje się też, że w domu u Weroniki Rosati najczęściej do powiedzenia ma jej trzyletnia córka. – Elka rządzi w domu, jestem jej niewolnicą – stwierdziła Weronika. I dodała, że od małego widzi u swojej córki podobieństwo do wielkiej Elizabeth Taylor, po której dostała imię. – Jedną z pierwszych rzeczy wzbudzających jej żywą reakcję był naszyjnik mojej mamy z diamentem. Taką samą historię miała Elizabeth Taylor. Wtedy dosłownie skamieniałam. Wydaje mi się, że mała ma „starą duszę” – wyznała Rosati. Proszę pokazać jej „Psi Patrol”. Zapewniamy, że reakcja będzie żywsza niż widok całego worka diamentów.

EDUKACJA CELEBRYTKI

Tymczasem Małgorzata Rozenek-Majdan rozważa, czy wrócić

do edukacji i obronić doktorat. – Cały czas o tym myślę. Jestem przekonana, że tak będzie. Niektórzy seniorzy idą na uniwersytet trzeciego wieku, a ja mam taki plan, że na mojej zawodowej emeryturze będę chciała wrócić do tego, żeby to zrobić [...].

– I tak będę musiała robić wszystko od początku, ale to jest mój plan na późniejsze lata – zapowiedziała w „Fakcie”. Co więcej, dodała, że mąż będzie ją w tym wspierał. – Radosław jest facetem, który niesłychanie buduje mnie jako kobietę i [...] zawsze wspiera mnie we wszystkim – stwierdziła. My też oczywiście wspieramy panią Małgosię w pomyśle na dalszą edukację. Co nie znaczy, że wierzymy w jej skuteczność.

NIEREFORMOWALNA JANDA

Aktorka Krystyna Janda w jednym z wywiadów postanowiła powrócić do sprawy swojego nieszczęsnego szczepienia na COVID-19. Przypomnijmy, pani Janda wraz z grupą innych celebrytów zaszczepiła się podczas szczepień grupy zero, obejmującej medyków. Zapytana, czy po tej aferze ludzie inaczej na nią reagują, Janda odparła, że dostaje też wyrazy wsparcia. – Przedwczoraj grałam pierwszy raz po tym wszystkim. Spektakle były bardzo dobre, publiczność wydawała się zadowolona. Z nikim się nie spotykam, jeżdżę samochodem, wychodzę na scenę... Co jakiś czas mam jakieś telefony: „Inteligencja jest z panią, niech się pani niczym nie martwi”. Nie mam zamiaru już nic tłumaczyć – stwierdziła. – Jestem bardzo szczęśliwa, że jestem zaszczepiona – dodała jeszcze. A mogła pomicieć. Dla własnego dobra.

EDZIA A PANDEMIA

Krakowska „Gazeta Wyborcza” donosi, że TVP i Małopolski Urząd Marszałkowski organizują koncert z okazji Dnia Kobiet, na który zapraszają m.in. medyków, zaangażowanych w walkę z COVID-19. Jedną z gwiazd imprezy ma być także Edyta Górniak. Ta sama, która przekonywała, że pandemia to wymysł, światowy spisek i „zamach na ludzkość”, a w szpitalach leżą nie żadeni pacjenci, lecz... statyści. I teraz Edzia zaśpiewa dla lekarzy, którzy walczą z wymyśloną pandemią i leżą niewidzialnych pacjentów. Epickie wręcz. Tylko żeby nam Edzia nie zwariowała od tego dysonansu poznawczego! Chociaż to chyba trochę spóźniony postulat. Jest zbyt konsekwentna. ☹



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH ŌŚRODKÓW

Kochani, mija rok, odkąd zagościła u nas koronawirusoosoba. Z tej okazji postanowiliśmy przygotować dla Was psychozabawę pod tytułem: „Jak odnajdujesz się w nowej normalności i nowym reżimie sanitarnym?”.

1) Mając konferencję przez Internet na home office:

- a) zakładasz maseczkę, rękawiczki i trzymasz dystans od routera, spryskujesz monitor płynem dezynfekującym,
- b) na początku zabierasz wszystkim czas, gędząc, że w Teksasie właśnie znoszą obostrzenia, a Big Pharma chce nas wszystkich zniewolić,
- c) kombinujesz, jak tu zjeść śniadanie, będąc na kamerce, tak aby nikt nie widział.

2) Kiedy idziesz na zakupy do marketu:

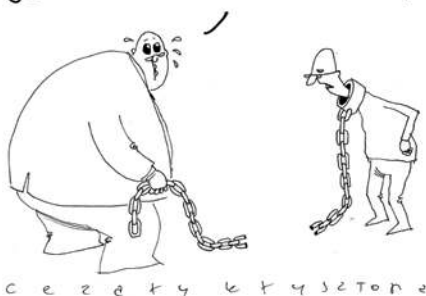
- a) idziesz do spowiedzi, zakładasz kombinizon i żegnasz się z rodziną,
- b) ostentacyjnie nie zakładasz maski, iżby każdy widział, że jesteś wolny i gwiżdżesz na obostrzenia,
- c) kombinujesz, gdzie jest najtańszy cukier, gdzie masło, a gdzie pampery, z tego wszystkiego zapomniałeś maski i monety do wózka.

3) Na propozycję spotkania ze znajomymi:

- a) zdecydowanie odmawiasz, a następnie dzwonisz na policję, do sanepidu, Rady Medycznej przy Premierze RP,

- b) idziesz, całujesz wszystkich na powitanie, a potem zanudzasz wszystkich deklaracją z Great Barrington,
- c) kupujesz jak zawsze czteropak i czipsy, jedziesz taksówką, kombinujesz, jak po drodze zahaczyć o Alkohole 24h po kolejnym czteropak.

Jak tak można dzielić ludzi?!



4) Kiedy boli cię ząb:

- a) nie chcesz iść do dentysty, więc domowymi sposobami próbujesz go wyrwać,
- b) idziesz do dentysty, chuchasz mu w twarz, żądasz niezdezynfekowanych narzędzi,
- c) czekasz, aż przestanie, ostatecznie bierzesz jakiś apap, ale nie za dużo, bo wieczorem się ustawiłeś z ziomkiem na piwo.

5) Kiedy czytasz nowe statystyki zachorowań:

- a) boisz się, że będziesz następny, zaklejasz drzwi do domu folią malarską, każesz rodzinie chodzić w maskach,

- b) wciąż uważasz, że to mało, i się śmiesz,
- c) nie czytasz takich rzeczy, sprawdzasz wyniki meczów z wczoraj i przeglądasz insta znajomych z pracy.

ODPOWIEDZI

najwięcej a)

Boisz się pandemii i chcesz zostać w domu, denerwują cię te wszystkie szczury, które nie chcą zakładać potrójnych masek, kiedy musisz wyjść między ludzi, żegnasz się z rodziną, chcesz kolejnego lockdownu i tęsknisz za kwietniem 2020 r.

najwięcej b)

Masz gdzieś tę całą plandemnię i najchętniej zrobiłbyś wielkie otwarcie, codziennie szukasz nowych statystyk na potwierdzenie, że lockdown nie działa, może i wierzysz w wirusa, ale nie że działa on wśród ludzi, jesteś wirusowym deistą.

najwięcej c)

Denerwują cię wszyscy ci, którzy mają najwięcej „a” i „b”, chcesz mieć po prostu święty spokój, a wirusa traktujesz jako ciekawostkę, starasz się żyć normalnie, chociaż i tak nie masz gdzie pójść ani gdzie się z kimś spotkać. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Kontestacja

Paweł, słyszałem, że Jarosław z tobą rozmawiał.

Cześć, Władek. Tak, nie, nie wiem, daj mi spokój, my już nie jesteśmy razem.

No niby nie, ale chyba powiedzieć możesz? Namawiał cię, żebyś do nich poszedł?

Oj, nie wiem, nie pamiętam, może pijany byłem, stary, naprawdę, nie męcz mnie.

Wiesz, że jak się zgodzisz, to za chwilę on was zje? Coś ci tam obieca, ale z niczego się nie wywiąże.

Słuchaj, jaki jest rym do „kontestacja”?

Bo ja wiem? Nic mi do głowy nie przychodzi. A co?

Próbuję pisać, rozumiesz, jakieś teksty nowe, piosenki nowe, i ni chu.. No, nie idzie

mi. Kryzys mam. A ty mi nie pomożesz.

Jakbym się namyślił...

E tam. A jak rozmawiałem z Jarkiem... No dobra, przynajmniej, rozmawiałem – i mówię: „Jarek, daj mi rym do »kontestacja«, bo od tygodnia nie mogę wymyślić”. A on mi z miejsca mówi: „Inwigilacja”. I jak ja mu mogę powiedzieć „nie”, jeśli mam coś jeszcze napisać? ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kaczyński i Covid to trochę dużo jak na jeden naród”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

Zycia koalicji. Wiewiórki z Nowogrodzkiej informują, że Gowin dogadał się z Naczelnikiem. Bielan ma w najbliższym czasie wycofać pozew, który złożył w sądzie. Sąd miał ustalić, kto naprawdę jest prezesem Porozumienia Gowina – Gowin czy Bielan. W zamian za to Jarosław Mniejszy (nie chodzi o wzrost) przyrzekł Jarosławowi Więszemu powrót do głosowania zgodnie z dyscypliną klubową.

Teraz szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński musi znaleźć sposób na kolejnego niesforne koalicjanta, czyli Ziobrę. Ostatnie spotkanie nie przyniosło rozstrzygnięcia. Zbyszek pytany, czy rozpoczął już przygotowania do nowych wyborów, sięga po łacinę – si vis pacem, para bellum. Zapewnia, że na ewentualną Godzinę „W” struktury będą gotowe.

Mamy i bardziej sensacyjne wieści z Nowogrodzkiej. Przez długie lata jedynym napojem dozwolonym podczas spotkań w gabinecie szeregowego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego była herbata. Komu było mało, ten mógł dostać dwie herbaty albo przełożyć torebkę do nowej porcji wrzątku. Nadszedł jednak czas zmian. Oprócz herbaty można też dostać sok pomidorowy! Czego doświadczył między innymi naczelnik kukista Paweł Kukiz. O tempora, o pomidores!

Kolejna wiadomość z Nowogrodzkiej jest jeszcze bardziej sensacyjna: szykuje się powrót pani Basi! Barbara Skrzypek, kierująca biurem Jarosława Kaczyńskiego SWP, odeszła rok temu na emeryturę, ale wiewiórki mówią, że tęskni. A nawet, że tęsknota jest obopólna. Oby wiewiórki się nie myliły, bo lista stęsknionych na Nowogrodzkiej jest bardzo długa.

Zfrontu walki z pandemią: lud Twitera ekscytował się ostatnio tym, że politycy Peezelu w ramach autopromocji rozdają dziennikarzom płyny do dezynfekcji. Nie ma się czym ekscytować, to drobiazg w porównaniu z dokonaniem europosłów PiS. Na przykład Richard Henry Czarnecki rozdaje elektroniczne gadzety do dezynfekcji UV, a do tego dodaje portfele, ładowarki dotykowe i inne atrakcje. Jest jeden problem – wszystkie są z logo „Ryszard Czarnecki”, więc

dziennikarze raczej nosić tego publicznie nie będą.

Jeszcze o gadżetach. Minister rolnictwa Grzegorz Puda zdał sobie sprawę, że wystąpienia publiczne nie są jego silną stroną. Zaczął więc korzystać w promp-tera i dzięki temu może już płynnie formułować myśli. Od razu zaznaczamy, że to info nie jest wyrazem małej złośliwości z naszej strony. Też czasem korzystamy z takiej techniki.

Nowy gadżet ma też nowy szef CBA Andrzej Stróżny. Poprzednikowi, by oglądać kanały informacyjne, wystarczył mały ekranik. Stróżny ogląda wnikliwiej, więc zamówiono dla niego zestaw kina domowego, i to nie byle jaki. Ci, którzy widzieli, twierdzą, że nie mieli pojęcia, iż może istnieć telewizor z aż taką przekątną. Podobno może służyć też do telekonferencji.

Wracając do panemii. Nie podziwiamy zdziwienia tym, że Polska rozmawia z Chinami na temat zakupu szczepionki. Skądinąd wiemy, że potajemne negocjacje rozpoczęły się, gdy tylko skrewiła Komisja Europejska. Z Chińczykami jednak trzeba wedle chińskich zasad. Ciche ustalenia to jedno, a oficjalny protokół to drugie. Zatem teraz, jak protokół nakazuje, czcigodny Andrzej Sebastian zwrócił się oficjalnie do Syna Niebios czcigodnego Xi Jinpinga. I tak dalej.

Czego nie wyczytacie w gazetach: otóż w Chinach niesłychanie dobrze odebrano to, że prezydent Andrzej Sebastian przybył do Pekinu niemal od razu po zaprzysiężeniu w 2015 r. i rozmawiał o nowym otwarciu. Dzięki temu Pekin uważa dziś Polskę, a nie Węgry, za najważniejszego partnera w Europie Środkowo-Wschodniej. Przestrzegamy jednak Zjednoczoną Prawicę: deal „szczepionki za 5G dla Huawei” nie jest dobrym pomysłem. Wujek Joe z Waszyngtonu się zdenerwuje.

Stało się: PeŁo ujawniła nowy filar swego wiekopomnego programu! Oprócz likwidacji IPN, CBA oraz TVP Info zamierza przywrócić handel w niedziele. Jak się domyślamy, towaram sprzedawanym w pierwszej kolejności będą szpitale.

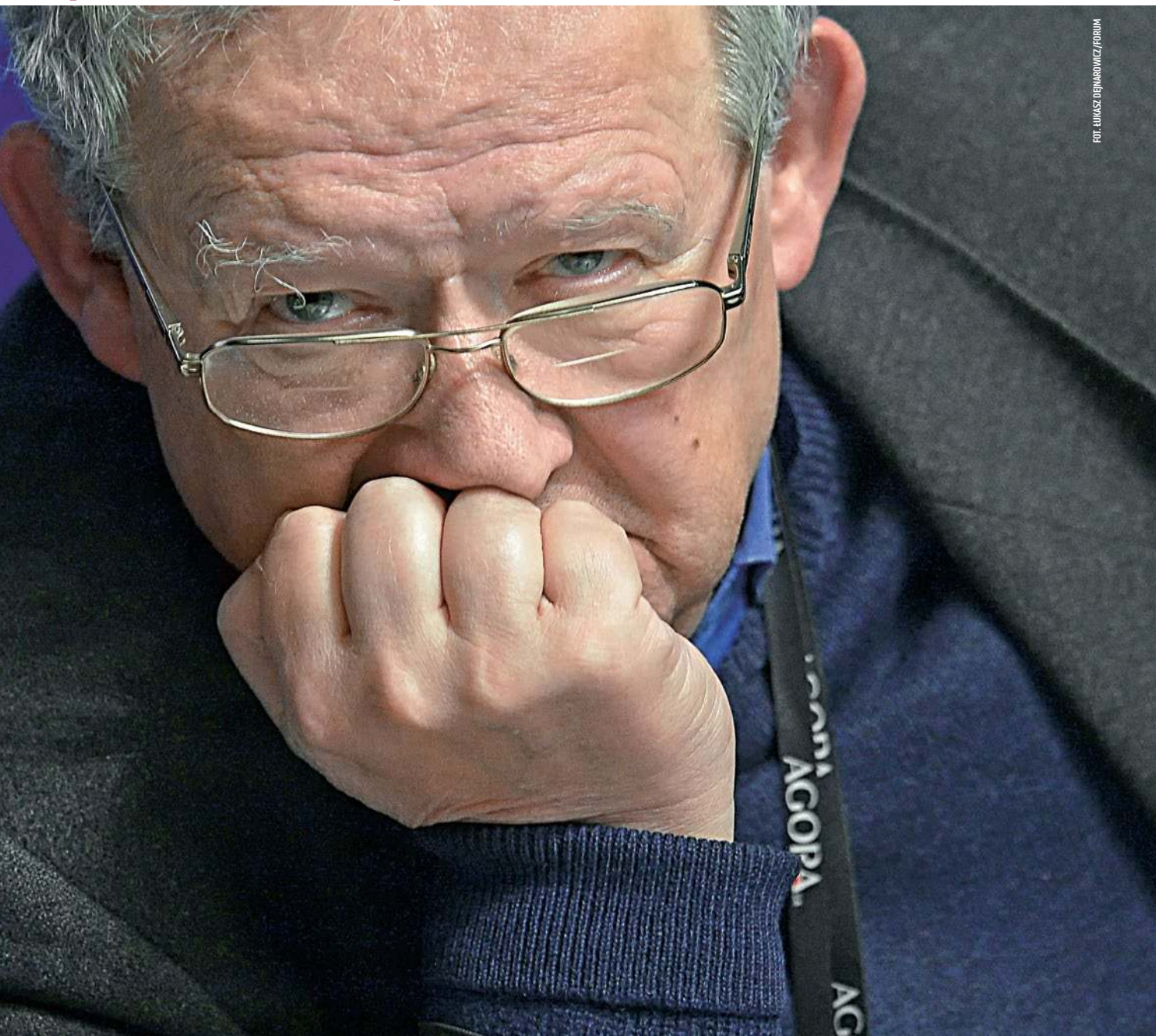
Czas na tradycyjny element humorystyczny. Niejaki Zimoch Tomasz, poseł wybrany z list PeŁo, znaczy Koalicji Łobywatełskiej, odszedł z klubu. Uzasadził to słowami: „Od pewnego czasu odnosiłem wrażenie, że koalicja staje się partyjnym ramieniem w Sejmie”. Biedaczek. Dotąd myślał zapewne, że w Sejmie nie ma partii, tylko krasnoludki, elfy i jednorożce.

Ciąg dalszy elementu humorystycznego. Zimochowi odwinął się dr Borysław Budka i ogłosił: „Mamy nauczkę, by nie stawiać na celebrytów”. Zimoch celebrytą? To tak, jakby powiedzieć, że ponieważ Lech Wałęsa „Bolek” pisał coś tam dla SB w latach 70., to jest powieściopisarzem.

Apropos pisania. Nowe ciekawe wiadomości w sprawie uwalenia książki Ziemiękiewicza przez portal Lubimyczytac.pl w plebiscycie na tytuł roku. Jak wiecie, „Cham niezbuntowany” nie został nominowany, choć jest w top 10 sprzedaży w 2020 r. Uwaga! Mało kto wie, że portal Lubimyczytac.pl należy do... wydawnictwa Znak. Co wiele wyjaśnia: firma udająca od lat wydawnictwo katolickie, która dumna jest z wydawania polakożerczych książek Jana T. Grossa oraz bzdur o polskich obozach koncentracyjnych, nie mogła przecież postąpić inaczej. To się nazywa – spójność strategii. ©



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI



FOT. KIM SZEJDEMANOWICZ/FORUM

Portret uwodziciela (niemal) doskonałego



Piotr Semka

Warto sięgnąć po „Demiurga” Romana Graczyka, bo wykonał on kawał solidnej roboty faktograficznej. Adam Michnik został w tej książce zdefiniowany jako wielki uwodzień, ale i deprawator, który zdarza się w dziejach raz na jakiś czas

Roman Graczyk podjął się napisania pierwszej krytycznej biografii Adama Michnika. Formalnie rzecz biorąc, pierwszą taką pozycją na polskim rynku była książka „Wymyślić to, co polityczne” Cyrila Bouyeure’a, ale była to raczej naiwna laurka dla podziwianego bohatera z Polski pióra jego francuskiego admiratora. Książka Graczyka jest zupełnie inna. Zresztą z paru względów. To biografia napisana przez kogoś, kto w „Gazecie Wyborczej” pracował 12 lat, dokładnie w latach 1993–2005. Nadaje to opowieści Graczyka walor osobistej obserwacji, choć sam autor o swoim pobycie w redakcji wspomina niezwykle oszczędnie.

Jednak lata spędzone w redakcji „GW” „widać i czuć” w postaci dużej liczby tropów i mało znanych szczegółów, którymi autor „nasiąkał” przez wiele lat. Nadaje to też książce pewien charakter rozliczania z wyborami własnego życia, ale znów – Graczyk tego specjalnie nie akcentuje. Jest to też dosyć generacyjne spojrzenie na Michnika opozycjonistów z pokolenia 1952–1962. To zazwyczaj postacie z Krakowa (sam Graczyk jest krakusem), ale też z Warszawy. Przede wszystkim intelektualni i humaniści.

I wreszcie jest to książka, która bardziej skupia się na faktografii niż na snuciu ocen moralnych. Chociaż autor nie jest konsekwentny, bo pozwala sobie na niekiedy nawet dosyć drapieżne oceny moralne Adama Michnika. Książka nosi tytuł „Demiurg”. Wiem, że ludzie, którzy z nią się zapoznali, bardzo często oceniają ten tytuł jako zbyt ultymatywny. Według nich jest to określenie na wyrost. Wskazują, że Michnik od dawna stracił wpływ na kształt Polski.

Używając określenia „demiurg”, Graczyk – jak rozumiem – chciał uchwycić najważniejszą cechę swojego bohatera. Adam Michnik miał nieprawdopodobnie silną ambicję wpływania najpierw na swoje środowisko, potem na próby reformowania socjalizmu, budowania opozycji w PRL, a wreszcie pragnął nadawać kształt polskiej demokracji.

I w dużym stopniu wykreował wizerunek III RP. Nie był wszechwładny, ale mógł wiele. Dziś może znacznie mniej.

KROK PRZED WSZYSTKIMI

To opowieść o człowieku, który – choć wyrósł w rodzinie o tradycjach komunistycznych i korzystał z dobrodziejstw systemu narzuconego Polsce po 1944 r. – z czasem zaczął mieć wątpliwości co do jego zasad i w końcu stworzył w Polsce model dysydenta. Oczywiście nie sam, ale w wyniku swoich własnych talentów, wdzięku osobistego i sprawności politycznej niewątpliwie wysunął się na czoło inicjatyw opozycyjnych w latach 70. Aby przetrwać represje władz – najpierw czysto administracyjne, np. zawieszenie w prawach studenta, potem brutalne, tak jak po marcu ’68, kiedy trafił prawie na dwa lata do więzienia – i aby dać sobie radę z długimi już okresami pobytu w zakładach karnych PRL po 13 grudnia 1981 r., musiał zdobyć wiele umiejętności. Lityński, cytowany w książce Graczyka, nazywa to lapidarnie: „Adam był zawsze o jeden krok do przodu”. Jako jeden z pierwszych wiedział, że na przesłuchaniach trzeba mówić jak najmniej, jako jeden z pierwszych rozumiał, że trzeba umieć nagłośnić swój protest, że trzeba mieć po swojej stronie elity aktorskie, intelektualne i odpowiednio silne wsparcie na Zachodzie. Wszystko to były cechy, które pozwalały mu przetrwać nacisk PRL, a jednocześnie budować swoją

pozycję, która dawała mu mimo sytuacji dysydenckiej opresji rozliczne atuty. Od sławy bohatera przez wsparcie wielu zwolenników na Zachodzie do tak wydawałoby się banalnego, ale mającego znaczenie w warszawskich elitach czynnik jak powodzenie u kobiet. Graczyk czyni zarzut bohaterowi „Demiurga”, że po odzyskaniu wolności Michnik wykorzystywał wszystkie atuty, które uzbierał w czasach braku demokracji, do zapewnienia sobie absolutnej dominacji w warunkach demokracji.

W życiu intelektualnym i politycznym odrodzonej Rzeczypospolitej wciąż głosił nieustający stan wyjątkowy kolejnych zagrożeń. Tylko on miał mieć prawo do korygowania wyborów demokracji. Decydować miało jego przekonanie, kto powinien być u władzy, a kto powinien być trzymany od wpływu na Polskę jak najdalej. „Demiurg” to książka o człowieku, który żył manipulacją jak oddychaniem. O królu salonu, który ludzi dzielił na trzy grupy. Tych, którzy mogą być użyteczni i których albo uwodzi, albo dominuje. Tych, którzy do niczego nie są mu potrzebni i których ignoruje. I wreszcie tych, którzy mogą stanąć mu na drodze do realizacji wyznaczonych przez siebie celów. Tych nienawidzi, zwalcza, a jeśli dodatkowo jeszcze są słabi, to także nimi pogardza.

Na każdym z etapów opowieści Graczyka występują te trzy grupy ludzi. O tym, że nie było to tak oczywiste, świadczy zarysowany w bardzo ciekawy sposób przez autora kontrast między Michnikiem a Kuroń. Kuroń też potrafił być bardzo brutalnym i bezwzględny praktykiem politycznej rozgrywki, jednak dominuje w nim chęć, aby w każdym dostrzegać kogoś, kogo można pozyskać do swoich planów. U Michnika zazwyczaj analiza jest bardzo szybka i równie szybko wprowadzana w życie. Jesteś moim wyznawcą albo cię zniszczę. Tylko w paru przypadkach dysproporcja potęgi politycznej powodowała, że Michnik kogoś, z kim raz się zderzył, później z mozołem do siebie przekonywał. Tak było np. z Wałęsą, który okazał się silniejszy niż próby podchodów, jakie urządzał Michnik, i tak było z Mazowieckim, który miewał z Michnikiem ostre spory, ale po 1989 r. był obiektem ugłaskiwania go przez ówczesnego szefa „Gazety Wyborczej”.

PIĘĆ WCIELEŃ CUDOWNEGO DZIECKA

Największą zaletą książki jest stosunkowo dokładne opisanie okresu życia Adama Michnika z lat 1961–1969. Graczyk dobrze przedstawił fenomen drużyn walterowskich. Nie byłoby tego fenomenu bez specyficznego talentu twórcy tych drużyn Jacka Kuronia. Nie byłoby też fenomenu „Komandosów” bez nieprawdopodobnego talentu przywódczego, który Adam Michnik rozwijał w sobie przynajmniej od 15. roku życia. Nie byłoby fenomenu walterowców bez specyficznego formuły, w której



ROMAN GRACZYK
„DEMIURG.
BIOGRAFIA ADAMA
MICHNIKA”
ZONA ZERO 2021

■ grupa dzieci ludzi stalinowskiej władzy, w większości z korzeniami żydowskimi, nie znalazłaby w drużynach walterowskich czegoś w rodzaju ni to komuny, ni to miejsca pielęgnowania jakiegoś marzenia o lepszym socjalizmie, ni to wreszcie reliktu komunistycznego kolektywu. Mikroświata, w którym dwóch chłopców, oprócz zakupienia w miasteczku produktów żywnościowych dla całej drużyny, popełniło „przestępstwo” w postaci kupienia dodatkowo paczki dropsów dla siebie i potem dręczeni wyrzutami sumienia z płaczem i ze skrucą wygłosili samokrytykę przed kolektywem.

du na emigrację, którą rzucił w twarz gen. Kiszczakowi.

Graczyk dobrze opisuje ważną cezurę, jaką stanowił w życiu Michnika etap pisania książki „Kościół – Lewica – Dialog”. Bardzo ciekawa jest opowieść jednego z bywalców salonu, który wspomina, jak w 1972 r. do Polski przyjechała z Włoch Marta Petrusiewicz – marcowa emigrantka. Petrusiewicz zastygła w myśleniu środowiska komandosów sprzed marca i była w szoku, gdy usłyszała od Michnika, że w razie jakiegoś hipotetycznego obalenia władz PRL katolicy winni być dopuszczeni do władzy na równi z lewicą laicką. Włoska

ani na próby znalezienia jakiegoś następcy lidera Solidarności. Bardzo znamieną jest opowieść, jak Michnik – mimo starań kolegów – nie został wybrany na delegata w wyborach regionu Mazowsze Solidarności w komórce związkowej w Zakładach Hortex w Górze Kalwarii. Dla Michnika wybór w najniższej komórce związkowej miał być początkiem drogi aż do statusu delegata na zjazd Solidarności w Gdańsku, na którym to zgromadzeniu chciał odegrać ważną rolę. Graczyk pisze: „Na pewno zdecydowało przekonanie tamtejszych działaczy Solidarności, że odgórnie robi się tu jakiś wyjątek dla jednego człowieka, czyniąc go z dnia na dzień pracownikiem tegoż zakładu. Uznano to – chyba słusznie – za kopiowanie praktyki znanej z PZPR, o której mówiono: »kandydat przywieziony w teczce«”. Tak czy inaczej Michnik miał ponoć odebrać to jako osobisty afront.

W rezultacie późniejszy naczelny „GW” odgrywał w czasie okresu legalnej działalności pierwszej Solidarności nieporównywalnie mniejszą rolę niż w warunkach gierkowskiego okresu lat 70. Być może to wtedy w głowie intelektualisty z al. Przyjaciół pojawił się lęk przed polskim chamem, który w razie nieukładanej demokracji może odwrócić się plecami do takich jak on. Przecież gdy tylko ta dziwna solidarnościowa demokracja została zmiążdżona przez czołgi Jaruzelskiego, w jakimś sensie dla Michnika wrócił świat znany z poprzednich dwóch dekad PRL. Bohater książki „Demiurg” co prawda znowu siedział w więzieniu tak jak w latach 1968–1969, ale podobnie jak wtedy czerpał z tego rentę szacunku za swoje prześladowania. A po wyjściu z więzień znów mógł brylować wśród zachodnich korespondentów i znów mógł uprawiać politykę, która nie podlegała żadnym jasnym regułom. Jasnym oczywiście w stosunku do standardów demokracji solidarnościowej z lat 1980–1981. To dlatego czuł się tak dobrze w atmosferze Okrągłego Stołu, przy którym „oświeceni” solidarnościowcy układali się z „oświeconymi” komunistami.

CAR Z ULICY IWICKIEJ

Książka Graczyka nie jest zbudowana symetrycznie. Okresowi 1946–1989, czyli pierwszemu 43 latom życia Michnika, poświęcone jest ok. 60 proc. stron. Na to, co wydarzyło się po powstaniu „Gazety Wyborczej” do dziś, poświęca około 170 stron na ogólną liczbę blisko

Michnik, zwracając się ku inteligencji katolickiej, chciał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Osłabić siłę reżimu PRL, ale i przemodelować Kościół

Ten duch kolektywu działał jak w jakimś upiornym spełnieniu snów sowieckiego pedagoga Antona Makarenki. Tak doszło do powstania grupy ok. 30–50 młodych ludzi, którzy potem będą karnie realizować cele Adama Michnika. Razem stworzą podstawę Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności, potem stworzą jądro „Komandosów” – grupy inicjującej protesty na Uniwersytecie Warszawskim w marcu ’68, następnie stworzą lewicę KOR-owską, frakcję Michnika w ruchu Solidarności, tygodnik „Mazowsze”, a po ’89 rozdzielią się na dwie grupy: medialną, skupioną wokół „Gazety Wyborczej”, i polityczną kreującą ROAD, a potem Unię Demokratyczną. Żaden inny polityk w opozycji w epoce PRL nie dysponował tak pewnym, zdeterminowanym, utalentowanym zespołem współpracowników, których nabożny stosunek do swojego lidera czynił niezwykle skutecznym narzędziem. W jakimś sensie można powiedzieć, że Michnik ich hipnotyzował, ale i realizował ich marzenia. A jednocześnie, czego Graczyk nie ukrywa, wykazywał się niestandardową odwagą.

Wskutek tej odwagi Michnik szedł na zderzenie z władzami Uniwersytetu Warszawskiego, zdał test więzienia w latach 1968–1969, odsunął od siebie pokusę wyjazdu na fali pomarcowych emigracji i wreszcie odegrał ważną rolę w projektowaniu taktyki opozycji wobec władz PRL w latach 1975–1980. A w samym środku rządów ekipy stanu wojennego rozkochał w sobie Polaków dumną odmową wyjaz-

emigrantka nie rozumiała, że „Adam jest znów krok do przodu”. Michnik wiedział, że grupa byłych rewizjonistów marksistowskich nie zdoła stanąć na czele jakiegoś szerszego protestu bez dogadania się z Kościołem i katolickimi intelektualistami. I w tym kierunku prowadzi śmiała książka „Kościół – Lewica – Dialog”. Ale dopiero po latach wyszło na jaw, że Michnik, zwracając się ku inteligencji katolickiej, chciał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Osłabić siłę reżimu PRL, ale i przemodelować Kościół według własnego wyobrażenia. Gdy wiele lat później, w okolicach roku 2011/2012, zrozumie, że to mu się nie uda – da wolną rękę na łamach „Gazety Wyborczej” fanatycznym antyklerykałom. Co ciekawe, Graczyk zdaje się do dziś tego nie rozumieć i np. opisując początek lat 90., dziwi się, że lewicowo-liberalna „Wyborcza” zdecydowała się na specjalny dział religijny na weekendowym wydaniu. Oczywiście, było to naturalne dla kogoś, kto chciał umodelować Kościół zgodnie ze swoimi zamierzeniami.

Wróćmy jednak do kolejnych faz życia Adama Michnika. Bardzo ważne dla zrozumienia jego zachowań po 1989 r. jest przeanalizowanie okresu karnawału Solidarności z lat 1980–1981. Dla Michnika było to coś w rodzaju spadnięcia z pieca na feb. Michnik, który w II połowie lat 70. zyskał status gwiazdy salonów opozycyjnych i zdobył ogromną sławę na Zachodzie, nagle stawał wobec wybuchu ruchu, w którym wyłoniły się nowe elity. Wałęsa okazał się nieczuły ani na umizgi,

500 stron. Nie znaczy to jednak, że jest to pobieżny szkic pokazujący swoiste imperium, na czele którego stał „Demiurg”. Graczyk docenia ogromną pracę, jaką pod kierownictwem Michnika wykonali dziennikarze „Gazety Wyborczej”. Pokazuje, że jej sukcesów nie byłoby bez talentów redakcyjnych Michnika, jego szerokich horyzontów i zdolności do zgromadzenia wokół siebie najlepszych piór polskiej inteligencji. Pokazuje też drugie, ciemne oblicze „Wyborczej” – dziennika, w którym wykorzystuje się ludzi, by użyć kolokwialnego określenia, „aż do zajeżdżenia”. Gazety, w której ci, którzy ośmielili się sprzeciwić wielkiemu samcowi alfa „GW”, spychani byli na margines tak, by po pewnym czasie sami odeszli.

Graczyk odmalowuje całą plejadę osób, które miały nieszczęście wywołać zmarszczenie brwi wszechmocnego Adasia. Byli to bardzo różni ludzie – od niegodzącego się na mieszanie informacji z opiniami Krzysztofa Leskiego do Artura Domosławskiego, który niemal z dnia na dzień stał się wrogiem za ujawnienie, że Ryszard Kapuściński w wielu swoich książkach po prostu konfabulował. Dobrze opisane

Graczyk pokazuje też drugie, ciemne oblicze „Wyborczej” – dziennika, w którym wykorzystuje się ludzi „aż do zajeżdżenia”

jest pięknięcie wizerunku Michnika, które zaczęło się wraz z wyjściem na jaw jego randki z Urbanem pod radiową Trójką w 1991 r. i zakończyło się efektownym akordem mało wiarygodnych zeznań przed komisją Rywina.

Tym, czego brakuje w analizie Graczyka, jest zrozumienie, jak korzystne dla kariery Michnika po 1989 r. było rozpoczęcie na Zachodzie rewolucji cywilizacyjnej wykreowanej przez generację 1968 r. Michnikowi w czasach PRL zdarzało się czasami ironizować na temat prób porównywania marca 1968 r. w warunkach totalitaryzmu z kontestacją w krajach Zachodu, gdzie kontestacja wiązała się z nieporównywalnie mniejszym ryzykiem. Drugą słabością części książki poświęconej latom 1989–2020

jest spoglądanie Graczyka na Michnika wyłącznie oczami generacji ludzi urodzonych w latach 50., którzy w największym stopniu ulegli „ukąszeniu michnikowskiemu”. Zabrakło perspektywy generacji 1965–1969, która w latach 90. wzięła na siebie ciężar ideowej polemiki z wszechwładnym królem warszawskich salonów. To już jednak temat na inną książkę.

Na razie warto sięgnąć po „Demiurga” Romana Graczyka, bo wykonał on kawał solidnej roboty faktograficznej i próbował zmierzyć się z postacią, która wywarła bardzo silny wpływ na politykę Polski w ostatnich 50 latach. Adam Michnik został w tej książce zdefiniowany jako wielki uwodziciel, ale i deprawator, który zdarza się w dziejach raz na jakiś czas. A jednocześnie Graczyk oddaje honor Michnikowi tam, gdzie jego odwaga po latach powinna być szanowana. Nie sądzę jednak, aby te elementy powstrzymały wyznawców Adama Michnika do odsądzenia Graczyka od czci i wiary. Trudno. Tę cenę krakowski publicysta musiał wliczyć w koszty przedsięwzięcia od samego początku.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

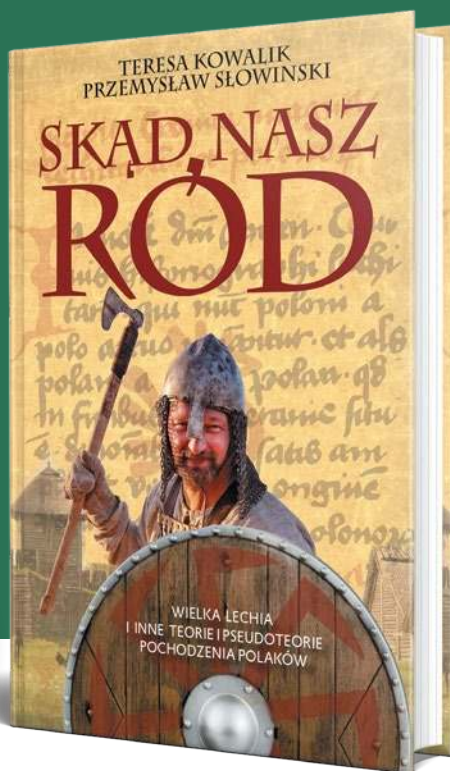
POZNAJ FAKTY I MITY NA TEMAT POCHODZENIA POLAKÓW

PATRONAT MEDIALNY:



HISTORIA
ORG.PL

**KSIĄŻKA
DO KUPNIENIA W:
WWW.XLM.PL**



Polska Okrągłego Stołu była (i w dużym stopniu pozostaje) krajem świętych bez żywotów. Z jednej strony w jej dyskursie medialnym ogromną rolę odgrywały „autorytety”, podniesione omalże do rangi instytucji ustrojowej i eksploatowane aż do kompletnego zdevaluowania samego pojęcia. Z drugiej – ludzie funkcjonujący w tej roli nie mieli biografii. Stawiano ich za wzór i używano ich opinii jako rozstrzygającego argumentu, uzasadniając tę szczególną pozycję „autorytetów” ich wspólną przeszłością – ale jednocześnie usilnie zniechęcano historyków czy nawet dziennikarzy do bliższego przyglądania się jej.

Dlatego do dziś nie napisano biografii np. Bronisława Geremka – w dyskursie medialnym urodził się on dopiero w drugiej połowie lat 70., od razu jako opozycjonista. Za napisanie biografii Lecha Wałęsy, choć nikt nie zdołał znaleźć żadnego błędu czy przekłamania, Paweł Zyzak odsądzony został od czci i wiary, zmuszony do szukania pracy poza krajem, a ówczesna minister szkolnictwa wyższego próbowała nawet ukarać uniwersytet, który mu tę pracę pisać pozwolił. Z kolei prof. Friszke, który długo się przymierzał do życiorysu Kuronia, ostatecznie ograniczył się tylko do monografii jednego epizodu – jak to pozwoliłem sobie ująć: z całego „Różańca” drukowalna okazała się tylko tajemnica chwałebna. Późno, dopiero gdy o życiorysach bohaterów zaczynało się mówić w „niewłaściwy sposób” (np. publikując zapisy poufnych negocjacji Kuronia z płk. Lesiakiem), „prawomyślni” autorzy bronili ich książkami hagiograficznymi: przyczynkowymi, wspominkowymi, maskującymi sprawy niewygodne – takimi jak „Zadra” Jana Skórzyńskiego o Wałęsie czy „Jacek” Anny Bikont i Heleny Łuczywo o Kuroniu.

Biografia Adama Michnika, opublikowana w roku 2021 przez Romana Graczyka, też jest pierwszą i pionierską (wcześniej był tylko przekład książki francuskiego entuzjasty, Cirila Boueyre’a, bezwartościowej – w promocyjnym wywiadzie autor przyznał się nawet, że na życzenie Michnika usunął wskazane przez niego fragmenty z polskiego wydania). Nie doszły nawet do skutku próby publikacji wywiadu rzeki z samym Michnikiem. W środowisku wydawniczym chodziło o tej syzyfowej pracy legendy: zanim proces przygotowywania wywiadu udało się doprowadzić do końca, Michnik obrażał się na zaakceptowanego wcześniej rozmówcę i zrywał

Mesjasz, który nawalił



Rafał A. Ziemkiewicz

Adam Michnik jest dziś cieniem samego siebie, zdolnym przemawiać jedynie do zagranicznych lewicowych gazet, bo te jeszcze widzą w nim dawnego „bohatera”

współpracę albo też, wskutek zmiany bieżącej sytuacji politycznej, odwoływał, iście po orwellowsku zmieniał opowiedzianą wcześniej wersję przeszłości. Choć „Demiurg” Graczyka nie jest książką o ambicjach demaskatorskich, to czytelnik znajdzie w niej odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się działo.

WIELKIE ZŁUDZENIE

Michnik przez wiele lat funkcjonował w polskim życiu publicznym w sposób schizofreniczny. Jako intelektualny guru, którego książek nikt w ogóle nie czuł potrzeby kupować i czytać, zadowolając się wstępniakami i wywiadami; jako arbiter polityczny, którego rad żaden z oddających mu demonstracyjne hołdy polityków ani myślał słuchać; wreszcie jako wzór prawego życia, które do tego stopnia ocenizowano, że dla wielu prawdziwym szokiem było odkrycie, iż przyrodni brat bohatera był stalinow-

skim zbrodniarzem, a Jerzy Urban – serdecznym przyjacielem od lat młodości.

Wydanie takiej książki to dobra okazja, żeby przypomnieć sobie to i owo. O samej pracy Graczyka nie napiszę tu wiele, gdyż jako autorowi wydanej 15 lat temu analizy działań Michnika po roku 1989 niezbyt mi wypada – ale trzeba oddać autorowi chwałę, że pomimo wszystkich nieprzyjemności, na jakie to naraża, rozjaśnił panujące mroki. Zrobił to w sposób niezwykle solidny, „szczegółarski”, przywołując mnóstwo „twardych faktów” i cytatów – co ma swoje zalety i wady. Zaletą jest niewątpliwie to, że ustaleń tej książki po prostu nie można podważyć. Te fragmenty, w których pokazuje Graczyk, z jaką łatwością posługiwał się redaktor naczelny „Wyborczej” cynicznym kłamstwem (np. mordercze wypunktowanie propagandowych bzdur w kanonicznym dla dyskursu Michnika artykule „I ty zo-



władzy w rękach postkomunistów. Czy to w ministerstwach, czy w państwowych mediach, zwycięzcy widzieli w nich tylko wykonawców, skazanych na wieczne podporządkowanie „autorytetom”, niezdolnych jeszcze przez długie lata zdjąć z siebie odium moralnego bankructwa komunizmu. Inna sprawa, że sami, dla celów walki z Wałęsą, a potem centrową częścią obozu posolidarnościowego, sami z nich, jako z użytecznych sojuszników, usilnie to odium zdejmowali. Była to zresztą jedna z wielu sprzeczności w postępowaniu i samego Michnika, i jego obozu politycznego.

LEGITYMACJA MORALNA

To część specyficznego dziedzictwa polskiej inteligencji – przekonanie, że do sprawowania władzy uprawnia legitymacja moralna i że jest ona ważniejsza od jakichkolwiek innych kryteriów, czy to odmierzanej w wyborczych procedurach popularności i poparcia, czy też przygotowania merytorycznego. Po prostu ci, którzy są lepsi, „mają prawo” rządzić – a ich przeciwnicy nie, bo są źli. Ponieważ pomiędzy dobrem i złem nie ma dyskusji ani kompromisu, od zarania III RP, od „wojny na górze”, myśl, że po władzę śmie sięgać ktoś spoza kręgu mających takie prawo, czy to był Wałęsa, czy Kaczyński, czy zapomniany dziś ZChN, przepełniała środowisko Michnika i jego samego grozą i świętym oburzeniem, pobudzając do działań obliczonych na całkowite zniszczenie przeciwnika, odarcie go z szacunku, dobrego imienia, a nawet elementarnej godności.

Uważam to za część złowrogiego cienia marszałka Piłsudskiego, który wciąż zalega nad polską polityką – proszę zwrócić uwagę, że optyka obecnej władzy jest podobna, inaczej tylko umieszcza ona znaki wartości. To przecież właśnie lęk przed utratą moralnej, wyższościowej legitymacji z jednej strony i chęć jej odebrania z drugiej są przyczyną wspomnianej na wstępie biograficznej luki. I dziś nadal mamy szarpanie się o moralną wyższość, nadal walka polityczna skupia się głównie na demaskowaniu przeciwników jako niemoralnych, choć od dawna widać, że wyborcy za amoralnych uważają wszystkich polityków „en bloc” i wybierając między nimi, kierują się zupełnie innymi kryteriami.

Model polityki, oparty na posiadaniu moralnej racji (wsparty przejściem infrastruktury do „dystrybuowania szacunku” – jako się rzekło, o to właśnie, o media,

staniesz konfidentem”), jakimi metodami manipulował ludźmi i ich rozgrywał, można co najwyżej próbować zamilczeć – ale dziś jest to dużo trudniejsze niż w czasach potęgi układu, w którym Michnik funkcjonował.

Wadą natomiast jest to, że „drzewa przysłaniają las”, w gąszczu faktów ginie zasadnicza ewolucja bohatera książki, istota jego zamierzeń, a tym samym i kłeski, którą poniósł. Czytelnik dowiaduje się o wszystkich jego woltach i podłościach, ale dlaczego i po co je robił – musi się domyślać sam, choć, przynajmniej raz jeszcze, materiał do tych dociekań dostaje solidny.

Niefortunny wydaje mi się sam tytuł: „Demiurg”. Chyba żeby potraktować go ironicznie. Katastrofa Michnika polega na tym właśnie, że jego rola sprawcza w minionym 30-leciu, a zwłaszcza u zarania „transformacji ustrojowej”, okazała się znacznie mniejsza, niż sądził. Biografia Michnika to

– moim zdaniem – opowieść nie o „demiurga”, lecz raczej o wielkim złudzeniu.

Jan Filip Stańko na łamach krawkowskich „Arcanów” nazwał kiedyś to złudzenie „polityką inteligentką”. Liderzy Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, tej jego części, z której później wyrosł ROAD i Unia Demokratyczna, wierzyli, że decydującym procesem społecznym jest naśladowanie przez masy swoich elit. Za tę elitę uznali zaś siebie samych. Nienamacalna „siła imponowania”, zarządzanie społecznym szacunkiem, wskazywanie, kogo należy słuchać, a komu „nie podaje się ręki” – to, w „polityce inteligentkiej”, było w budowanej demokracji ważniejsze od zarządzania administracją, finansami czy nawet państwowym aparatem przymusu. Właśnie z tego przekonania płynęło poczucie miazdżącego, historycznego zwycięstwa posolidarnościowej formacji inteligentkiej i beztróskie pozostawienie „technicznej”

Walczyło najgorliwiej środowisko Michnika przy Okrągłym Stole, lekceważąc pieniądze, służby i aparat biurokratyczny), musiał zbankrutować z tej prostej przyczyny, że moralistyka z polityką pogodzona może być tylko w jeden sposób: przez zinstrumentalizowanie moralności. Używanie narzędzi moralistyki i estetyki do działań politycznych błyskawicznie je tępiło: nawet człowiek najbardziej życzliwy Michnikowi i jego formacji nie mógł nie dostrzegać, że w nalepianiu etykiet „szlachetne – podłe”, „piękno – szambo” Naczelny Autorytet III RP stale sobie zaprzecza. Raz jest skrajnie rygorystyczny i pryncypialny, raz znowu wyrozumiały i pragmatyczny. Oczywiście przy odrobinie zręczności każdą taką sprzeczność można było zatachlować pięknymi słowami, ale na zdrowy rozum widać było tylko jedno konsekwentnie stosowane kryterium: moralni, szlachetni i eleganccy byli zawsze „nasi”, a odrażający i podli – „nie nasi”. Mówiąc krótko, „polityka inteligencka” musiała wyrodzić się w zwykły „kalizm”.

Michnik próbował zarządzać Polską z poziomu ponadpolitycznego, wyrokując jako Wielki Moralista i Arbiter Elegancji. Te wyroki wyznaczały opinie elit, elity naśladować miała szeroko pojęta warstwa inteligencka, którą z kolei naśladować miały warstwy niższe. W praktyce system działał tylko w pierwszych etapach – na długi czas zdobył Michnik niekwestionowany „rząd dusz” nad warstwą inteligencką. Ubocznym skutkiem było jednak jej oderwanie się od warstw niższych, a następnie powstanie odruchu wrogości i przekory wobec tego, co płynie „z góry”, co w dalszej perspektywie zadecydowało o klęsce politycznych faworytów Michnika.

DROGA DO „WIELKOŚCI”

Kluczowe jest jednak to, jaki był mechanizm tego zdobycia przez Michnika „rządu dusz” nad inteligencją. Próżność i pochlebcy podpowiadali mu, że to jego walory osobiste, wspaniały życiorys, potęga używanej argumentacji; że po prostu oczarował cały naród, tak jak w czasach PRL – co opisuje Graczyk – oczarowywał jego luminarzy.

Prawda brutalnie wyszła na jaw z wybuchem „afery Rywina”: nie dlatego słuchano wszystkiego, co mówił Michnik, że był taki wielki, ale dlatego czczono w nim taką wielkość, że mówił dokładnie to, czego popeerelowska inteligen-

Wbrew stereotypowi to nie Kaczyński obalił „rząd dusz” elit III RP. Przeciwnie, on próbuje elity odbudować, stworzyć je na nowo

cja potrzebowała. Mówimy przecież o „kadrze zarządzającej” PRL, na różne sposoby w nim uwikłanej. Inteligencja, która nie chciała słuchać, że miała coś na sumieniu, miała wprowadzić ofertę „panświnizmu” Urbana, ale ten był tylko doraźną obroną przed poczuciem winy czy wstydu. Michnik zaproponował coś znacznie lepszego: nie tylko powszechne rozgrzeszenie, lecz także mit, w którym to nie żaden tam „roboło” – którzy mieli paść ofiarą transformacji, więc trzeba było odebrać im symbolicznie zasługi wraz z prawem do współczucia – lecz właśnie inteligencja obaliła komunizm. Obaliła go swą upartą niezgodą, jako te miłoszowskie „kamienie”, zmieniające bieg lawiny. I mało jeszcze, nie tylko obaliła, lecz także rozumnie i szlachetnie wyrzekła się zemsty i rozliczeń! To, co było skutkiem bezsilności „społecznej” strony Okrągłego Stołu, zmitologizował Michnik jako akt niezwykłej, historycznej szlachetności i rożumności.

Śmiem twierdzić, że każdy o z grubsza zbliżonym do Michnika życiorysie, kto wystąpiłby po roku 1989 z takim przekazem, byłby noszony na rękach i czczony przez miliony „inteligentów pracujących”, tak jak stało się to w latach 90. jego udziałem. I odwrotnie, gdyby Michnik mówił i pisał to samo co Krzysztof Wyszkowski czy Andrzej Gwiazda, też zostałby zmarginalizowany i ani jego życiorys, ani elokwencja by w tym nie przeszkodziły.

Kult Michnika był wskutek tego niezwykle intensywny, ale trwał tak długo, jak długo Michnik pozostawał w potrzebnym elitom przekazie i jak długo był im potrzebny. Jako moment załamania jego autorytetu wskazuje się przesłuchania przed komisją rywinowską, ale głęboka przyczyna była inna.

GEN ZAŁĘDŲ

Była nią kolejna sprzeczność wpisana w michnikowszczyznę, niezauważana, a niosąca w sobie gen załędy. A mianowicie oparcie całego modernizacyjnego

dyskursu liberalnej lewicy na naśladowaniu Europy, to, co prof. Legutko nazwał „modernizacją przez kserokopiarke”. Szacunek społeczny dla elit, ich szczególna, elitarna właśnie, pozycja, nie biorą się darmo i znikąd. Są częścią umowy społecznej: szanujemy was, bo wymyślicie rozwiązania naszych problemów. Jak w więziennej anegdocie ze stanu wojennego, gdzie stary garus wyznacza pod celą zadania: ty masz robić to, ty tamto, „a ty, inteligent, siedź i knuj!”.

Skoro zaś mamy tylko naśladować Europę – to po co nam inteligencja, intelektualiści? Jeśli nie ma nic do wymyślenia, wszystko przyjdzie z Zachodu, wzorce, rozwiązania, tylko je „implementować” – to po co rodzima elita? Staje się ona tylko zbędnym pośrednikiem. W dodatku im bardziej zbędnym, tym bardziej skłonny do mądrzenia się i okazywania gorzej ustawionym pogardy.

Wbrew stereotypowi to nie Kaczyński obalił „rząd dusz” elit III RP. Przeciwnie, on próbuje elity odbudować, stworzyć je na nowo i przywrócić do znaczenia (jak to wychodzi, to osobny temat). Tym, który zrozumiał, że europejska kolonia inteligentnych elit nie potrzebuje, był Tusk. Na pytanie: „Po co nam elity?” znalazł tylko jedną odpowiedź: dla propagandy. Jako moje, z przeproszeniem, pajace, sławiące mnie i nadające na Kaczyńskich. Stąd, zachowując pozory znaczenia elit, kompletnie je Tusk lekcewał. Przytakuując ich puszeniu się, zabierał pieniądze teatrom i kinematografii, by przeznaczyć je na stadiony, i nie kiwnął nigdy palcem, by spełniać postulaty salonów – głęboko zresztą niezainteresowany niczym, co miało nastąpić po zrealizowaniu planu kapitulowania się na brukselską synekurę.

Kim jest dziś Michnik? Cieniem. Zwykłem porównywać jego losy z bohaterem „Władcy Pierścieni”, czarodziejem Sarumanem. Niegdyś potężnym członkiem Białej Rady, przeciwstawiającej się szatanowi baśniowego świata, Sauronowi, który potem sprzymierzył się z nim, sądząc, że to on będzie się w tym sojuszu bardziej liczyć. Ale omylił się, stracił swą moc i na końcu powieści pojawia się jako Sharkey – złośliwy, ale bezsilny starzec, zdolny już tylko uprzykrzać hobbitem życie, tak jak usiłuje je Michnik uprzykrzyć obecnie rządzącym, obmawiając ich w wywiadach dla zagranicznych lewicowych gazet, które, ostatnie, wciąż jeszcze widzą w nim dawnego bohatera.

Po co komu dziś państwowy operator

5G znacząco poprawia komfort codziennego korzystania z Internetu w domu lub w pracy i może zrewolucjonizować medycynę, transport czy zarządzanie infrastrukturą miast. Aby zapewnić Polakom dostęp do tak szybkiego Internetu, potrzebne są jednak mądre regulacje i szybkie porozumienie zarówno w ramach rządu, jak i między wszystkimi zainteresowanymi środowiskami

Pandemia w znaczącym stopniu spowodowała wzrost naszej aktywności w świecie cyfrowym. Na szczęście sieć telekomunikacyjna w Polsce była w stanie sprostać znacznie większemu natężeniu ruchu związanemu z kolejnymi lockdownami, a przy tym pozostała bezpieczna. Dalsza cyfryzacja może przyczynić się do rozwoju i odbudowy naszej gospodarki po pandemii.

Bez nowoczesnej infrastruktury telekomunikacyjnej nie może być mowy o gospodarce 4.0. To dzięki niej polskie firmy mają możliwość zaistnienia na międzynarodowych rynkach i skutecznej konkurencji. Jeśli tą szansę wykorzystają, to produkcja cyfrowa już niedługo może okazać się polską specjalnością. Infrastruktura potrzebuje jednak inwestycji, a te – stabilnych i przewidywalnych warunków, czyli przede wszystkim mądrych regulacji. Im krótszy proces inwestycyjny, tym lepiej, trzeba więc stale pracować nad likwidacją kolejnych barier i utrudnień.

Tylko cztery państwa w Unii Europejskiej nie uruchomiły jeszcze sieci 5G. Polski na szczęście nie ma w tej czwórce, ale udało się to głównie dzięki prywatnym operatorom. Kiedy procedury prowadzące do rozdysponowania docelowych dla 5G częstotliwości przeciągały się, zainwestowali oni naprawdę potężne kwoty w technologię umożliwiającą wykorzystanie już posiadanych zasobów. Zgodnie z wymogami unijnymi sieć 5G miała do końca 2020 r. zacząć działać w przynajmniej jednym mieście i to się udało. To jednak nie wystarczy. Jeśli nie uda się szybko rozbudować 5G w docelowym kształcie, Polska stanie w miejscu, a w tym czasie pozostałe kraje UE będą realizować kolejne cele.

SUPEROPERATOR BEZ DOŚWIADCZENIA?

Niestety, proces przydzielenia pasm pod 5G nadal trwa i jego końca póki co nie widać. Według ostatniej wersji projektu ustawy o Krajowym Systemie Cyberbezpieczeństwa miałby powstać narodowy operator, któremu państwo przekazałoby konieczny zasób częstotliwości poza obowiązującymi procedurami. Operator ten miałby zbudować sieć 5G, a następnie nią zarządzać. To zupełnie nowy i dość rewolucyjny pomysł. Wprowadzenie go do projektu ustawy było sporym zaskoczeniem dla całego rynku telekomunikacyjnego. Uchwalenie ustawy w tym kształcie mogłoby całkowicie zmienić jego funkcjonowanie. Trudno się dziwić, że wywołuje to żywą dyskusję.

Ceny usług telekomunikacyjnych w Polsce należą do najniższych w Europie, a operatorzy działający na naszym rynku stale proponują swoim klientom nowe usługi i atrakcyjne promocje. Zdążyliśmy już do tego przywyknąć, ale wcale nie jest to takie oczywiste. To skutek konsekwentnej polityki kolejnych prezesów Urzędu Komunikacji Elektronicznej (UKE), dla których stymulowanie konkurencji w polskiej telekomunikacji, z korzyścią dla klientów, było przez całe lata najważniejsze. Czy tworzenie dziś państwowego operatora nie oznaczałoby zawrócenia z tej drogi? I czy nam – zarówno państwu, jak i przede wszystkim zwykłym klientom, aby na pewno się to opłaci?

Częstotliwości w Polsce przydzielane są w ramach procedury aukcji bądź przetargu. Tak stanowi obowiązujące prawo. To rodzaj gwarancji, że firmy otrzymujące widmo radiowe mają doświadczenie i zaplecze techniczne, które pozwoli im sprawnie zbudować sieć. Opłaty rezerwacyjne to kwoty liczone w milionach złotych. Dla każdego operatora taki wyda-

tek to olbrzymia motywacja. Z przyczyn czysto ekonomicznych po prostu musi on jak najszybciej sprawić, by inwestycja zaczęła się zwracać. Trudno przewidzieć, czy i jak poradziłaby sobie z tym nowa państwowa spółka nie mająca doświadczenia ze skomplikowanymi inwestycjami na skalę ogólnopolską.

BEZ BIAŁYCH PŁAM

Wspomniane kwoty, które w efekcie aukcji i przetargów operatorzy wpłacają do Skarbu Państwa, mogłyby także odegrać niebagatelną rolę w rozwoju cyfrowym Polski. Z pewnością ułatwiłyby na przykład likwidację tzw. białych plam, czyli obszarów praktycznie pozbawionych dostępu do sieci, których niestety cały czas nie brakuje. 1 kwietnia 2020 Ministerstwo Cyfryzacji uruchomiło finansowany ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Operacyjnego Polska Cyfrowa na lata 2014–2020 program „Zdalna szkoła”. Gminom pozwala on sfinansować zakup laptopów, tabletów i dostępu do Internetu dla uczniów, którzy nie mają sprzętu do zdalnej nauki. Budżet programu w pierwszym etapie to 187 mln zł. W kolejnym – „Zdalna szkoła+” – do dyspozycji jest dalsze 180 mln. Niezależnie od tego także prywatni operatorzy wspierali swoich klientów podczas pandemii np. pakietami darmowego Internetu, czy darmowym dostępem do stron i zasobów edukacyjnych.

Dobry sprzęt jest ważny, ale bez odpowiednio wydajnej sieci na nic się nie przyda. Dane Eurostatu wskazują na to, że około 80 tys. polskich uczniów nie mogło uczyć się zdalnie z powodu braku odpowiednich łącz internetowych. Co prawda ponad 60 proc. gospodarstw domowych w naszym kraju ma Internet, który umożliwiałby zdalną naukę, ale już na wsi jest ich aż o połowę mniej.

W tej sytuacji niezwykle ważne okazuje się zapewnienie wszystkim Polakom dostępu do szerokopasmowego Internetu. Bez tego wykluczenie cyfrowe będzie się pogłębiać. Aby ten cel zrealizować potrzebujemy w pierwszej kolejności dobrego nowego prawa telekomunikacyjnego, co do którego nastąpi porozumienie zarówno w ramach rządu, jak i pomiędzy wszystkimi zainteresowanymi środowiskami.



Kamila Baranowska

**W Zjednoczonej Prawicy
cały czas wrze
i powstaje wrażenie
– zabójcze dla każdej ekipy
rządzącej – że zajmuje się
głównie sobą**

O tym, co dalej z koalicją i przyszłością Zjednoczonej Prawicy, ma zdecydować głosowanie w sprawie Krajowego Planu Odbudowy. To niezbędne, by móc dostać z Unii Europejskiej wynegocjowane przez premiera Mateusza Morawieckiego pieniądze na walkę ze skutkami pandemii w ramach unijnego Funduszu Odbudowy.

Solidarna Polska od początku krytykowała szefa rządu za to, jak prowadził negocjacje z Brukselą i za ich efekt. To wtedy z ust Ziobry padły słowa, że „w negocjacjach nie można być miększym”, i choć później tłumaczył, że miał na myśli opozycję, a nie premiera, to nikt mu chyba nie uwierzył.

W ostatnich dniach ziobryści znów zaczęli podawać w wątpliwość to, co wynegocjował premier, i przebąkać o tym, że nie zagłosują za planem Morawieckiego. Kaczyński nie kryje, że sytuacja, w której mniejszy koalicjant kontestuje, i to publicznie, w mediach każdy pomysł PiS, zaczyna uniemożliwiać normalną współpracę. Czy to oznacza, że Jarosław Kaczyński jest pogodzony z tym, iż za chwilę będzie miał rząd mniejszościowy? Chociaż takiego scenariusza nie da się wykluczyć, to gdy rozmawiamy z politykami obozu rządzącego, wskazują oni, że tak naprawdę prezes PiS nie chce ani nie zakłada rozpadu koalicji. – Rząd mniejszościowy, wcześniejsze wybory? Nie ma takich planów – słyszymy najczęściej. Po tym zapewnieniu zaczyna się jednak wyliczanie pretensji pod adresem ziobrystów. Ta główna dotyczy braku proporcji. To my wygraliśmy wybory, to dzięki nam Ziobro i jego ludzie weszli w ogóle do Sejmu i dzięki nam są w rządzie, a teraz my mamy być zakładnikami i działać we wszystkim pod ich dyktando. No, trzeba jednak znać i zachować jakieś proporcje w tym wszystkim – oburza się jeden z naszych rozmówców. Do furii kierownictwo PiS doprowadza



Pragmatyzm kontra emocje

też to, że ziobryści, jeśli mają zastrzeżenia do pomysłów PiS czy rządu czy wątpliwości co do nich, to najpierw idą z nimi do mediów. – To działanie na szkodę koalicji, bo nie umawialiśmy się na załatwianie spraw przez media – wręcz przeciwnie, we własnym gronie, bez mediów – wskazuje polityk PiS.

ATAK Z PRAWEJ FLANKI

Co ciekawe, politycy PiS z Jarosławem Kaczyńskim na czele nie są specjalnie zaskoczeni zachowaniem Ziobry i jego postów. Rozumieją bowiem polityczną pragmatykę, która za tym stoi. Solidarna Polska, w przeciwieństwie choćby do Porozumienia Jarosława Gowina, opiera się dokładnie na tym samym elektoracie co PiS. Gdyby przestała istnieć, jej wyborcy nie mieliby najmniejszego problemu, by na Prawo i Sprawiedliwość głosować. I Kaczyński, i Ziobro doskonale o tym wiedzą i pod tym względem ich interesy są nie do pogodzenia. Ziobro, nie wierząc do końca, że Jarosław Kaczyński wpuści Solidarną Polskę na wspólne listy, próbu-

je budować podmiotowość własnej partii w kontrze do PiS, ogłaszając, że to on i Solidarna Polska są prawdziwą prawicą. A przynajmniej prawdziwszą od PiS.

Tymczasem posłowie PiS przekonują, że Jarosław Kaczyński wcale nie wyklucza tego, że w 2023 r. Solidarna Polska i Porozumienie Gowina wystartują z list PiS.

– Jest dokładnie odwrotnie, prezes wie, że pójście do wyborów razem zwiększa prawdopodobieństwo wygranej, a to jest jego główny cel – opowiada nam polityk PiS. – Tyle że Ziobro i Gowin uwierzyli, iż na pewno tak nie będzie, bo Kaczyński się na nich obraził i nie wpuści ich na listy – dodaje.

Tymczasem niedawny sondaż Instytutu Badań Pollster dla „Super Expressu” pokazuje, że w przypadku samodzielnego startu w wyborach Solidarna Polska i Porozumienie nie dostałyby się do Sejmu.

Ziobro, aby zwiększyć swoje szanse przekroczenia progu, musi więc atakować PiS z prawej flanki, a Gowin rozglądać się za ewentualnymi sojusznikami po stronie opozycji. Wszystko to razem



FOT. ANDRZEJ IWANCUK/REPORTER

ziobrystów wbrew PiS jako zemstę za odwołanie Janusza Kowalskiego, posła Solidarnej Polski, z funkcji wiceministra w resorcie aktywów państwowych.

– Nie wiedzieliśmy, że tak będzie, pokazali nam figę, przyjmujemy to do wiadomości, będziemy działać konsekwentnie – komentował sprawę głosowania szef klubu PiS Ryszard Terlecki. Dopytywany, co konkretnie PiS zrobi, powiedział: „Damy po łapkach”. I dodał: – Niestety, tego rodzaju działania muszą rodzić konsekwencje. Są granice cierpliwości.

Dzień po tym głosowaniu Jarosław Kaczyński udzielił wywiadu, w którym nie przebiegał w słowach w kontekście jednego z koalicjantów. „Każdy, kto rozbija dzisiaj prawicę – ale rozbijaniem jest także odmowa głosowania, bo myśmy się umówili na wspólne głosowania – działa przeciw Polsce, przeciw polskiej rodzinie i przeciw polskim wartościom. Trzeba się zjednoczyć, a kto tego nie rozumie, kto tego nie robi, po prostu jest kimś, kto szkodzi” – mówił Polskiej Agencji Prasowej. I dodawał: „Ci, którzy, powtarzam, nie w imię żadnych wartości, bo to są bajki, tylko w imię bardzo partykularnego, a często wręcz osobistego interesu, chcą to zniszczyć, wystawiają sobie świadectwo najgorsze z możliwych”.

Kaczyński ostro potraktował także samego Ziobrę, choć nie wymienił go z nazwiska. Kontekst jego sporu z Morawieckim jest jednak dość czytelny. „To trzeba w końcu powiedzieć, bo to udawanie, że się broni jakichś wartości... Niczego się nie broni, broni się swojego interesu, broni się tego, żeby powiedzieć: nie, pan X nie będzie tutaj gwiazdą, bo ja chcę być gwiazdą, chociaż różnica kwalifikacji jest taka jak pomiędzy Górami Świętokrzyskimi a Tatrami” – podkreślił prezes PiS.

Na zamkniętych spotkaniach z koalicjantami Kaczyński miał podkreślać, że nie może być tak, iż kluczowe dla rządu głosowania – takie jak te dotyczące Krajowego Planu Odbudowy czy za chwilę Nowego Ładu – będą zależały od głosów opozycji.

– Głosując przeciwko PiS, Ziobro de facto zakwestionował przywództwo Kaczyńskiego, a przynajmniej prezes tak to odczytuje. Dlatego zareagował tak ostro – wskazuje jeden z polityków, współpracujących z Kaczyńskim.

Solidarna Polska wydała oświadczenie, że koalicja trwa i że jest wartością. Politycy tej partii publicznie zapewniali, że nie chcą z niej wychodzić, bo to oznaczałoby oddanie pola i umożliwienie zwycięstwa opo-

cji, a to byłby – co podkreślają – scenariusz dla Polski najgorszy. Pojawiają się jednak także inne wypowiedzi, które warto odnotować. – Uważamy, że Zjednoczona Prawica to najlepszy projekt polityczny, ale nic nie trwa wiecznie. Odpowiedzialni politycy muszą brać każdy scenariusz pod uwagę – mówił w TVN24 Michał Woś, wiceminister sprawiedliwości z Solidarnej Polski.

U GOWINA WCIĄŻ GORĄCO

Powrót konfliktu z Solidarną Polską chwilowo przykrył to, co się dzieje u drugiego koalicjanta, czyli w Porozumieniu Jarosława Gowina. Nadal trwa tam spór o przywództwo i właściwie nie wiadomo, jak się to skończy. Część polityków Porozumienia jest przekonana, że Adam Bieleń wywołał kryzys w partii na polecenie samego Jarosława Kaczyńskiego, który w ten sposób chciał maksymalnie osłabić koalicjanta. Bez względu na to, ile jest w tym prawdy, dobrze obrazuje to, jak wysoki jest poziom wzajemnej nieufności wewnątrz Zjednoczonej Prawicy.

Dlatego PiS równolegle z rozmowami z koalicjantami prowadzi także rozmowy z innymi posłami w Sejmie. Nie liczy na stałą współpracę z żadną partią, lecz próbuje wyławiać pojedynczych posłów, którzy mogliby wspierać koalicję w poszczególnych głosowaniach. Wiadomo, że nie da się w ten sposób zastąpić 18 posłów Solidarnej Polski, ale można próbować w ten sposób przywołać do porządku ich lidera.

– Pragmatyka nakazywałaby wszystkim trzem ugrupowaniom, by trzymać się razem, bo żadne z nich nie ma interesu w tym, żeby doprowadzić do rozvodu. Jednak gdy mamy do czynienia z emocjami, urażonymi ambicjami czy brakiem instynktu samozachowawczego, to może być różnie. Bywa tak, że polityk ma świadomość, iż zerwaniem koalicji może doprowadzić do katastrofy własną partię, ale gdy dochodzą emocje osobiste, wyzwala się mechanizm i myślenie, że skoro ja mam utonąć, to utoniemy wszyscy razem – wskazuje dr Sergiusz Trzeciak. I dodaje, że mimo wszystko nie przewiduje upadku koalicji. Przynajmniej jeszcze nie teraz. – W tej chwili każda ze stron ma dużo do stracenia, jeśli idzie o stanowiska rządowe i inne, więc kalkulacja może być taka, że nie opłaca się opuszczać koalicji. Ale sytuacja może się zmienić, np. kilka miesięcy przed wyborami. Inaczej rezygnuje się ze stanowisk trzy lata przed wyborami, a inaczej dwa miesiące przed. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

sprawa, że w Zjednoczonej Prawicy cały czas wrze i powstaje wrażenie – zabójcze dla każdej ekipy rządzącej – że zajmuje się głównie sama sobą.

– Rzeczywistość pokazuje, że w Polsce opozycja dochodzi do władzy dzięki słabości ugrupowań rządzących i wewnętrznym konfliktom w tych ekipach. Jeżeli przeanalizujemy historię i to, jak partie wygrywały wybory, to okaże się, że czynnikiem decydującym były prawie zawsze wewnętrzne podziały i tarcia u rządzących – potwierdza dr Sergiusz Trzeciak, autor książek o kampaniach wyborczych i ekspert ds. komunikacji strategicznej. – Wybory wygrywa się dziś umiejętnością mobilizacji własnego elektoratu i demobilizacji elektoratu przeciwnika. Żyjemy w czasie, gdy polaryzacja jest silna i o wygranej decyduje kilka punktów procentowych. Jeśli Zjednoczona Prawica chce zmobilizować wyborców, to element jedności i pokazania wspólnoty jest bardzo istotny – dodaje.

JEDNOŚCI BRAK

To, jak wygląda koalicyjna jedność w tej chwili, mieliśmy okazję zobaczyć podczas niedawnego głosowania w Sejmie, gdy Solidarna Polska zagłosowała za wnioskiem opozycji w sprawie ujawnienia tego, jak przyznawane były rekompensaty z Funduszu Wsparcia Kultury. Już wcześniej pieniądze, przyznawane artystom w ramach walki ze skutkami pandemii, wzbudziły ogromne kontrowersje opinii publicznej i tym partia Ziobry tłumaczyła swoje stanowisko. Koalicjanta to jednak nie przekonało, podobnie jak komentatorów, którzy odczytywali głosowanie

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Polska stoi dzisiaj przed ogromną szansą, a warunkiem jej wykorzystania jest jedność obozu Zjednoczonej Prawicy; każdy, kto rozbija dzisiaj prawicę, działa przeciwko Polsce” – stwierdził Jarosław Kaczyński. Pan też uważa, że Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry działa przeciw Polsce?

RYSZARD CZARNECKI: Wypowiedź prezesa Prawa i Sprawiedliwości jest stwierdzeniem faktu, zgadzam się z nią, tyle że od lat na rzecz rozbicia prawicy działają media establishmentu liberalno-lewicowego i myślę, że to je Jarosław Kaczyński miał przede wszystkim na myśli. A swoją drogą mam wrażenie, że Zbigniew Ziobro wyciągnął prawidłowe wnioski z doświadczeń

własną tożsamość polityczną. Czyni to rzecz jasna także pod kątem wyborów parlamentarnych, które czekają nas za dwa i pół roku. Nie chodzi im jednak o to – jak twierdzą niektórzy – aby stworzyć własną listę wyborczą, tylko o to, by uzyskać możliwie najlepszą pozycję w ramach Obozu Zjednoczonej Prawicy i przeformować jak najwięcej swoich ludzi na listach PiS, a co za tym idzie – uzyskać jak najwięcej przyszłych posłów. To z kolei ma zagwarantować większy wpływ na układ sił w rządzie w przypadku wygranej lub w opozycji w razie porażki. Nie oceniałbym działań Solidarnej Polski tak jednoznacznie negatywnie. Formacja

odejść Janusz Kowalski. Politycy Solidarnej Polski otwarcie krytykują Mateusza Morawieckiego za uległość wobec Brukseli, wyrażając pogląd, że fotel premiera powinien zająć Jarosław Kaczyński. Michał Wójcik stwierdził, że wynegocjowane przez szefa rządu zapisy dotyczące Funduszu Odbudowy grożą „kolonizacją Polski”...

Cieszę się, że polski rząd składa się z silnych osobowości. Dobrze, że ścierają się w ramach Rady Ministrów, a nie generują tendencje odśrodkowe poza nią. Natomiast premier Morawiecki w negocjacjach z Brukselą odniósł bezapelacyjny sukces w aspekcie finansowym. Otrzymamy z UE największe pieniądze w historii naszego członkostwa. Więcej i tak już



Z Ryszardem Czarneckim, europosem PiS
rozmawia Maciej Pieczyński

Dwa skrzydła prawicy

Jarosława Gowina i jego Porozumienia, które przez kilka lat eksponowało to, co różni je od PiS. Przy czym działa się to za naszym cichym przyzwoleniem. I słusznie, bo dzięki temu Porozumienie skutecznie budowało markę ugrupowania bardziej niż my liberalnego gospodarczo, „proeuropejskiego”. To była próba puszczenia oka do wyborcy centrowego, a także próba zagospodarowania elektoratu, osieroconego przez ideę PO-PiS. Porozumienie właśnie dzięki głoszeniu poglądów trochę innych niż te, które prezentuje PiS, i niezłej kampanii swoich kandydatów na naszych listach znacząco zwiększyło liczbę swoich posłów po ostatnich wyborach parlamentarnych. Nawet uwzględniając obecne podziały i konflikt pomiędzy ludźmi Gowina a zwolennikami Bielana, nie uważając one wyborczego sukcesu tej partii. Solidarna Polska od pewnego czasu również jednoznacznie zaznacza swoją odrębność w ramach koalicji, dość przekonująco sytuując się na prawo od PiS w sprawach europejskich i moralno-obyczajowych. Tym samym kreuje

ministra Ziobry, pokazując, że jest na prawo od PiS, ale pomimo różnic tworzy wraz z PiS jedną drużynę, hamuje odpływ twardego prawicowego elektoratu do Konfederacji. To jest plus tej sytuacji na polu krajowym, wewnętrznym. Jednak takie różnice pomiędzy koalicjantami można również wykorzystać na zewnątrz, w polityce międzynarodowej. Podczas unijnych negocjacji polski rząd zawsze może użyć takiego oto argumentu: „Słuchajcie, nasi koalicjanci są eurosceptykami, musimy poczynić jakieś ustępstwa na ich rzecz, bo to konieczne dla jedności koalicji” i w ten sposób więcej ugrać dla Polski.

Ostatnio jednak spory wewnątrz koalicji są wyjątkowo ostre. Z rządu musiał



FOT. ADAM CHRESTOWSKI/FORUM

nigdy nie dostaniemy. Trzeba bowiem powiedzieć Polakom prosto w oczy – jeszcze w tej dekadzie, za siedem-osiem lat, Polska stanie się płatnikiem netto, co oznacza, że będziemy więcej wpłacać do budżetu unijnego w formie składki członkowskiej, niż z niego otrzymywać. Tym bardziej więc należy uznać, że deal, najpierw wynegocjowany przez premiera w lipcu, a następnie potwierdzony w grudniu, był wielkim sukcesem. Jednak z drugiej strony w tle jest wciąż niedookreślona formuła praworządności. Rozwiązanie tego problemu jedynie odsunęliśmy w czasie. Więcej jednak zrobić się chyba nie dało.

Niedawno Solidarna Polska zagłosowała ręką w rękę z opozycją w sprawie uzupełnienia porządku obrad Sejmu o wysłuchanie informacji ministra Głińskiego. Może jednak koalicjant – by użyć sformułowania Ryszarda Terleckiego – powinien „dostać po łapach”?

Marszałek Terlecki zwykle mówi to, czego nie wypada powiedzieć prezesowi Kaczyńskiemu. W rolę „złego policjanta” wcielił się już wcześniej, gdy publicznie beształ Jarosława Gowina za kombinacje w kwestii prób przesunięcia wyborów prezydenckich. A co do meritum – jestem spokojny o przyszłość naszej koalicji. Śmiesz mnie od lat

niespełnione zapowiedzi polityków opozycji, jak to upada rząd PiS, Porozumienia i Solidarnej Polski. Zapowiedzi rozpadu naszej koalicji słyszę nieprzerwanie od sześciu lat. Ogłaszanie kolejnego końca obozu Zjednoczonej Prawicy przestaje być już irytujące, a zaczyna być śmieszne. Uważam, że możemy się ze sobą nie zgadzać, możemy za sobą nie przepadać i nie chodzić do siebie nawzajem na imieniny, jednak łączy nas wspólny interes. Ba, więcej – łączy nas instynkt samozachowawczy polskiej prawicy, która

w przeszłości niejednokrotnie traciła władzę z powodu braku jedności. Wiem, co mówię, bo doskonale osobiście pamiętam,

spowodowane wewnętrznymi rozłamami, klęski ugrupowań patriotycznych w latach 1993 i 2001. Nie możemy do tego więcej dopuścić. Wyborcy wybaczą nam błędy i potknięcia, ale nie wybaczą braku jedności.

Zajmijmy się opozycją. Rośnie w siłę ruch Szymona Hołowni. W jednym z sondaży nawet wyprzedził PiS. Czy bez pieniędzy i struktur Hołownia przetrwa na fali wznoszącej do wyborów za dwa i pół roku?

Jestem nie tylko politykiem, lecz także historykiem. Dlatego doskonale pamiętam to, o czym niektórzy chcieliby zapomnieć, a mianowicie sondaż z listopada 2016 r., w którym Nowoczesna Ryszarda Petru wyprzedziła PiS. Dziś już mało który wyborca pamięta, że w ogóle byli taka partia i taki polityk. A przecież Petru był kreowany na przyszłego premiera, cieszył się wielkim poparciem mediów i praktycznie nie wychodził ze studia telewizyjnego.

Nie wydaje się panu, że Szymon Hołownia to jednak polityk poważniejszego formatu?

Chciałem tylko powiedzieć, że patrzę z dystansem na pojedyncze sondaże. Hołownia jest sprytnym graczem. Kieruje z wyborców PO komunikat o treści mniej więcej następującej: „To ja najlepiej będę reprezentować Wasze interesy. To, co Platforma spięrzyła, ja zrobię dobrze, bo jestem nową jakością. A przede wszystkim tylko ja jestem w stanie pokonać PiS!”. Hołownia usiłuje również połączyć ogień z wodą, aby przypodobać się wyborcom ze wszystkich stron ideowego sporu. Deklarując się jako katolik, przywiązany do wartości chrześcijańskich, jednocześnie rozmawia z Martą Lempart. Puszczając oko do uczestników manifestacji proaborcyjnych. Zapewnia, że poglądów nie zmienił, tylko je dostosował do zmieniającego się, skręcającego w lewo świata. W sondażach wypada bardzo dobrze. Jednak to, co dziś wydaje się świeżym, atrakcyjnym produktem politycznym, w ciągu dwóch i pół roku może stracić swój czar, a już na pewno straci efekt nowości. Szczególnie że już teraz Hołownia uzupełnia swoje kadry o ludzi, którzy jednoznacznie kojarzą się z PO czy Koalicją Obywatelską.

Sama Platforma również skręca w lewo. Partia pożegnała się z „konserwatywną kotwicą”, deklarując niedawno poparcie dla liberalizacji prawa aborcyjnego. To koniunkturalny zwrot czy może Platforma zwyczajnie przestała udawać partię centrową?

Nie będę udawał – bom nie hipokryta – że mnie to martwi. Platforma, idąc w lewo, zostawia dla nas centrum. Nasza wspólna formacja, mając na lewym skrzydle Gowina, na prawym Ziobrę, ma szansę powalczyć teraz o elektorat bardziej umiarkowany, porzucony przez partię Budki. Nie powiedziałbym jednak, że PO udawała, iż jest ugrupowaniem konserwatywnym. Na początku rzeczywiście takie poglądy były w jej szeregach dość powszechne. Prawda jest taka, że gdy w 2001 r. powstawały PO i PiS, często dziełem przypadku było to, który polityk postsolidarnościowy trafiał do której partii. Obie formacje wyrosły z korzeni chrześcijańskich, prawniczych. Nieprzypadkowo Tusk w kampanii prezydenckiej A.D. 2005 brał ślub kościelny, sądząc najwyraźniej, że to się nie tylko opłaca, lecz także wpisuje w obraz kierowanej przez niego Platformy Obywatelskiej. Dziś zapewne tego typu krok nie kalkuluwałby się politycznie liderowi PO. W szeregach Platformy jest coraz mniej osób o poglądach konserwatywnych – część wyemigrowała do PSL. Ponadto widać wyraźnie, że to media wspierające opozycję decydują, z której strony ma pójść jej przekaz. Uważam, że za tym skretem w lewo stoi także narracja TVN24.

A może również was czeka ten zwrot? Na Zachodzie prawica często chrześcijańska jest tylko z nazwy. Jeszcze kilka lat temu mówiło się o „konserwatywnej rewolucji”, dziś już chyba wyraźnie widać wzrost nastrojów lewicowych. Może więc za parę lat PiS też będzie musiał porzucić konserwatyzm, żeby walczyć o władzę?

Pańskie pytanie przywodzi mi na myśl opublikowany parę dekad temu artykuł w prasie niemieckiej pt. „CDU ohne C”, czyli „CDU bez C”, bez „Christliche”, bez przymiotnika „chrześcijański”. Ma pan rację, na Zachodzie trudno często odróżnić partie centroprawicowe od centrolewicowych. Natomiast Polska to co innego. Pomimo manifestacji proaborcyjnych wciąż jesteśmy krajem, w którym wartości chrześcijańskie są bardzo ważne. Oburzają mnie fizyczne ataki na kościoły, ale z czysto politycznego punktu widzenia nie przejmowałbym się aż tak bardzo opozycją typu Strajk Kobiet. Takie skrajne inicjatywy są zgubne dla opozycji, ponieważ są – przez swój radykalizm – źle przyjmowane przez milczącą większość społeczeństwa. I to nawet przez tych, którzy na co dzień są krytyczni wobec obecnej władzy.



Łukasz Warzecha

Skrócenie szkolenia funkcjonariuszy i upadek renomy przez wypełnianie politycznych zleceń – to przepis na nieszczęście w policji

Strzelaj w opony! W opony strzelaj, mówię!!! – krzyczał jeden z widzów niecodziennej sytuacji na stacji benzynowej w Rymaniu. „Tylko w instrybutor nie strzel, k...!” – instruiował inny, mając na myśli dystrybutor.

Funkcjonariusze (jeden ze stażem dwuletnim, drugi – rocznym) posłuchali rad. Zaczęli strzelać „w opony”, a w „instrybutor” faktycznie nie trafili, choć być może był to czysty przypadek.

Ta akcja skupiła w półtoraminutowym filmiku większą część patologii polskiej policji (na jej szczęście zdarzyło się to już po zakończeniu – 22 lutego – wielkiego badania opinii publicznej, które zafundowała sobie sama policja za ponad 207 tys. zł na grupie 17 tys. respondentów).

W okresie wiosennego lockdownu napisałem w „Do Rzeczy” tekst o tym, jak w ciągu zaledwie paru tygodni policja wizerunkowo stała się milicją. A przecież było to długo przed wydarzeniami z jesieni i zimy, które okazały się przebić wszystko, co wcześniej widzieliśmy. Od tego czasu mieliśmy skandaliczne działania policji wobec postronnych osób i dziennikarzy 11 listopada, za które nikt nie poniósł odpowiedzialności. Mieliśmy bardzo wątpliwe zachowania podczas niektórych demonstracji Strajku Kobiet. Od listopada zaś jesteśmy świadkami coraz agresywniejszych interwencji w otwartych lokalach gastronomicznych. Standardem są pokazówki: pod restaurację podjeżdża nawet kilkanaście radiowozów, wejście blokuje kilkunastu policjantów, kolejnych kilkunastu wchodzi do środka.

Funkcjonariusze nie posiadają imienników i często odmawiają przedstawienia się. Formalnie jest to zgodne z prawem, ponieważ w trakcie interwencji funkcjonują jako tzw. pododdział zwarty, a wówczas imienników posiadać nie muszą. To oczywiście wybieg, bo faktycznie nie jest to sytuacja porównywalna np. z tłumieniem zamieszek czy nawet ochroną demonstracji. Chodzi jedynie



o stworzenie funkcjonariuszom psychicznego komfortu anonimowości, który skutkuje – nic zaskakującego – większą bezczelnością, arogancją i poczuciem braku odpowiedzialności za swoje działania. Kilka miesięcy temu posłowie Lewicy proponowali, aby zlikwidować w Ustawie o policji wyjątki dotyczące posiadania imienników, ale projekt oczywiście przepadł.

Podstawy prawne dla czynności podejmowanych przez policję również budzą ogromne wątpliwości. Usiłowałem dowiedzieć się, na jakiej podstawie wejście do dwóch otwartych klubów we Wrocławiu blokowali policjanci wysłani tam na interwencję w styczniu. Pytania do rzecznika Komendy Miejskiej Policji we Wrocławiu wysłałem dwukrotnie, 31 stycznia i 5 lutego. Odpowiedzi nie dostałem do momentu pisania tego tekstu, a tym samym policja złamała Ustawę o dostępie do informacji publicznej, która zobowiązuje do udzielenia odpowiedzi w ciągu 14 dni lub poinformowa-

nia w tym samym czasie o przedłużeniu terminu jej udzielenia (maksymalnie do dwóch miesięcy).

DRAMATYCZNIE SŁABE WYSZKOLENIE

Kondycję policji najlepiej przedstawić sobie, porównując kilka scen z ostatnich miesięcy.

Scena pierwsza: funkcjonariusze wpadają 11 listopada na dworzec Warszawa-Stadion. Jeden z nich rzuca granatem hukowym w stojących wyraźnie z boku dziennikarzy. Inni wyganiają z peronu stojące tam spokojnie osoby – w tym innych dziennikarzy – bijąc je pałkami. Wcześniej na rondzie de Gaulle’a zostaje postrzelony z broni gładkolufowej fotoreporter „Tygodnika Solidarność” Tomasz Gutry. Film z zajścia pokazuje wyraźnie, że policjant strzelał do już oddalającego się agresora, wcześniej rzucającego czymś w funkcjonariuszy, a zatem najprawdopodobniej złamał Ustawę o broni palnej i środkach przymusu bezpośredniego,



FOT. ADRIEN STOCK

– których w ogóle tam być nie powinno – i zaczynają strzelać „w opony”, czyli w kierunku ziemi. Każdy, kto ma choćby podstawowe obycie z bronią, wie, że rykoszet jest niewiele mniej groźny od bezpośrednio wystrzelonego pocisku. W dodatku liniowa policja używa najtańszej amunicji pełnopłaszczowej (full metal jacket) zamiast droższej grzybkującej (jacketed hollow point). Ta pierwsza ma duże właściwości penetrujące, czyli małą siłę obalającą przeciwnika, za to łatwo przebija różne substancje. A więc łatwiej o rykoszet. Policjanci w ogóle nie powinni używać broni w sytuacjach, gdy wokół są postronne osoby, a pociski mogą trafić w twardą powierzchnię. Tyle że funkcjonariusze nie są wyposażeni w żadne inne działające zdalnie skuteczne środki przymusu (poza mało skutecznym gazem). Nie mają na przykład paralizatorów typu taser.

Przed wszystkim jednak są dramatycznie niewyszkoleni. Dane z 2016 r. wskazywały, że średnio na jednego funkcjonariusza przypadały rocznie 62 naboje na szkoleniach strzeleckich. Pamiętajmy, że to średnia, a więc obejmuje i pododdziały kontrterrorystyczne, i zwykłych posterunkowych z ulicznych patroli. Nawet jeśli od tego czasu ta liczba miałaby wzrosnąć dwukrotnie, to nadal nic. Wystarczy to porównać ze zużyciem amunicji przez przeciętnego strzelca sportowego, który podczas jednej wizyty na strzelnicy zużywa minimum 50 sztuk amunicji, a nierzadko 100 lub jeszcze więcej, jeśli trenuje strzelectwo dynamiczne. Na strzelnicy zaś bywa się kilka razy w miesiącu. Policjanci odbębiają obowiązkowe szkolenia, przy czym w ogóle nie trenują strzelectwa dynamicznego, a to jedyny sposób, aby poradzić sobie z bronią w sytuacji takiej jak ta z Rymania. Strzelanie statyczne nie przygotowuje na takie okoliczności.

O czym tu jednak mówić, skoro w grudniu decyzją komendanta głównego policji podstawowy kurs policyjny został skrócony do zaledwie dwóch miesięcy! Już wcześniej polskie kursy podstawowe należały do najkrótszych w Europie i trwały zaledwie 143 dni. W Wielkiej Brytanii podstawowy kurs trwa podobnie długo, ale natychmiast idzie za nim kolejny okres szkolenia, trwający już dwa lata. Francuska policja rozróżnia kilka poziomów wyszkolenia. Tylko na najniższym z nich – adjoint de sécurité (asystent) – nauka trwała krócej niż wcześniej w Polsce: od 12 do 14 tygodni. Już poziom

wyżej – gardien de la paix (strażnik pokoju) – szkolenie zajmuje rok. W Czechach podstawowy kurs policyjny trwa rok, czyli trzy razy dłużej niż w Polsce.

CHRONIĆ, A NIE ZASZKODZIĆ

Dwa miesiące szkolenia to już igranie z bezpieczeństwem obywateli. Policjant, który wychodzi na ulicę, musi znać podstawy psychologii, umieć rozmawiać z ludźmi, potrafić elastycznie podchodzić do różnych życiowych okoliczności, mieć należytą odporność psychiczną (tego również można się w jakimś stopniu nauczyć), a do tego umieć posługiwać się bronią, znać techniki obezwładniania (wlicza je Ustawa o broni palnej i środkach przymusu bezpośredniego) i jeszcze mieć świadomość, co mu wolno, a czego nie. Po dwóch miesiącach policja będzie dysponować przerażonymi dyletantami, którzy brak wyszkolenia, wiedzy i opanowania będą nadrabiali agresją oraz napastliwością. Nałożymy na to jeszcze dramatyczny upadek renomy munduru w ciągu ostatniego roku, wynikający w dużej mierze z zaspokajania przez policję zapotrzebowania politycznego, a dostajemy receptę na nieszczęście.

Gdy pod adresem policji mnożą się zarzuty nadużywania siły, arogancji, politycznej dyspozycyjności, amatorszczyzny, na policyjnych kontaktach w mediach społecznościowych rośnie liczba kłiwych opowieści o dobrych uczynkach policjantów, a rzecznik KGP Mariusz Ciarka wrzuca na Twitter śmieszne filmiki o tym, jak kogoś przysypał śnieg spadający z dachu albo jak kotek przestraszył pieszaka. Jeśli to ma być ratowanie wizerunku policji, to skutek będzie raczej odwrotny.

Każda władza lubi mieć policję do swojej dyspozycji. Nie inaczej było za Platformy. I wówczas zdarzały się żenujące sytuacje, takie jak niezdarna próba obezwładnienia rosnącego mężczyzny w Bytowie w 2011 r. (uwieszony na ramieniu mężczyzny policjant bezradnie bełkotał: „Wydaję ci polecenie: połóż się na ziemię!”), albo wprost skandaliczne, takie jak skopanie przez funkcjonariusza w cywilu idącego ulicą człowieka 11 listopada 2011 r. Tyle że w tym ostatnim przypadku funkcjonariusz został zidentyfikowany i skazany przez sąd na 1,5 roku pozbawienia wolności w zawieszeniu. Na nic takiego dziś nadziei niestety mieć nie możemy. I to również jest miarą upadku formacji.

kтора pozwala użyć broni jedynie w sytuacji bezpośredniego zagrożenia.

Scena druga: absurdalnie wielkie siły policyjne wpadają do otwartego klubu w Rybniku. Zgodnie z relacją właścicieli w środku zostaje użyty gaz, ludzie są wywlekani na zewnątrz. Nie pozwala im się zabrać ciepłych ubrań, choć na dworze jest mróz. Przedstawiciele rządu podkreślają, że policja działa znakomicie i zgodnie z prawem.

Scena trzecia: w Warszawie i innych miastach w Polsce odbywają się akcje Extinction Rebellion, klimatystycznej jaczki, stawiającej najbardziej radykalne postulaty. Standardową metodą działania jest niespodziewane blokowanie najbardziej ruchliwych ulic. Tak samo dzieje się w stolicy. Policja podejmuje negocjacje, jest łagodna. Dopiero po dłuższym czasie protestujący zostają zniesieni z ulicy.

Scena czwarta: stacja w Rymaniu. Dwóch młodych funkcjonariuszy odprawia chaotyczny taniec wokół demolującego stację auta. Ulegają okrzykom postronnych



Tomasz Rowiński

W TVN trwa kryzys korporacyjny i wizerunkowy

Do tej pory obserwowaliśmy odejścia kadry zarządzającej, potem dziennikarzy, ostatnio zaś doszło do zamknięcia dwóch placówek zagranicznych. Chwilę wcześniej widzieliśmy także kryzys związany z udziałem ważnych osób z władz firmy w szczepieniach poza wyznaczoną przez państwo kolejnością. Teraz dochodzi do tego obszerne listy oskarżające szefostwo stacji podpisane przez „Pracowników TVN” i z ich perspektywy spisane. Wszystko to wiąże się z obecnością w spółce osób związanych z grupą Discovery, od trzech lat właścicielem TVN.

FALA ODEJŚĆ

Zauważalne zmiany w TVN zaczęły się we wrześniu, gdy z zarządu odszedł prezes Piotr Korycki, w październiku odeszli Maciej Maciejowski, odpowiedzialny za pion internetowy, i Tomasz Marszał kontrolujący marketing. W połowie lutego z firmą pożegnali się także dyrektor personalna Agnieszka Tryśła oraz dyrektor zajmujący się komunikacją korporacyjną Marcin Barcz. Odeszli też dziennikarze, śledczy Szymon Jadczyk, laureat nagrody Grand Press Jacek Pałasiński, wieloletni korespondent stacji w Rzymie, ale także wieloletni prowadzący programy, m.in.: Tomasz Marzec (ostatnio „Czarno na białym”), Igor Sokołowski, Maciej Dolega czy Aleksandra Janiec.

„Dostałem bardzo dobrą ofertę, grzechem byłoby nie skorzystać. Niektórzy się zmartwiają, niektórzy cieszą, ale zostaję w mediach” – tłumaczył odejście Jadczyk, który miał opinię jednego z najlepszych dziennikarzy stacji.

Na początku lutego ogłoszono likwidację biura TVN w Moskwie. Nie było to zaskakujące, jeśli weźmie się pod uwagę, że korespondentów z Rosji w ostatnich latach wycofały RMF FM (w 2020 r.), Polsat (w 2019 r.) czy „Gazeta Wyborcza” (w 2015 r.). Pracujący w Moskwie Andrzej Zaucha ma od tej pory „więcej podróżywać”, jak podano, ponieważ zajmie się też wydarzeniami na Ukrainie i Białorusi. W ostatniej dekadzie lutego ogłoszono także likwidację placówki w Paryżu. Anna Kowalska, korespon-



FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

TVN drży w posadach

dentka od ponad pięciu lat, ogłosiła rozstanie ze stacją i pozostanie nad Sekwaną. TVN miał jej zaproponować pracę w warszawskiej siedzibie, z czego dziennikarka nie skorzystała.

Wydarzenia te były w mediach zajmujących się informacją i analizą ze świata biznesu komentowane dość beznamiętnie. „Te odejścia nie były niepokojące, bo można było przyjąć założenie, że nowy właściciel po czasie przeglądania zasobów chciał poukładać firmę na nowo” – mówił Tomasz Sygut, w przeszłości m.in. wice-

dyrektor i dyrektor Telewizyjnej Agencji Informacyjnej oraz naczelny Nowa TV dla portalu BusinessInsider.com.pl. „Przy okazji w pandemii okazało się, że pewne rzeczy można robić taniej” – dodawał ten sam Sygut. „Właściciel szuka możliwości optymalizacji kosztów” – ocenił z kolei Jakub Bierzyński z domu mediowego OMD. I objaśniał: „Wiadomo, że TVN24 to kanał bardzo drogi w realizacji. Stacji informacyjnej nie da się »grać z pudełka« – kupić pakiet filmów, żeby wypełnić ramówkę. Program od A do Z powstaje



Interactive. Według oceny autorów listu było to przedsiębiorstwo o „rodzinnych korzeniach i ugruntowanych wartościach”. Zdeterminowane Discovery jednak po dwóch latach wykupiło nowego inwestora.

NOWE PORZĄDKI

Wyidealizowany obraz dawnego TVN jak jaskrawe tło uwyrażnia wolę Discovery, by złamać dotychczasowy ład korporacyjny i wprowadzić własne porządki. Znamienny jest fragment listu „Pracowników TVN”, w którym czytamy, że nie da się robić dobrej telewizji, kierując się tylko wynikami, jakie daje tabela w Excelu. Doświadczenie światowych korporacji, jak sądzę, jest zupełnie inne – nie trzeba robić rzeczy wartościowych, żeby na nich świetnie zarabiać.

„W ostatnim czasie wydarzyło się kilka mniejszych i większych rzeczy, które przesądziły o tym, że to już nie jest moje miejsce. Odejście to naprawdę niełatwa decyzja, ale uczciwość względem Widzów, Was i samego siebie – nie pozostawia mi innej możliwości. Złe rzeczy – chciałbym zapomnieć. Dobre – pozwolicie, zabiorę ze sobą w postaci wspomnień. Za swoje przewiny – przepraszam. Praca z Wami była przywilejem. Bardzo za to dziękuję” – napisał ponoć w pożegnalnym e-mailu Igor Sokołowski, który rozstał się ze stacją w trybie natychmiastowym.

Taki też jest list „Pracowników TVN” przesłany do 142 mediów i instytucji. Pełen „mniejszych i większych” problemów. Jego autorzy krytykują szefostwo TVN za udział w aferze szczepionkowej, piszą także o tym, że na wewnętrznym spotkaniu sprawująca realną władzę w stacji Katarzyna Kieli nie wykazała żadnej skruchy, a dziennikarzom zakazano mówić o sprawie. Dla autorów listu najbardziej bolesnym wydaje się to, że afera ta ich zdaniem ujawniła podwójne standardy panujące w firmie. Z jednej strony etyka Discovery nakazująca transparentność działań, z drugiej jej instrumentalne traktowanie. Jako przykład złych praktyk podano ankietywanie pracowników na temat prowadzonej działalności gospodarczej, posiadanych akcji i udziałów w spółkach. Według polskiego prawa, jak zauważają autorzy listu, takich informacji pracownik nie ma obowiązku udzielać. Praktyka Discovery ma być inna i za konflikt interesów uważana jest również działalność niekonkurencyjna pracownika, jeśli będzie uznana za ograniczającą dyspozy-

cyjność. Autorzy listu uważają jednak, że firma selekcionuje w ten sposób pracowników, tak by zwalniać ich bez ponoszenia kosztów zwolnień grupowych.

Zdaniem „Pracowników TVN” dochodziło do łamania polskiego prawa handlowego. Oto fragment listu mający opisywać praktyki z czasów przed odejściem Piotra Koryckiego, ale już po przejęciu TVN przez Discovery. „Nieformalnie za sterami TVN stanęła Kasia Kieli, która weszła do rady nadzorczej TVN. [...] Szybko okazało się, że z tylnego siedzenia zarządem TVN kieruje Kasia Kieli, która z poziomu Rady Nadzorczej uczestniczyła w posiedzeniach zarządu spółki, co jest niezgodne z polskim prawem handlowym”.

Wątek ten ma także ciąg dalszy w kolejnych akapitach listu: „W grudniu 2020 Kasia Kieli nagle przestała pełnić jakiejkolwiek funkcje w strukturach TVN Grupa Discovery. Nie jest już członkiem rady nadzorczej TVN, nie pełni żadnej funkcji zarządczej w TVN Grupa Discovery. Po 20 latach nie jest już także prezesem Discovery Polska. Właściwie w Polsce formalnie nie istnieje, ale posiada pełną decyzyjność, bez jakiejkolwiek odpowiedzialności”. Wydaje się, że sprawa ta powinna zostać sprawdzona przez odpowiednie organy nadzoru.

Większość mediów zwróciła uwagę na fragment mówiący o zwolnieniach, jakie miały dotknąć kobiety w ciąży, matki wielodzietnych rodzin czy specjalistów w wieku emerytalnym. Autorzy listu nie podają w tym przypadku konkretów, jak to jest w innych wątkach. Niewątpliwie jednak można się podpisać pod opinią Jolanty Hajdasz z Centrum Monitoringu Wolności Prasy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, która na antenie Polskiego Radia 24 powiedziała, że niezbędna jest odpowiedź na informacje, które pojawiły się w przestrzeni publicznej, a cała sytuacja wymaga wyjaśnienia ze strony szefostwa stacji. Hajdasz odniosła się nie tylko do sposobu funkcjonowania TVN jako firmy, lecz także oskarżeń o blokowanie informacji o stacji. „Pokazuje to mechanizm specyficznej bańki informacyjnej, jaką wokół siebie, wokół tematów przez siebie poruszanych tworzy TVN” – powiedziała Hajdasz, zadając jednocześnie pytanie o to, jak wiele informacji niedotyczących wewnętrznych spraw stacji było w TVN filtrowanych np. ze względów politycznych.

siłą zespołu, »Czarno na białym« czy »Superwizjer« to po prostu bardzo drogie formaty”.

Jednak spod tych chłodnych ocen wydierały przynajmniej niektóre przyczyny gniewu, który można znaleźć w niedawnym liście „Pracowników TVN”.

„Zmiany organizacyjne w grupie TVN Discovery są przesunięciem w czasie efektem konsolidacji TVN i Discovery Polska oraz odpowiedzią na postępujące zmiany na rynku mediów” – ocenił Marek Sowa, w przeszłości m.in. prezes Agory i UPC Polska (opinia dla BI). Innym powodem niezadowolenia pracowników stacji – domniemanym przez ekspertów – było pogorszenie się warunków pracy związane z cięciami kosztów i uproszczeniem struktury organizacyjnej.

Taki obraz sytuacji znajdujemy w rzeczonym liście. TVN, choć jest dużym medium jak na polskie warunki, miał być przez lata firmą zarządzaną niemal na sposób rodzinny, gdzie bardziej od optymalizacji korporacyjnej liczyły się dobra atmosfera i zadowolenie z pracy. To one miały tworzyć dobre wyniki. Mariusz Walter chciał też ponoć uniknąć sytuacji, w której TVN trafi w ręce Discovery, dlatego w przetargu z 2015 r. przyjął ofertę Scripps Networks



Lodołamacze na zbiorniku Włocławek

FOT. WODY POLSKIE

Skruszone zagrożenie



Radosław Wojtas

Gdyby sprawdziły się prognozy i końcówka lutego byłaby tak chłodna, jak się tego spodziewano, mogliśmy w Polsce mieć dramatyczną sytuację powodziową. Wyż z ciepłym zwrotnikowym powietrzem był największym sprzymierzeńcem lodołamaczy, które wypłynęły na polskie rzeki i zbiorniki wodne, by nie dopuścić do powodzi zatorowych. Udało się. Ale czy na głęboki oddech ulgi nie jest jeszcze za wcześnie?

Puma", „Sokół", „Orkan", „Ocelot"... Między innymi takimi imionami ochrzczone są lodołamacze, które mają chronić mieszkańców miejscowości zagrożonych powodzią zatorowymi. Wody Polskie dysponują 25 jednostkami (lodołamaczami czołowymi idącymi na zwanie i liniowymi, które spławiają rozbitą kę, bo dopiero po jej spławieniu można mówić o udanej akcji lodołamania).

Cztery nowe statki są w budowie (kadłub „Ocelota" został zwodowany w czwartek). Lodołamacze w Polsce dawno nie miały tyle pracy co w tym roku. Wedle procedur załogi w grudniu przechodzą w stan pogotowia zimowego, ale ostatni raz wypływały na akcję w przedwiośniu 2018 r. w Szczecinie. W styczniu i lutym tego roku do akcji ruszyła większość jednostek.

Sytuację powodziową jeszcze do niedawna hydrologzy określali jako dramatyczną. – W najbardziej dramatycznym momencie pokrywa lodowa od zbiornika we Włocławku i na Wiśle aż za Wyszogrod miała długość 117 km – mówi „Do Rzeczy" Sergiusz Kieruzel, rzecznik prasowy Wód Polskich.

METR NA GODZINĘ

Okoliczności zaczęły robić się alarmujące w drugiej połowie stycznia. Część centrów operacyjnych Wód Polskich przeszło w tryb pracy 24/7 już 11 stycznia, kiedy lokalnie, m.in. na środkowej Wiśle i dolnej Odrze, zaczęły powstawać pierwsze zjawiska lodowe. W drugiej połowie miesiąca proces ten przyspieszył. Pod koniec stycznia na Odrze, a zwłaszcza w dorzeczu Wisły, tworzyły się pokrywy lodowe długości 10 km. 27 stycznia lodołamacze wypłynęły na zbiornik we Włocławku i zaczęły przebijać się w stronę Płocka, bo tam utworzył się zator zagrażający nie tyle samemu Płockowi, ile nadwiślańskim

miejscowościom od Płocka w stronę Warszawy. Do końca stycznia zator ten został rozbity i woda w Wiśle szybko opadła ze stanów alarmowych do ostrzegawczych.

Po kilkudniowym ociepleniu na początku lutego przyszły przeciągające się na ponad dwa tygodnie mrozy połączone z intensywnymi opadami śniegu. Temperatura w nocy spadała poniżej –20 st. C, a przy gruncie nawet do –32 st. (Białystok, 7 lutego). Cały kraj pokryty był śniegiem, i to takim z wysokim parametrem zwanym zapasem wody w śniegu. – Stworzyły się bardzo niebezpieczne warunki hydrologiczne, bo topniejącej pokrywie śnieżnej zaczęły towarzyszyć występujące w całym kraju zjawiska lodowe na rzekach i zbiornikach retencyjnych – mówi nam Grzegorz Walijewski, dyżurny synoptyk hydrologiczny kraju, rzecznik prasowy IMGW-PIB. – W niektórych rejonach kraju, zwłaszcza w centralnej i północno-wschodniej Polsce, rzeki były całkowicie skute lodem, od prawego do lewego brzegu. Tworzyły się również groźne zatory śryżowo-lodowe, które niebezpiecznie podpiętrzały wodę. Prognozy były mało optymistyczne, występowało realne ryzyko wezbrania roztopowego, co w połączeniu ze zjawiskami lodowymi powodowało duże zagrożenie – dodaje.

Rzeka zamarza w inny sposób niż zbiornik ze stałą wodą, którego powierzchnia po prostu zostaje skuta lodem.

W rzece woda cały czas jest w ruchu. Podczas mrozów na jej powierzchni zaczynają tworzyć się kryształki lodu, tzw. śryż, które płyną z nurtem, aż nie spotkają przeszkody, na której się zatrzymują. Zaczynają się gromadzić w tym miejscu, a pod istniejącą pokrywę lodową dostaje się coraz więcej nowego lodu, tworząc tzw. podbitki, które z czasem mogą utworzyć górę lodową. Jej miąższość (czyli grubość) może mieć nawet kilka metrów. W końcu powstaje zator, który z czasem utrudnia przepływ wody i powoduje wystąpienie rzeki z koryta.

– Takie wezbrania są bardzo gwałtowne, w ciągu godziny może przybyć nawet metr wody, która bardzo szybko wylewa się z koryta rzeki, i dochodzi do powodzi. A powodzie zimowe są o tyle niebezpieczne, że wylana woda często zamarza na posesjach czy w zalanych budynkach i ciężko się jej pozbyć – mówi Grzegorz Walijewski.

Przez cały luty z niepokojem na rzeki spoglądali mieszkańcy sporej części Polski. Szczególnie niebezpiecznie było na odcinku Wisły między ujściem Narwi a Płockiem (okolice m.in. Płocka, Kępy Polskiej, Wyszogrodu, Modlina), na Narwi i Bugu, przy ujściowym odcinku Odry, ale tak naprawdę do powodzi mogło dojść w każdej części Niżu Polskiego.

SCENARIUSZ '82

Prognozy pogody na luty przypominały sytuację ze stycznia 1982 r. Po opadach śniegu i mrozach, które skuły lodem rzeki i zbiorniki wodne, przyszła gwałtowna odwilż. Dużo śniegu stopniało, a stan wody znacznie się podniósł. I wtedy nad północ kraju nadciągnął front mroźnego powietrza. – W Krakowie było 5 st. C, a w Gdańsku –20 st., więc Wisła zamarzała w górę, stawała i pokrywała się lodem. Kra i śryż spływające z górnych odcinków Wisły utworzyły w środkowej i górnej części zbiornika Włocławek oraz powyżej niego zatory o niespotykanych dotąd rozmiarach – wspomina w artykule Jowity Hakobert dr Krzysztof Polak, ekspert w Departamencie Przygotowywania i Realizacji Inwestycji Wód Polskich. Wiele czynników nałożyło się wtedy na to, że doszło do najpoważniejszej jak dotąd powodzi zatorowej, w której zalanych i podtopionych zostało ponad 5 tys. budynków, w tym Płocka Stocznia Rzeczna, Państwowe Zakłady Zbożowe, magazyn i port Warszawskiej Żeglugi.

Oczywiście nie było w tym roku aż takich różnic temperatur między połu-

dniem a północą Polski i aż tyle śniegu, ale mechanizm pogodowy – śnieg i mróz, odwilż i znów mróz – miał duże szanse się powtórzyć. – Zagrożenie było realne. Przez zator na Wiśle w okolicach Płocka woda podpiętrzyła się i wylewała. Jeśli na to nałożyłoby się wezbranie roztopowe, które jeszcze bardziej podniosłoby stan wody, to sytuacja byłaby wręcz katastroficznie niebezpieczna – mówi rzecznik IMGW-PIB.

Lodołamacze czekały w gotowości, ale nie mogły zacząć działać. – Mrozy utrzymywały się i długo nie mogliśmy rozpocząć akcji lodołamania, by nie produkować jeszcze grubszej pokrywy lodowej – mówi Sergiusz Kieruzel z Wód Polskich. – W 1982 r. mimo silnego mrozu lodołamacze wyszły na zbiornik Włocławek, pokruszyły lód, który później zamarzł, i z warstwy kilkudziesięciocentymetrowej zrobiła się kilkumetrowa, i to na długim odcinku. Powstała ściana lodu, której przy kolejnym wezbraniu lodołamacze nie były już w stanie skruszyć, co przyczyniło się do tak wielkich rozmiarów powodzi – dodaje.

Dogodne warunki pogodowe pojawiły się 13 lutego, później nastąpiła krótka przerwa, ale już od 17 lutego lodołamacze codziennie kruszyły i spławiały lód w niewralgicznych miejscach. Na Wiśle akcja trwała do 1 marca, na Odrze skończyła się nieco szybciej. Jedną z trudniejszych operacji prowadzono na wąskim odcinku Wisły między Dobrzykowem a Kępą Polską, gdzie powstał trzykilometrowy, potężny zator. – Dwa lodołamacze uderzały w zator, potem szybko były zamieniane na inne dwa, a pozostałe lodołamacze dbały o to, by kra była spławiana. To była wymagająca akcja, trudna do przeprowadzenia na wąskim odcinku rzeki. Cały czas byliśmy w kontakcie z wojskami inżynieryjnymi, które mogły wysadzać lód, gdyby tylko zaszła taka potrzeba – opowiada Sergiusz Kieruzel.

Kiedy na wodzie trwała walka z lodem, wysoko nad naszymi głowami toczyło się inne starcie, które zresztą trwa nieustannie w naszym klimacie – między ciepłym południowo-zachodnim powietrzem a zimnym północno-wschodnim i wschodnim. Pod koniec lutego zwrotnikowy wyż niespodziewanie dotarł nad Polskę i wyparł masy arktycznego powietrza na wschód. 25 lutego w Makowie Podhalańskim padł niepokonyty od 1990 r. (21,4 st. C) rekord temperatury w lutym dla Polski. Termometry wskaza-

ły 22,1 st. C. Lokalne rekordy notowano w wielu miejscowościach, m.in. w Poznaniu (18,1 st. C), Warszawie (18,3 st. C), we Wrocławiu (20,6 st. C), w Jeleniej Górze (21,2 st. C), a nawet wysoko w górach (na Kasprowym Wierchu zanotowano 9,9 st. C; dotychczasowy rekord na tym szczycie padł w 1989 r., kiedy odnotowano tam 7,8 st. C). – Tak wysoka temperatura połączona z bezchmurnym niebem powodowała jeszcze szybsze topnienie pokrywy śnieżnej i – co bardzo ważne – wzmożone parowanie, a z drugiej strony roztopiała i ułatwiała kruszenie lodu na rzekach – mówi Grzegorz Walijewski.

WCIAŻ DUŻO ŚNIEGU W GÓRACH

Czy to oznacza, że powodzi już nie będzie? – Nawet jeśli przyjdzie jeszcze ochłodzenie, to nie będzie ono tak mroźne, jak prognozowano jeszcze dwa tygodnie temu, i dosięgnie raczej tylko wschodu i północnego wschodu kraju, zahaczając jedynie o centrum. Taka pogoda nie spowoduje tworzenia się zatorów. Na Wiśle sytuacja jest względnie opanowana, ale do sytuacji wezbraniowo-powodziowych może dochodzić jeszcze na zlewni Bugu i Narwi. Jest duże prawdopodobieństwo, że rzeki te wyleją w miejscach, w których zazwyczaj to robią podczas wiosennych roztopów. Na razie sytuacja hydrologiczna nie jest tak dramatycznie zła, jak to było prognozowane dwa tygodnie temu – mówi rzecznik IMGW-PIB.

W górach wciąż jest sporo śniegu – np. na Kasprowym Wierchu ponad metr; na Śnieżce nieco ponad 90 cm – ale i on nie powinien być groźny w kontekście roztopów. Lutowe ocieplenie stopiło pewną ilość górskiego śniegu, ale nocne mrozy zrobiły swoje, zamieniając jego wierzchnią warstwę w lodoszeń. Śnieg z gór powinien więc topnieć powoli, do maja, a nawet czerwca. – Akurat topniący śnieg i niewielkie wezbrania roztopowe są bardzo korzystne, bo poprawiają poziom wód gruntowych i powierzchniowych, zwiększają też wilgotność gleby. W konsekwencji zapewniają lepsze plony. Oczywiście jeśli wiosną nie przyjdzie okres bezopadowy bądź nie będzie innych niespodziewanych zjawisk, to ryzyko suszy wiosenno-letniej jest zdecydowanie mniejsze niż rok czy dwa lata temu. Pogoda tym razem sprzyjała nam wszystkim, a nie zawsze przecież tak jest – konkluduje Grzegorz Walijewski.

To już koniec dominacji Pałacu Kultury i Nauki nad Warszawą. 21 lutego PKiN został zdetronizowany. Wraz z montażem ważącej 73 tony iglicy najwyższym budynkiem stolicy stał się drapacz chmur Varso Tower powstający u zbiegu al. Jana Pawła II i ul. Chmielnej. Budynek mierzy teraz 310 metrów. Dzięki temu jest najwyższym budynkiem nie tylko w Warszawie, lecz także w Unii Europejskiej. Varso Tower w tyle zostawiła dotychczasowego lidera UE – mierzący 300 metrów wieżowiec Commerzbank Tower we Frankfurcie nad Menem.

W Europie Varso Tower wyprzedziła nieznacznie londyński drapacz chmur The Shard (309,6 m). Na kontynencie europejskim zajmuje jednak piąte miejsce wśród najwyższych budynków. Wyprzedzają ją rosyjskie gmachy: Łachta Centr w Petersburgu (462 metry) i moskiewskie Wieża Federacji (374,7), jedna z wież OKO (354) oraz Mercury City Tower (338,8).

20 TYS. TON STALI, 15 TYS. BETONOWOZÓW

Varso Tower to element inwestycji Varso Place, która składa się z trzech budynków. Dwa niższe – Varso 1 i Varso 2 – zostały już oddane do użytku. – Powierzchnia działki, na której powstały trzy wieżowce Varso Place, to ok. 1,7 ha. Podczas prac ziemnych z budowy wywieziono blisko ćwierć miliona m sześć. ziemi. Do budowy wykorzystano ok. 20 tys. ton stali oraz prawie 140 tys. m sześć. betonu, czyli ponad 15 tys. standardowych betonowozów (ustawione jeden za drugim okrążyłyby kulę ziemską prawie 3,5 razy). W szczycie robót na budowie pracowało nawet 1,3 tys. osób – mówi Marcin Chruśliński, development manager z HB Reavis Poland, firmy, która jest inwestorem.

W 53-kondygnacyjnym Varso Tower przewidziano 64 tys. mkw. powierzchni biurowej oraz m.in. taras widokowy na wysokości 230 metrów (to dwa razy wyżej niż taras widokowy PKiN) i trzy poziomą restaurację z widokiem na Warszawę. – W lobby budynku będzie można podziwiać mozaikę na dwóch ścianach wielkości boiska do siatkówki każda. Mozaika jest ręcznie wykonana przez warszawską artystkę Krystynę Kaszubę-Wacławek i składać się będzie z 1,8 tys. kafli – mówi Chruśliński.

Z lobby dwie przeszklone windy z prędkością 8 m/s zabiorą pasażerów na szczyt wieżowca. Winda, która będzie

Sen o wieżowcach



Agnieszka Niewińska

Warszawska Varso Tower po zamontowaniu iglicy stała się najwyższym wieżowcem Unii Europejskiej. To jednak nie pierwszy polski budowlany rekord. Nieco ponad sto lat temu zachwycano się wysokością budynku PAST-y



Varso Tower to część inwestycji Varso Place, która składa się z trzech budynków FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

wwozić turystów na taras widokowy, znajduje się w wieńczącej budynek iglica. W jej wyższej części będzie możliwy montaż nadajników telekomunikacyjnych. Varso Tower ma mieć też podziemny parking na 1,1 tys. aut i połączenie z Dworcem Centralnym.

Inwestor chwali się także rozwiązaniami proekologicznymi. – Dzięki przyjaznym dla środowiska materiałom budowlanym i wykończeniowym ograniczamy poziom zanieczyszczeń do minimum, zapewniając najwyższy komfort pracy. Montujemy energooszczędne systemy klimatyzacji i ogrzewania, stosujemy oświetlenie LED i dbamy o zmniejszenie zużycia wody. Dużą wagę przywiązujemy do dostępności komunikacyjnej oraz promocji alternatywnych środków transportu (w Varso Place jest aż 750 stojaków rowerowych). W naszych budynkach znajdują się też stanowiska do ładowania elektrycznych samochodów i hulajnóg. Ponieważ w Varso Place codziennie przebywać będzie kilkanaście tysięcy osób, zależało nam, aby była to przestrzeń sprzyjająca ich zdrowiu i dobremu samopoczuciu – podkreśla Marcin Chruśliński.

Powierzchnie w Varso 1 i Varso 2 są już w całości wynajęte. Firmy działają w tych budynkach od zeszłej wiosny. Varso Tower będzie gotowa na przyjęcie najemców mniej więcej za rok. – Rozmawiamy z firmami zainteresowanymi przeprowadzką od 2022 r. w górę. Podpisaliśmy pierwsze listy intencyjne i liczymy, że w najbliższym czasie przerodzą się one w umowy najmu – mówi Chruśliński.

PASTA Z REKORDEM

Varso Tower to jednak nie pierwszy polski budynek z rekordem. W 1908 r. przy ul. Zielnej w Warszawie ukończono przypominający wieżę zamkową gmach szwedzkiego Towarzystwa Akcyjnego Telefonów Cedergrén. Od 1922 r. budynek przejęła Polska Akcyjna Spółka Telefoniczna i stąd wysokościowiec do dziś nazywany jest PAST-ą. W chwili ukończenia budowy wieżowiec przy Zielnej był najwyższym budynkiem świeckim nie tylko w Polsce, lecz także w całym Imperium Rosyjskim.

– Warszawa była wówczas bardzo „wysokim” miastem. Z czego to wynikało? Do 1943 r. (do powstania w getcie) była najgęściej zabudowanym miastem Europy i obu Ameryk, z największą

gęstością zaludnienia. Warszawę pod tym względem wyprzedzały wówczas jedynie dwa miasta w Azji. Wynikało to ze wzrostu liczby mieszkańców po 1918 r., ale także z przepisów narzuconych przez władze zaborcze, które miały ograniczać rozrastanie się miasta, co podyktowane było względami militarnymi. Warszawa mogła rosnąć tylko w górę – tłumaczy Jarosław Trybuś, historyk sztuki, krytyk architektury, wicedyrektor Muzeum Warszawy. I dodaje: – Zarówno współcześnie, jak i w poprzednich wiekach we wznoszeniu coraz wyższych budynków znaczenie miały nie tylko nowe rozwiązania konstrukcyjne, lecz także symbolika. Zawsze chodzi o dominację. Najpierw nad miastami dominowały wieże kościelne. Potem chodziło o dominację kapitału, konkretnej spółki.

W całej Europie Varso Tower zajmuje piąte miejsce wśród najwyższych budynków

Wizytówką brytyjskiego Towarzystwa Ubezpieczeń Prudential miał być wieżowiec przy pl. Napoleona 9 w Warszawie (dziś pl. Powstańców Warszawy), powszechnie nazywany Prudentialem. Mierzący 66 metrów gmach, którego budowę zakończono w latach 1933–1934, zdetronizował katowicki Drapacz Chmur (62 m), którego zaczęto wznosić w 1929 r.

– Konstrukcję Prudentialu zaprojektował Stefan Bryła. Był pierwszym konstruktorem na świecie, który zastosował konstrukcję spawaną. Wcześniej stalowe elementy łączono za pomocą nitów. Tak wykonano m.in. wieżę Eiffla. Spawanie pozwalało na szybsze wznoszenie budynków, ale dawało też konstrukcji większą elastyczność i wytrzymałość. Bryła w tej technice wcześniej zaprojektował most w Maurzycach pod Łowiczem, ale Prudential był pierwszym wieżowcem o spawanej konstrukcji. Architektem budynku był Marcin Weinfeld. I choć zlecenie to zdobył prawdopodobnie dzięki znajomościom, a nie doświadczeniu w budowaniu wysokich domów, to Prudential wyszedł mu dobrze. Budynek ma dobre proporcje, wygodny układ wnętrza i eleganckie elewacje. Zwężenie w górnej części budynku nawiązywało do Nowego Jorku. W Polsce był to gest estetyczny,

mało kto jednak wie, że nowojorskie wieżowce zwrężyły się u góry ze względu na przepisy prawa. Chodziło o to, żeby nadmiernie nie zacięły okolicy. Z tych wzorców korzystali architekci nie tylko polscy, lecz także moskiewscy. Z tego względu także bryła PKiN jest uskokowa – opowiada Jarosław Trybuś.

W budynku Prudentialu na pierwszych sześciu kondygnacjach znajdowały się biura, sale operacyjne Towarzystwa Ubezpieczeń Prudential. Nad nimi było jedno piętro buforowe z niewielkimi mieszkaniami, a wyżej eleganckie apartamenty zajmujące całą kondygnację, czyli 240 mkw. – Kto zajmował te apartamenty? Bogacze tamtych czasów. Żeby zachęcić ich do zamieszkania w wieżowcu, jeden apartament czy kilka przeznaczano dla ówczesnych celebrytów. To przyciągało majątnych inwestorów. Dziś też stosuje się tę technikę. Nieprzypadkowo jeden z apartamentów w wieżowcu Żłota 44 należy do Roberta Lewandowskiego – mówi Jarosław Trybuś. Dodaje, że powstający Prudential w II RP budził mieszane uczucia. Środowiska narodowo-konserwatywne zarzucały budowniczym, że przeszczepiają na warszawski grunt obce wzorce. Niektórzy krytycy podnosili to, że wieżowce wprowadzają w mieście chaos. – Tyle że Warszawa w tamtym czasie była miastem chaotycznym. Wieżowce raczej porządkowały przestrzeń, pomagały się w niej odnaleźć. Przed wojną Prudential pełnił funkcję, jaką dziś pełni PKiN, będący punktem orientacyjnym, wskazującym, gdzie jest centrum miasta.

KTO PRZEŚCIGNIE VARSO?

Po wojnie budynek Prudentialu znacjonalizowano. Ukończony w 1955 r. PKiN, mierzący 237 metrów, aż do teraz był czempionem wysokości. – Warszawa śniła sen o wieżowcach. To nie do końca prawda, że po wojnie Pałac Kultury został nam narzucony. Chcieliśmy drapacz chmur w stolicy, choć nie zupełnie takich jak PKiN, który przerósł wszystkie inne budynki i zdominował przestrzeń. Może Varso, który przerósł PKiN, jest zwieńczeniem tego snu o wieżowcach? Myślę, że na długo pozostanie najwyższym budynkiem Warszawy. W czasie kryzysu nikogo może nie być stać na budowę jeszcze wyższego drapacza chmur. A może już nie trzeba będzie budować wyżej? – zastanawia się Jarosław Trybuś.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

I stnieli zawsze: wagabundy, włóczyki, wędrowni pracownicy, niespokojne duchy. Jednak teraz, w trzecim milenium, pojawiło się nowe koczownicze plemię. Ludzie, którzy nigdy nie przypuszczali, że zostaną nomadami, wyruszają w drogę – pisze we wstępie do książki „Nomadland. W drodze za pracę” Jessica Bruder. Ekranizacja jej opowieści o współczesnych wędrowcach, którzy nie mówią o sobie, że są bezdomni, lecz „bezmiejscowi”, została w tym roku nagrodzona Złotym Globem w dwóch kategoriach: najlepszy film i najlepsza reżyseria. Dla Chloé Zhao, reżyserki i autorki scenariusza, to kolejne wielkie wyróżnienie – ten sam film wcześniej zdobył Złotego Lwa na festiwalu filmowym w Wenecji.

CO SIĘ STAŁO Z AMERYKĄ?

Polscy czytelnicy już mogą sięgnąć po książkę Jessiki Bruder, na film „Nomadland” poczekają do 19 marca (o ile kina pozostaną otwarte, wszak walczymy już z trzecią falą epidemii koronawirusa). Ważny to głos w dyskusji o tym, co się stało ze współczesną Ameryką – fenomen, którego dotyczy, to efekt kryzysu finansowego 2008 r. Była to prawdziwa katastrofa dla dużej części klasy średniej, której dylematy Bruder opisuje tak: „Wolisz mieć na jedzenie czy pójść do dentysty? Spłacić ratę kredytu czy rachunek za prąd? Uregulować ratę za samochód czy kupić leki? Wydać na czynsz czy na spłatę pożyczki studenckiej?”. Bohaterowi „Nomadlandu” zamienili zadłużone (albo zlicytowane przez banki) domy na busy, kampery czy pick-upy i żyją dziś od zlecenia do zlecenia, wędrując po Stanach za pracą sezonową. Problem jest głębszy i nie dotyczy tylko Ameryki – współczesny turbokapitalizm niszczy podstawę wolności, jaką jest własność, bo pożądanym przez wiek XXI obywatelem nie jest już, jak to dawniej bywało, posiadacz własnego domu, własnej ziemi, własnego małego biznesu i własnych poglądów, lecz żyjący na kredyt w wynajętym mieszkaniu pracownik najemny w pełni uzależniony od pracodawcy. Paradoksalnie bohaterowie „Nomadlandu” odnajdują wolność poprzez ucieczkę z systemu. Niewielkie to pocieszenie. Wiodą życie na krawędzi.

Złote Globy, nagrody przyznawane przez Hollywoodzkie Stowarzyszenie Prasy Zagranicznej, często uznawane są za zapowiedź tego, co będzie działo

się na Oscarach. Nie zawsze się to sprawdza, w tym roku zaś sprawa wydaje się bardziej skomplikowana niż zwykle. Nagrody Akademii Filmowej to w ostatnich latach festiwal poprawności politycznej, z tego punktu widzenia werdykt zagranicznych dziennikarzy okazuje się konserwatywny. „Nomadland” wygrał

a także feministyczny dramat zemsty „Obiecująca. Młoda. Kobieta” Emerald Fennell (w polskich kinach od minionego weekendu). Coś mi mówi, że podczas Oscarów wszystkie te produkcje mogą mieć więcej szczęścia. Podobnie jak nominowany w trzech kategoriach, a pominięty w nagrodach dramat Reginy King „Pewnej nocy w Miami”

Czas nomadów



Piotr Gociek

Świetny dramat „Nomadland” najlepszym filmem, „The Crown” najlepszym serialem, a „Gambit królowej” – miniserialem. Niemal wszystkie nagrodzone Złotymi Globami produkcje możemy oglądać już w Polsce

z mocno ideologiczną konkurencją. Nominowane były przecież takie filmy jak „Proces Siódemki z Chicago” Aarona Sorkina o dzielnych rewolucjonistach kontrkulturowcach (ale Sorkin dostał statuettę za scenariusz), „Mank” Davida Finchera o wstrętnych bogaczach niszczących Hollywood i demokrację oraz prześladowanych homoseksualistów (obydwa z Netflix),

(Amazon Prime), opowieść o dylematach targających czarną społecznością pół wieku temu – Malcolm X, Cassius Clay, Sam Cooke i Jim Brown prowadzący dyskusję o tym, jak najlepiej walczyć o prawa Afroamerykanów.

Nie może się cieszyć natomiast grająca w filmie „Nomadland” główną rolę Frances McDormand – choć uznawano ją za faworytkę, Złoty Glob trafił

do Andry Day za występ w filmie „The United States vs. Billie Holiday”. Jeszcze nie widziałem, więc się nie wypowiadam, odnotuję jednak, że werdyktem zdumiona była nie tylko publiczność, lecz także sama nagrodzona. Nagrodę dla najlepszego aktora – Chadwick Boseman w „Ma Rainey: Matka bluesa” – wypada uznać częściowo za wyróżnienie honorowe.



„Nomadland” w polskich kinach premierę ma mieć 19 marca FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Boseman zmarł przedwcześnie w sierpniu minionego roku, więc nie będzie już kolejnych okazji, by go nagrodzić. Moim zdaniem były wśród nominowanych dwie lepsze kreacje: Anthony Hopkins w filmie „Ojciec” oraz Riz Ahmed w filmie „Sound of Metal” (już w polskich kinach, także na Amazon Prime).

Złote Globy osobno przyznawane są dramatom i osobno w kategorii: najlep-

szy musical lub najlepsza komedia. Tutaj zwyciężył „Kolejny film o Boracie”, mniej zabawny od oryginału, ale antytrumpowa agitka. Wygrana podwójna, bo nagrodę za najlepszą komediową rolę męską zgarnął Sacha Baron Cohen. Inna sprawa, że konkurencja nie była ciekawa, z wyjątkiem świetnej komedii „Palm Springs” Maxa Barbakowa (to był mój typ i tego się trzymam). Zasłużony Złoty Glob w kategorii aktorek komediowych trafił zaś do Rosamund Pike za świetną kreację w czarnej komedii „O wszystko zadbam” (film dostępny jest w serwisie Netflix, nowego Borata znajdziecie na Amazon Prime).

Wśród animacji niespodzianki nie było, „Co w duszy gra” (także nagroda za muzykę), nowa kreskówka Pixara, ty powana była powszechnie do wygranej. Za najlepszy film obcojęzyczny uznano „Minari” (reżyseria Lee Isaac Chung), opowieść o koreańskich imigrantach próbujących ułożyć sobie życie na amerykańskiej prowincji lat 80. XX w.

W TELEWIZJI DOCENILI

Złote Globy to także nagrody dla produkcji telewizyjnych. I tu działy się niemal same dobre rzeczy. Wielkim zwycięzcą w kategorii seriali dramatycznych okazuje się czwarty sezon popularnej opowieści o brytyjskiej monarchii „The Crown”: najlepszy serial plus trzy zwycięstwa w kategoriach aktorskich (role główne oraz drugoplanowa rola żeńska – Gillian Anderson jako premier Margaret Thatcher). Za najlepszy serial komediowy uznano z kolei kanadyjski sitcom „Schitt’s Creek” – wszystko na jego temat mówi to, że chwalony jest za „panseksualnego” głównego bohatera i za to, że inni bohaterowie traktują go bez homofobii. Ucieszyła mnie nagroda dla najlepszego aktora w serialu komediowym, która trafiła do Jasona Sudeikisa za występ w pierwszym sezonie produkcji Apple TV+ „Ted Lasso”. To serial znakomity i mocno niedoceniany.

Polscy widzowie, którzy podobnie jak reszta świata zakochali się w miniserii „Gambit królowej”, będą zadowoleni, że ta netfliksowa ekranizacja powieści Waltera Tevisa wygrała w kategorii: najlepszy krótki serial lub film telewizyjny, a grająca główną rolę Anya Taylor-Joy uznana została za najlepszą aktorkę. Doceniono też kunszt Marka Ruffalo za fenomenalny występ w mrocznym i bolesnym miniseriale HBO „To wiem na pewno”.

Właściwie niemal wszystkie nagrody w kategoriach telewizyjnych wydają mi się w tym roku zasłużone, z jednym wyjątkiem – zamiast „Schitt’s Creek” wśród komediowych produkcji nagrodziłbym „Stewardesę” albo „Teda Lasso”.

Zdecydowana większość wyróżnionych Złotymi Globami (oraz nominowanych) produkcji serialowych znana jest już nad Wisłą. Z filmami jest podobnie, w czym podwójna zasługa serwisów streamingowych. Po pierwsze, nie traktują Polski jako rynku drugiej kategorii, więc cieszymy się premierami w tym samym czasie co reszta świata. Po drugie, internetowi giganci oparli się pandemii i regularnie wprowadzali nowe tytuły, podczas gdy wielkie tradycyjne wytwórnie zrezygnowały z większości premier wskutek lockdownu w kinach. Dwa tytuły chciałbym podpowiedzieć, bo uważam je za wartościowe, a przez polskiego widza zostały przegapione. Na Amazon Prime znaleźć można „The Personal History of David Copperfield”, jeden z lepszych filmów roku 2020 (świetna rola Deva Patel), wśród licznych nowości HBO mniejszym zainteresowaniem, niż powinien, cieszył się miniseria „Perry Mason”.

Trzeba też zauważyć – z ulgą – że w tym roku werdykt dziennikarzy zagranicznych przyznających Złote Globy pominął produkcje kiepskie, ale słuszne. A sporo było ich wśród nominowanych. Nie tylko wspomniani już „Mank”, lecz także dwie koszmarnie miniserie Netflixa „Ratchet” oraz „Hollywood” i zenujący „Bal” (z tej samej stajni) oraz słabiutki film o autyzmie „Music” (niedawno wydany w Polsce na DVD). Nie znaczy to jednak, że nad Hollywoodzkim Stowarzyszeniem Prasy Zagranicznej nie zbierają się ciemne chmury. Ostrzał prowadzony jest przez szturmowców politycznej poprawności, którzy domagają się – tak jak w przypadku Oscarów – by nie oceniać wedle wartości, lecz wedle mniejszości (etnicznych i seksualnych). Już się więc szefostwo związku kaja i obiecuje, że wśród nominujących i nagradzających będzie w przyszłości większa rasowa różnorodność. Co musi pobudzać do zadania pytania: Z jakich krajów będą dobierani nowi członkowie stowarzyszenia i wedle jakiego klucza? Jak rozumiem, w myśl zasady: nieważne, czy wasz amerykański korespondent zna się na kinie, ważne, żeby miał odpowiedni odcień skóry. Jeśli to nie jest rasizm, to już nie wiem, co nim jest.



Tomasz Zbigniew Zapert

**Krupnicza 22 w Krakowie,
Bandurskiego 8 w Łodzi,
Noskowskiego 24 w Poznaniu
oraz Iwicka 8a w Warszawie.
Pod tymi adresami władza
ludowa zakwaterowała pisarzy.
Żeby łatwiej ich pilnować**

Podwawelską kamienicę wielokroć przywoływano we wspomnieniach, przede wszystkim Tadeusza Kwiatkowskiego. Pieczołowicie odtwarzano listy dawnych mieszkańców, odpytywano ekslokatorów, wertowano wszelakie archiwalia. W rezultacie weszła do publicystyki. Dotyczącej zarówno grodu lajkonika, kultury Polski Ludowej, jak i wpływu polityki na ludzi pióra. Najczęściej przywoływana bywa przez pryzmat dykteryjek. Choćby takowej: „Podczas dyskusji nad wydaną nakładem Książki i Wiedzy w 1950 roku publikacją Józefa Stalina pt. »Marksizm a zagadnienia językoznawstwa« zabrał głos Stefan Kisielewski, oznajmiając: »Stalin jest głupi!«. Usłyszało to dwóch »życzliwych« sąsiadów, którzy natychmiast donieśli o tym do KW PZPR, co skutkowało powołaniem sądu koleżeńskiego ZLP. Kisiel bronił się następująco: »Stalin wygrał wojnę, więc głupi nie jest, a gadać wolno wszystko. Wolno psu na Pana Boga szczekać. Szczekano i na Napoleona, na Piłsudskiego, można i na Stalina«. W efekcie felietonistę skazano tylko na czasowe zawieszenie w prawach członka ZLP oraz kwartalny zakaz korzystania ze związkowej stołówki”.

Obok której znajdowała się toaleta ze ścianą ozdobianą (?) poezją inspirowaną sąsiedztwem. Dajmy na to:

***Każdy sobie tutaj siurka
ze swojego Jalu Kurka.***

Czy też:

***Tu w spokoju, co niedziela,
czytam felieton Kisiele.***

W 1957 r. do ZLP przyjęto 19-letniego Ireneusza Iredyńskiego. Zakwaterowany przy Krupniczej, grywał tam na podwór-



Kołchozy literackie

ku w zośkę z młodszym o cztery lata Wackiem Kisielewskim, przyszłym pianistą. Jego ojciec otrzymał w związku z tym oficjalny list, sygnowany przez prezesa lokalnego oddziału ZLP. „Nie wypada, by członek związku bawił się na podwórku z synem członka związku” – pouczał Stefan Otwinowski.

NIESZCZĘŚCIA CHODZĄ PARAMI

Łódzkie i poznańskie „domy literatów” czekają, wciąż, na kronikarza, za to od niedawna możemy poczytać o warszawskiej sadybie „inżynierów dusz”. Powstał w roku 1949 przy ul. Iwickiej 8a. Tomasz Jastrun, poczęty tam syn małżeństwa

poetyckiego, swą opowieść memuarystyczną cyzelował od lat, lecz i tak nie ustrzegł się pomyłek. Przykładowo na str. 125 myli Krynicę z Karpaczem, a Hordyńskiego z Hordyńskim, na str. 267 Joachimka z Jochimkiem i Cholewińskiego z Holewińskim, potwierdzając mimochodem powiedzenie, że nieszczęścia chodzą parami.

Mieczysław Jastrun rozpoczął w gmachu na Dolnym Mokotowie nowy etap życia, ze znacznie młodszą poetką Mieczysławą Buczkówną u boku. Maria Dąbrowska notowała w „Dzienniku”: „Jakiś młody »poeta« wystąpił z pretensją, że jego tomik wyszedł w znikomej liczbie egzempla-

Tomasz Jastrun z ojcem
Mieczysławem

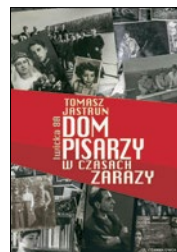
FOT. WYDAWNICTWO CZARNA OWCA

gą pisarzem. Jak się zdaje, użyli zamiast łóżka umywalki, która tego nie wytrzymała. [...] Ofiarą porannego kaca padały zwykle butelki z mlekiem, które stały przed drzwiami Jastruna. Ojciec mieszkał tam z Krystyną Bilską [...], była ładną, szczupłą blondynką, nauczycielką. Tata, też pedagog po fachu, poznał ją kilka lat przed wojną, mieszkali w Łodzi, pomogła mu przetrwać [...] okupację w Warszawie. Mając żydowskie pochodzenie, musiał się ukrywać, a ona ratowała mu życie, narażając swoje. Na Bandurskiego mieszkali we trójkę, z Ireną – siostrą Krystyny. Moja mama uważała, że tworzyli jakiś trójkąt uczuciowy, chociaż nie seksualny. I że mój ojciec, opuszczając potem Krystynę, musiał opuścić też Irenę”.

Leon Pasternak, bardziej propagandzista niż pisarz, wraz z ówczesną żoną Ryszardą Hanin – nazwisko rodowe Hahn, pochodziła z zamożnej lwowskiej plutokracji – mieszkali przy Iwickiej 8a niespełna dwa lata. Przeprowadzili się do sztandarowej dzielnicy epoki – na MDM. „Mamie erotomania Pasternaka wydawała się komiczna – pisze Jastrun – Hanin mawiała o nim bez gniewu: »On lubi tylko kurwy w miłości«”.

W okolicy świeżo oddanego do użytku pl. Konstytucji – honorującego tę bierutowską! – przeprowadził się też Henryk Korotyński. Powodem przenosin redaktora naczelnego „Życia Warszawy” było... pobicie. Pewnej nocy wracał z pracy – przy pl. Unii Lubelskiej – na piechotę, został napadnięty, obrabowany i dotkliwie poturbowany.

Kłopoty sprawiał pisarzom dozorca posesji. Kazimierz Brandys (gdy opublikował powstała już pod tym adresem powieść pt. „Człowiek nie umiera”, sasiad, Paweł Hertz, skwitował ją zdaniem: „Kłamstwo zaczyna się już od tytułu”) nazwał stróża „podczłowiekiem”: „Był nim przerażony [...], panowała wtedy atmosfera podejrzliwości i donosów. [...] Hertz doszedł do wniosku, że dozorca musi być agentem UB. [...] Dlatego płacił za otwarcie drzwi w nocy bardzo sówite datki, mając nadzieję, że Badowski [tak ów »gospodarz domu« miał na nazwisko – przyp. T.Z.] na niego nie doniesie lub będzie choćby łaskawszy”. Tym tropem poszli inni. „Marian Brandys mówił pół żartem, pół serio, że przypominało to licytację w łapówkach. Badowski na naszych oczach się bogacił. Kupił sobie krowę, świnie, rosło za domem jego gospodarstwo rolne, no i pędził bimber [...].



TOMASZ JASTRUN
„DOM PISARZY
W CZASACH
ZARAZY”
CZARNA OWCA
2020

Inny mieszkaniec gmachu, Bohdan Czeszko, uważał, że Badowski donosił, ale pił z nim, a jak pił, to gadał Bóg wie co. Oni też mu gadali różne rzeczy, namawiali, by w sejmie tak gardłował za prywatną inicjatywą, jak gardłował u nich przy wódce. [...] Kiedy po latach bogacenia się na pisarzach Badowski zbudował sobie obszerną willę, Marian Brandys mówił mi: »Badowski to pierwsza finansowa kariera w Polsce Ludowej, z jaką się zetknąłem!«” – konkluduje wątek dozorstwa Jastrun.

Bodaj najbardziej anonimowym mieszkańcem domu był poeta Adolf Sowiński. Przejął lokum po literaturoznawcy Ryszardzie Matuszewskim, który do tego stopnia czuł się odpowiedzialny za swego następcę, że postanowił wciągnąć go do partii. Co też się stało, lecz przyniosło skutki zgola nieoczekiwane. Na pewnym zebraniu, kiedy aktyw osądzał Seweryna Pollaka – też lokatora Iwickiej 8a – zmuszając go do samokrytyki, ów „odczytał pismo z komisariatu M.O. m.st. Warszawy z dn. 14 lutego 1950 roku, z którego wynika, że tow. Sowiński w nocy załatwiał się przed domem W.K. PZPR, zaś na zwróconą mu przez milicjanta uwagę oświadczył, że ma prawo to robić, gdyż jest partyjniakiem, i wylegitymował się legitymacją partyjną”.

Bezpartyjny był za to Artur Sandauer, mieszkający wraz z małżonką malarzką Erną Rosenstein oraz synem Adamem. Niekiedy odwiedzała ich krewna tow. płk Julia Brystygierowa. Krytyk: „Miał niezgrabne ruchy, wielki, żydowski nos, osobliwą głowę, wcześniej zaczął łysieć. Dzisiaj pewnie zdiagnozowano by u niego zespół Aspergera; zachowywał się chorobliwie niezręcznie i nietaktownie”.

Janina Pollakówna, która będąc aktywistką ZMP-owską, okropnie płakała po śmierci Stalina i miała wyznać: „Już lepiej, by umarł mój ojciec”, zapamiętała, że Sandauer przybył kiedyś do nich z wizytą, trzymając ociekające wodą, zwiędłe goździki, i powiedział: „Słyszałem, że jak się przychodzi na obiad, to przynosi się kwiaty”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

VOD

Wydrażeni ludzie



★★★★★

REŻ. SEAN DURKIN

„GNIAZDO”
(„THE NEST”)
WIELKA
BRYTANIA 2020wyst. Jude Law,
Carrie Coon, Oona
Roche

Zaczyna się od chciwości, potem sprawy zmieniają się na gorsze. Brytyjski nuworysz robiący karierę w Ameryce – szukając kolejnych okazji do zrobienia wielkich pieniędzy – decyduje się na powrót do Anglii. Jego rodzina (żona i dwoje dzieci) wraz z nim zamienia amerykańską rezydencję na wiekową posiadłość w Surrey. Szybko się jednak okaże, że związek państwa O’Hara wymaga pilnego remontu, podobnie jak ponury dom, w którym teraz mieszkają. A kto wie, może na ratunek jest już zbyt późno?

Główny bohater (znakomity Jude Law) przypomina nieco Dona Drapera z serialu „Mad Men” – sam wspiął się na szczyt, ale

wewnątrz czuje wstyd i pustkę. Wstyd, bo wciąż czuje, że nie należy do towarzystwa, którego akceptacji tak pragnie. Pustkę, bo sam nie wie, czego właściwie chce w życiu, a kolejne zarabiane pieniądze mają tę pustkę zapełnić. A co będzie, kiedy pieniądze zabraknie, a biznesowi partnerzy nie zechcą już dłużej dawać się uwodzić chłopięcemu urokowi i amerykańskiej zuchwałości Rory’ego?

„Chciwość jest dobra!” – wołał Gordon Gekko w „Wall Street”, ikonicznym filmie ery Reagana. Twórca „Gniazda”, którego akcja rozgrywa się w 1987 r., nie twierdzi, że zarabianie pieniędzy jest złe, przypomina jednak, jak źle się dzieje, gdy przestaniają

one wszystko inne. Rory O’Hara za młodu nie zaznał miłości i stabilizacji, teraz jest dumny, że swym dzieciom zapewnia dach nad głową i jedzenie, „bo sam tego nie miał”. I to, jego zdaniem, wystarczy, by być najlepszym tatą na świecie. Jego żona (rewelacyjna Carrie Coon) nie jest bezwolną ofiarą. Co prawda córka rzuca jej w twarz, że oddała wszystkie decyzje w ręce męża, ale Allison ma swoje za uszami: lubi wystawny styl życia, korzysta z pieniędzy, nie pytając o to, skąd pochodzą i czy się kiedyś skończą.

Tytuł „Gniazdo” brzmi szyderczo – chodzi o gniazdo rodzinne. Ale jakież mogą z niego wylecieć pisklęta, skoro wychowuje je niezbyt udana para, której życie wali się w gruzy? To jednak dzieciaki państwa O’Hara okażą się w finale mądrzejsze od rodziców, ale ten promyk nadziei wcale nie gwarantuje nikomu lepszej przyszłości. Reżyser Sean Durkin pokazał debiutanckim „Martha Marcy May Marlene” (2011), że ma spory talent. Teraz udowodnia, że potrafi kręcić filmy wybitne. ©©



NOWE SERIALE: „ZAGINIĘCIE W HOTELU CECIL”

Dokumentalny serial produkowany m.in. przez Rona Howarda i Joe Berlingera przybliży wypadki z roku 2013, kiedy to w okrytym złą sławą hotelu w centrum Los Angeles doszło do tajemniczego zniknięcia młodej turystki. Nagranie wideo z Elisą Lam było jednym z pierwszych wideo viral w sieci. Historia śledztwa

szybko staje się więc także opowieścią o internetowych obsesjach (liczba teorii spiskowych była ogromna), psychologii tłumu oraz problemie bezdomności, narkotyków i chorób psychicznych we współczesnej Ameryce. ©© **Piotr Gociek**

• „Na miejscu zbrodni: Zaginięcie w hotelu Cecil”, USA 2021, Netflix

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Mike Cahill „Błogość” („Bliss”), USA 2021
- reż. Joe Carnahan „Poziom mistrza” („Boss Level”), USA 2020
- reż. Nancy Lang/Peter Raymont „Margaret Atwood. Słowo to siła”, USA 2019

Cena przetrwania

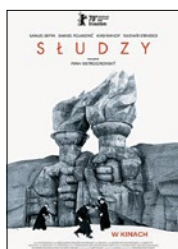
W KINACH

Niektóre spory będą trwały do końca świata. Która trumna rządzi Polską: Dmowskiego czy Piłsudskiego? Tak zwany realny socjalizm był zjawiskiem śmiesznym czy raczej złowieszczym? Komedia mają większe wzięcie, ale amatorzy tragedii ani myślą kapitulować. Podobna walka o pamięć toczy się za naszą południową granicą. Czech Ondříček, w kontrze do przesiąkniętych Hrabalem i Kunderą kolegów, parę lat temu popełnił zięjący pesymizmem kryminał „W cieniu”, a Słowak Ostrochovský nakręcił „Slugi” – czarno-biały dramat z dużą przewagą czerni. W CSRS droga do męczeństwa lub upodlenia była znacznie krótsza niż w PRL. Akcja filmu rozgrywa się w murach bratysławskiego

seminarium. Na zewnątrz szaleje „normalizacja”, lecz kandydaci na księży w większości są idealistami. Tymczasem ich duchowi przewodnicy kolaborują na potęgę, realizując cel minimum: przetrwanie instytucji.

„Nikt nie lubi problemów, ani wy, ani my” – przypomina swym podopiecznym zmęczony ubek. I problemy zostaną rozwiązane. Ostrochovský przedstawia państwo i Kościół jako dwie niszczycielskie siły. Źródłem zła są dziadzi: osobnicy o chorych ciałach i martwych duszach. Czyżby kolejna odłona wojny pokoleń? Konwencja jest monotonna i sterylna. Często miałem wrażenie, że oglądam rybki w akwarium. Tak się widzów nie zdobywa. ©

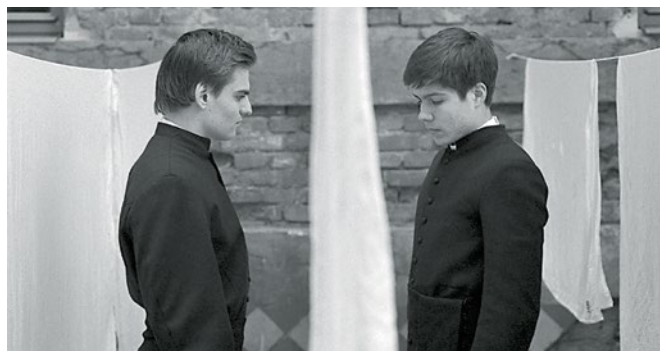
Wiesław Chełmiński



★★★★★

REŻ. IVAN OSTROCHOVSKÝ
„SŁUDZY”
 („SŁUŻOBNICY”)
CZECHY/
SŁOWACJA 2020

wyst. Samuel Skyva, Samuel Polakovič, Vlad Ivanov



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DIABEŁ W CZŁOWIEKU

YouTube



★★★★★

REŻ. STANISŁAW RÓŻEWICZ
„RYS”
POLSKA 1981

wyst. Jerzy Radziwiłłowicz, Franciszek Pieczka, Piotr Bajor

Do małomiasteczkowego wikarego przychodzi partyzant, by wypowiadać się z czynu, którego jeszcze nie popełnił: ma zastrzelić zdrajcę. Młodym księdzem i bez tego targają wątpliwość, być może rozminął się z powołaniem. Metafizyka, delikatnie mówiąc, nie jest specjalnością naszego kina. W dodatku „Rys” miał pecha. Nakręcony w 1981 r., wszedł na ekrany w stanie wojennym, gdy Polacy mieli inne zmartwienia. Dzisiaj koci tytuł przywodzi na myśl chybioną kontynuację „Rejsu”. Tymczasem dzieło Stanisława Różewicza ociera się o doskonałość, również w kategoriach wizualnych. Kadry, skomponowane przez Jerzego Wójcika, wciąż uwodzą. Jeśli reżyser i autor zdjęć czymś zgrzeszyli, to nadmierną ascezą. W kraju, który wydał Jacka Malczewskiego, symbolizm w skandynawskim stylu nigdy nie miał brania. Może renesans prozy Iwaszkiewicza wydobędzie wreszcie ekranizację „Kościół w Skaryszewie” z zapomnienia?

MIĘDZY SŁOWAMI

HBO GO



★★★★★

REŻ. FARHAT SAFINIA
„PROFESOR I SZALENIEC”
IRLANDIA 2019

wyst. Mel Gibson, Sean Penn, Natalie Dormer

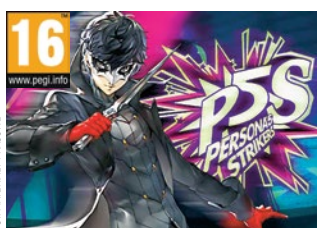
Znacie książkę o zdumiewających okolicznościach powstania słownika Lindego? A widzieliście jej ekranizację? Oczywiście pytam bez sensu, bo z próżnego i Salomon nie należy. Można jednak obejrzeć zajmujący film o inwentaryzacji angielszczyzny, rozpoczętej A.D. 1879 przez poliglotę-samouka mówiącego, o zgrozo, ze szkockim akcentem. Nawet Herkules takiemu sam by nie podolał, więc James Murray wezwał na pomoc armię wolontariuszy. Oksfordzki leksykon narodził się trochę jak Wikipedia, na fali oddolnego entuzjazmu. Żeby było zabawniej, researcherem najbardziej gorliwym okazał się pensjonariusz szpitala psychiatrycznego dla kryminalistów. Niestety, film jest sierotą, twórcy skłóceni z wytwórniami się od niego oddzielili. Szkoda, bo aktorski popis Penna zasługuje na większą publiczność. Gibson stanął przed kamerą głównie po to, by wygłosić frazę o łasce, na którą zasługuje nawet najgorszy grzesznik. ©

recenzuje Wiesław Chełmiński

GRA TYGODNIA: „PERSONA 5 STRIKERS”

3,2 mln sprzedanych egzemplarzy, 8,7/10 średnia ocen na Metacritic – to liczby dające wyobrażenie, jaką grą jest wydana w 2016 r. na PS3 i PS4 „Persona 5”. Czy najnowszy spin-off poprzedzki? „Persona 5 Strikers”, której tym razem mogą spróbować

nie tylko posiadacze konsol od Sony, fabularnie jest kanoniczną kontynuacją poprzedniczki, ale różni się od niej przesunięciem akcentów z klasycznego JRPG w stronę gry akcji, czego jedną z konsekwencji jest zrezygnowanie z walk w systemie turowym na rzecz dynamicznego powalania na ziemię



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

kolejnych fal przeciwników rodem ze slasherów. Cóż, w końcu nowa „Persona” to dzieło twórców „Dynasty Warriors”. ©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** Akcja/TPP
• **Platforma:** PC, PS4, NS
• **Producent, dystrybutor:** Omega Force, Atlus

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Pan Tadeusz

Jarosław Górski w swoim „Parweniuszu z rodowodem” przedstawia życie i twórczość – Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Wytrawnego dziennikarza prasy prawniczej, znawcy polityki, kina i teatru, weterana wojny 1920 r., uroczego mężczyzny, będącego przedmiotem westchnień wielu pań, znakomitego kompana, bon vivanta i potężnego snoba, ale najważniejsze – świetnego prozaika, autora wciąż wydawanej i cieszącej się powodzeniem „Kariery Nikodema Dyzmy”.

Pierwszy odcinek tej sławnej powieści ukazał się w pierwszym numerze „ABC” z 1931 r. „Kariera...” z miejsca zdobyła czytelników, przy czym ciekawe jest, że każdy ujrzał w niej to, co chciał. Endecy – powieść antysanacyjną, ludzie władzy – krytykę osób podczepiających się pod rządzących, elity – zagrożenie prostactwem panoszącym się na salonach, biedacy – realizację marzenia o czarodziejskiej odmianie losu. A wszyscy usiłowali doszukać się w zaprezentowanych przez pisarza postaciach pierwowzorów z pierwszych stron gazet. Sukces „Kariery Nikodema Dyzmy” spotęgowała konfiskata przez cenzurę dwóch odcinków publikowanej w gazecie powieści. Kiedy więc natychmiast po zakończeniu gazetowego druku „Rój” wydał „Karię...” w formie książkowej, to od razu w niebotycznym jak na owe czasy, 50-tysięcznym nakładzie. O siedem lat później „Znachor” miał już, podobno, nakład 100-tysięczny.

Przy pracy nad finalizującym „znachorski” cykl utworów „Testamentem profesora Wilczura” autor – powiada Jarosław Górski – „zdawał sobie sprawę, że profesor Wilczur jest nie tylko marką handlową, lecz także prawdziwym bohaterem polskiej zbiorowej wyobraźni, postacią otaczaną czcią



FOT. MARZENA TYL

nałeżną wielkim ludziom zgoła niefikcyjnym. Szał wywołany powieściami, a także pierwszym i drugim filmem cyklu powołał do życia herosa, w którym skupiały się etyczne ideały polskich mas. Ludzie pragnęli mieć takie elity, takich inteligentów jak prof. Rafał Wilczur, światowej sławy chirurg, który porzucił bogactwo i blichtr wielkiego świata, aby być blisko ludzi. Profesor Wilczur to taka fikcyjna postać, której rangę w zbiorowej wyobraźni można porównać chyba tylko do tej, jaką mieli bohaterowie »Trylogii« Henryka Sienkiewicza”. Wydaje się to przesadą, podobnie jak zachwyty Jarosława Górskiego nad nowoczesnością formalną powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Niezależnie od wysokiej oceny jego książek trudno nie zauważyć, że w zdecydowanej większości bazują one na schemacie „nieoczekiwanej zamiany ról i miejsc”, znanej w literaturze od dawien dawna.

Jarosław Górski w zakończeniu swojego „Parweniusza...” pisze wprost, że swojego bohatera, po prostu, lubi. I bardzo dobrze, na tym książka tylko zyskuje. Traci jednak raczej na uprzednim tłumaczeniu prodeckich sympatii pisarza (choćby i tylko towarzyskich) i dystansowaniu się od jego, może nie tyle poglądów politycznych – bo gdyby wierzyć Górskiemu, Dołęga-Mo-

stowicz takich nie miał – ile od jego „systemu wartości, aspiracji do stylu życia, nawet osobistych upodobań”: „Myślistwo uważam za barbarzyństwo, krawatów nie noszę, nigdy w życiu nie usiadłem za kierownicą samochodu, nie wiem, czy bardziej cierpiałbym z nudów, grając przez całą noc w brydża, czy przerzucając się dowcipami i kalamburami w gronie literatów”. Mógłbym w tym miejscu „pociągnąć” temat i wyłuszczyć, w czym podzielam zdanie Górskiego, a w czym nie zgadzam się z nim zupełnie, ale proszę wybaczyć – kogo to obchodzi? Tadeusz Dołęga-Mostowicz był mężczyzną elegancim, krawaty nosił, dobierając je bardzo starannie i chyba nie on jeden tak robił, skoro jeszcze po wielu latach prosty lud pamiętał, że „mężczyzna w krawacie jest mniej awanturujący się”.

Dołęga-Mostowicz nie awanturował się, a skąd, prowadził żywot, dziś powiedzielibyśmy – playboya, przyjaźnił się z tymi, z którymi trzeba było się znać, zarabiał krocie i krocie wydawał, tak że w zasadzie majątku nie pozostawił żadnego. Zginął we wrześniu 1939 r. śmiercią żołnierza, od sowieckiej kuli na słynnym przejściu nad Czeremoszem – w Kutach, którym na wychodźstwo udały się władze Rzeczypospolitej i towarzyszące im wojsko. Kapral chorąży Tadeusz Dołęga-Mostowicz zabierał ciężarówką chleb, być może dla żołnierzy, którzy przeszli już granicę, a może chciał go rozdać mieszkańcom. Zdania są podzielone. Nadjechały wtedy pierwsze trzy tankietki Armii Czerwonej i najbardziej poczytny pisarz dwudziestolecia międzywojennego został skoszony serią z karabinu maszynowego. W listopadzie miał się żenić, w dniu, w którym jego wybranka kończyła 18 lat. ©



★★★★★

JAROSŁAW
GÓRSKI
„PARWENIUSZ
Z RODOWODEM.
BIOGRAFIA
TADEUSZA
DOŁĘGI-
MOSTOWICZA”
ISKRY,
WARSZAWA 2021



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Złote popołudnie

Długi weekend” – taki tytuł dali Robert Graves i Alan Hodge swojej historii społecznej Anglii między światowymi wojnami. Robert Byron jest jednym z zapomnianych, utalentowanych i ciekawskich dzieci tego weekendu.

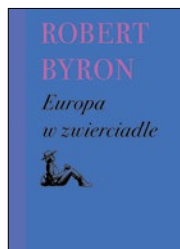
Urodzony w roku 1905, mając lat 20, wyruszył z przyjaciółmi w samochodową podróż przez Europę. To, co widział, zapisał w książce „Europa w zwierciadle”. Berlin chwalił za szerokie, pustawe ulice, Niemców za to, że są przesympatyczni i otwarci. We Włoszech odnotowywał ciemne strony nowego imperializmu, którego dyrygentem był Mussolini, zauważał jednak, że „medal ma dwie strony. W sferze polityki społecznej, edukacji i rozwoju przemysłu Włochy od 1922 r. odnotowały największy postęp na świecie”.

Droga Byrona wiodła przez Niemcy i Austrię do Rzymu, gdzie czekały zabytki antyku. Potem dalej na południe, by z daleka pozdrawić Wezuwiusz. Ponad połowę książki zajmuje opis kraju docelowego tej podróży – Grecji, którą przejechali od Patras do Aten. Autor był hellenofilem i miłoścą do kultury greckiej bije z każdej niemal strony tej części relacji. Książka, która bez wątpienia jest jedną ze świetniejszych pozycji owego

specyficznego podgatunku literatury, którym jest travelogue, dziennik z podróży połączony z reportażem, esejem, kawałkiem lekkiej prozy historycznej.

Dużo tu humoru – w posłowie Dorota Kosińska zauważa, że dzieło chwilami do złudzenia przypomina „Trzech panów w łódce (nie licząc psa)” Jerome’a K. Jerome’a. Zarazem celnie dodaje: „Książka to tyleż rozkoszna, ile niedojrzała: pisana z punktu widzenia szczęśliwca, którego z racji wieku ominął koszmar Wielkiej Wojny, radosnego beneficjenta nowej ery motoryzacji i bezczelnego, zbuntowanego erudyty, który nie przepuścił żadnej okazji do skonfrontowania wiedzy książkowej z faktyczną urodą lub brzydotą legendarnych pereł w koronie cywilizacji europejskiej”.

Wyszła z tego uroczą gawędą, ale Byron dopiero się rozpędzał. Lata później (wędrował przez rozmaite kraje, od Rosji do Tybetu) napisał jedno z najciekawszych dzieł podróżniczych pierwszej połowy XX w. pt. „The Road to Oxiana” (1937), niezwykle hymn ku czci Persji i Afganistanu. Jego życie dobiegło końca przedwcześnie, tak jak przedwcześnie skończył się międzywojenny długi weekend. Statek, na którego pokładzie podróżował Byron, został w 1941 r. storpedowany przez niemieckiego U-Boota. ©©



★★★★★
ROBERT BYRON
„EUROPA W ZWIERCIADLE”
WYDAWNICTWO PRÓBY 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Autor „Procesu” był zapamiętany kinomanem i ślady swej fascynacji pozostawił w dziennikach i listach. Esei Zischlera wychodzi jednak poza analizę fascynacji, zmienia się w opowieść o epoce i relacjach kino-literatura.



HANNS ZISCHLER
„KAFKA IDZIE DO KINA”
OSSOLINEUM

Wznowienie sympatycznej powieści dla dzieci autorki słynnej trylogii „Atramentowe serce”. Piętnaście lat temu ukazała się jako „Smoczy jeździec”, teraz wraca na półki, bo wkrótce do kin trafi animowana ekranizacja.



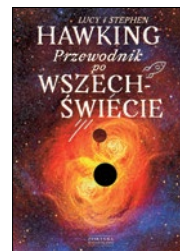
CORNELIA FUNKE
„KRAINA SMOKÓW”
PORADNIA K

Uroczą ilustrowaną (Tomasz Płaskowski) opowieść dla młodego czytelnika: skąd biorą się słowa, jak powstają i co oznaczają imiona oraz nazwy miast, jak zmieniają się w polszczyźnie terminy z innych języków – i tak dalej.



AGATA HĄCIA
„FIGLARNE SŁÓWKA”
PWN

Ilustrowane wprowadzenie w temat, który sprawi frajdę czytelnikom od 10. roku życia wwyż. Nie tylko o kosmosie i nauce: sporo miejsca zajęły współczesne zagrożenia, stąd pod koniec przewodnik zmienia się w poradnik. ©©



LUCY I STEPHEN HAWKING
„PRZEWODNIK PO WSZECZŚWIECIE”
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „DUCHY ZMARŁYCH”

Szesnaście opowieści komiksowych wedle bardziej i mniej znanych utworów Edgara Allana Poea, klasyka literatury grozy. Są m.in. „Beczka amontillado” czy „Maska Czerwonego Moru”, jest wariacja na temat słynnego wiersza „Kruk”. Autorem wszystkich adaptacji jest Richard Corben, rysownik współtworzący kiedyś legendę magazynu



RICHARD CORBEN
„DUCHY ZMARŁYCH”
MUCHA COMICS 2021

„Heavy Metal”, laureat licznych nagród komiksowych (m.in. Grand Prix na najważniejszym festiwalu komiksu w Angoulême). Zmarł w grudniu 2020 r., przeżywszy lat 80. ©©

poleca Piotr Gociek



FOT. ZESPÓŁ WOKALNO-AKTORSKI SONANTO / FACEBOOK

Muzyczna opowieść Sonanto

W obszarze zainteresowań zespołu wokально-aktorskiego Sonanto od samego początku działalności – czyli od roku 2012, kiedy to w Warszawie powołano go do życia – jest historia Polski. Przez niepełną dekadę działalności grupa przygotowywała rocznicowe programy związane z historycznymi jubileuszami i najważniejszymi postaciami w dziejach Polski.

Sonanto ma dziś w repertuarze kilkanaście programów, wśród nich: „Krzyk Wolności”, nawiązujący do powstania warszawskiego („od pełnych radości i młodzieńczej werwy piosenek z warszawskich barykad do refleksyjnych utworów poświęconych dramatom Warszawy i jej mieszkańców”); „Wrzesień '39”, czyli pieśni z okresu drugiej wojny światowej, nie

tylko nawiązujące do kampanii wrześniowej; „Śladami leśnych oddziałów”, czyli koncert pamięci żołnierzy wyklętych; „Pieśni Solidarności” czy „Koncert papieski”. Zespół złożony z absolwentów akademii muzycznych i teatralnych z Warszawy, Łodzi, Krakowa, Gdańska i Katowic ma w zanadru także repertuar rozrywkowy – od szlagerów dwudziestolecia poprzez

kolejne dekady od lat 50. do 90. aż do najpiękniejszych kolęd – czy repertuar z disnejowskich produkcji.

Sonanto jak dotąd nie wydało żadnej płyty, ale wkrótce się to zmieni za sprawą albumu „Od Legionów do wolnej Polski – muzyczna opowieść” z interpretacjami utworów opowiadających o ważnych momentach historii Polski w XX w. Piosenki ułożono w takiej kolejności, by tworzyły muzyczną opowieść, do której nawiązuje podtytuł albumu. Autorką takiej koncepcji płyty jest Aleksandra Matryba – wokalistka, założycielka i kierownik artystyczny zespołu, a zaangażowanych w jej nagranie było ok. 30 osób. Album odnoszący się do twórczości m.in. Włodzimierza Korcza, Grzegorza Tomczaka, Jacka Kaczmarskiego, Przemysława Gintrowskiego, Krzesimira Dębskiego czy Adama Kowalskiego trafi do słuchaczy na wiosnę. © © **Radosław Wojtas**



GRZEGORZ BRZÓZOWICZ

NA SŁUCH

Muzyka na niepewny czas

Ta brutalna, a zarazem piękna płyta jest głęboko osadzona w naszej wspólnej katastrofie – tak Nick Cave opisuje swój 18. album, który zatytułował „Masakra”.

Unosi się na nim rozżalenie pomieszane z głodem zemsty dawno niesłyszczanym w piosenkach Australijczyka. Minęło sporo czasu, odkąd rozhisteryzowany Cave groził swoim słuchaczom. Na poprzedniej płycie, „Ghosteen”, opłakiwał nagłą utratę nastoletniego syna Arthura. Tu powracającym elementem jest „niebiańskie królestwo”. Pojawia się jako przestroga w pierwszych sekundach „Hand of God”, powraca w „White Elephant” w formie gospelowego zaśpiewu, by w „Lavender Fields” unosić się tuż nad ścieżką, którą przemierza autor

wyznający: „Ludzie pytają mnie, jak się zmieniłem / Odpowiadam, że to osobiwa droga”.

W pierwszym utworze, pojawia się karząca ręka starotestamentowego Boga („Hand of God”). W centralnym utworze, „White Elephant”, Cave – już bezpośrednio – grozi: „Jestem Wenus z penisem Botticello płynącą na ogromnej muszli / Jestem kobietą z morskiej piany wynurzającą się z mgły / Nadchodzę, by zrobić ci krzywdę”. W ośmiu piosenkach Nick zderza odległą i niedawną przeszłość. W przesyconym beśsilnością „Albuquerque” wdycha: „I nie dotrzemy nigdzie / W żadnym momencie tego roku, kochanie”. W finałowym „Balcony Man” Cave aktualizuje Nietzsche: „To, co cię nie zabija, czyni cię bardziej szalonym”. © ©



★★★★★
NICK CAVE & WARREN ELLIS
„CARNAGE”
GOLIATH



★★★★★
JAROMÍR NOHAVICA
„MÁMA MI NA KRK
DALA KLÍČ”
UNIVERSAL

„Jo gde so ti časi, stare dobri časi!” – nostalgiczny świat Nohavicy wciąż urzeka. Czeskie teksty są zrozumiałe i trafiają do naszych serc. Piosenki z podwórką, wspomnienia o matce, byłych miłościach i przyjaciółach, którzy odeszli. Gitara, akordeon, harmonijka i więcej nie trzeba.



★★★★★
NEIL YOUNG & CRAZY HORSE
„WAY DOWN IN THE
RUSTY BUCKET”
REPRISE

Album „Ragged Glory” z 1990 r. był ostatnim arcydziełem Younga. Przed amerykańską trasą Neil & Crazy Horse zagrali w klubie The Catalyst. Atmosfera luzu wypełnia te nagrania. Płyta przypadnie do gustu miłośnikom rockowej strony duszy Kanadyjczyka. © ©

Widowisko TVP

„Zakochany
Mickiewicz”

FOT. TVP SA

Pijmy zdrowie Mickiewicza!



Krzysztof Masłowski

Oszołomiony osiągnięciami TVP, podsumowanymi właśnie, piśnianym z najwyższych liter I Festiwałem Kultury Narodowej „Pamięć i Tożsamość”, gdzie rozdawano Złote i Platynowe Ryngrafy, o mało co nie przegapiłem widowiska „Zakochany Mickiewicz”, które stosownym Ryngrafem nagrodzone zostanie dopiero w przyszłym roku, ale już teraz stanowi niezbitą dowód na to, że na szklanym ekranie niekoniecznie królować muszą szmira i głupota do kwadratu. Po radykalnej zmianie tzw. słowa wiążącego, czyli, tak naprawdę, ograniczeniu go do minimum i niedużych zmianach personalnych w obsadzie, rzecz całą należy zaprezentować na innym, wciąż jeszcze bardziej znanym, Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu, gdzie zdobędzie wszystkie możliwe wyróżnienia, a odtwarzana po wielokroć w ciągu następnych 20 lat, zasłużenie osiągnie miano kultowej i będzie oglądana z takim nabożeństwem jak dziś, dajmy na to, koncert piosenek Agnieszki Osieckiej z 1997 r. „Zielono mi”.

Muzycznie „Zakochany Mickiewicz” jest bezbłędny, orkiestra pod dyrykcją Zygmunta Kukli brzmi wybornie, piosenki są świetne, a wokaliści wspinają się na szczyty swoich możliwości, zwłaszcza Natalia Kukulska i Piotr Cugowski. O jakości śpiewanych tekstów rozwoździć się nie będę, bo nie wypada. Przypomnę tu tylko, że przed laty spopularyzowali wiersze naszego narodowego poety m.in. Marek Grechuta („Niepewność”) i Czesław Niemen („Dobranoc”). Szlak był więc przetarty, ale gdy usłyszałem „Inwokację” do „Pana Tadeusza” w interpretacji Kukulskiej, gębę otworzyłem ze zdumienia. Naturalnie, piosenkarka zebrała hejt (jak śmiała wystąpić w Telewizji Kurskiej?) organizowany pod batutą niezawodnej „Gazety Wyborczej”, ale do tego, że pisują w niej i obok niej głusi daltoniści, zdążyliśmy się już przyzwyczaić.

Mickiewiczowska feta była okazją do zwierzenia się prezesa TVP ze swojego marzenia, czyli chęci zrealizowania serialu o autorze „Dziadów”, a i „Romantyczności” czy „Ody do młodości”, „Pana Tadeusza” oczywiście także. Czyli o Mickiewiczu młodym, dojrzałym i, powiedzmy, zaawansowanym

wiekowo. Znany kulturotwórca organ prasowy „Fakt” ustalił natychmiast obsadę serialu, w którym – według niego – młodego wieszczka zagra (cha, cha) Antoni Pawlicki lub Szymon Pawłowski, nieco starszego Lesław Żurek, a najstarszego Radosław Pazura albo Zbigniew Zamachowski. Młodą Celiną Szymanowską, małżonką poety, ma zostać Olga Boładź lub Anna Próchniak, a starszą Izabela Kuna, ewentualnie Grażyna Muskała. Kto wystąpi jako Chopin, Puszkina, Zan czy Towiański, jeszcze w „Fakcie” nie zdecydowano, ale niechcący operatywna redakcja poinformuje o tym swoich czytelników.

Jak będzie, tak będzie, nieśmiało tylko wtrąć trzy grosze, że jako „zakochany Mickiewicz” przypadł mi do gustu Krzysztof Kwiatkowski, któremu aktorski płodozmian, w przerwie detektywistycznych zmaganiach w „M jak miłość”, wyraźnie posłużył. Zwracam przy tym uwagę, że „Fakt” zgubił gdzieś ważną w życiorysie romantycznego twórcy postać Maryli Wereszczakówny. Podpowiem od razu, że nasuwająca się od razu, ze względu na zbieżność imienia, osoba Maryli Rodowicz nie byłaby tutaj rozwiązaniem najszcześniejszym.

Wydaje się również za wskazaną nieobecność wśród gwiazd zapowiadanego dzieła Zenona Martyniuka, choć nie wątpię, że zaśpiewanie przez niego, powiedzmy, „Widzenia księdza Piotra”, powaliłoby wszystkich na kolana.

A teraz serio: roztańczone i rozśpiewane, wręcz bajeczne przedstawienie „Zakochanego Mickiewicza” w reżyserii Marcina Kołaczковского i choreografii Agnieszki Glińskiej przypominało, czym może i powinna być telewizja. Telewizja publiczna w pierwszym rzędzie. Głęboko wierzę, że przynajmniej łatwiejsze i bardziej chwytliwe piosenki z tego widowiska trafią, jak chciał Mickiewicz, „pod strzechy”. Odnosnie do planowanego serialu (o wyreżyserowanie go stara się, jak usłyszeliśmy na gali wręczania Ryngrafów z ust samego zainteresowanego, Bodo Kox) trzymam kciuki, bo jest potrzebny i aż dziwne, że do tej pory go nie zrealizowano. A na razie wzniesmy toast do wtóru „Pieśni filaretów” Antoniego E. Odyńca (kto ma go zagrać?):

**Teraz zdrowie Mickiewicza,
On nam słodkich chwil użyzca,
Wszelkie troski
Koi boski
Jego lutni dźwięk.**

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Polska kinematografia

– dziura w moście i dobry asfalt

Nawiązując do tekstu Rafała A. Ziemkiewicza pt. „Przemysł pogardy” i dalszych polemik, „dziurę w moście” omijamy i cieszymy się z „dobrego asfaltu”.

Dyrektor Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej Radosław Śmigulski zamieścił obszerną polemikę pt. „Film to kultura, a nie propaganda”. Sądzę, że do napisania polemiki zatrudnił „murzyna” bez polotu i zakulisowej wiedzy o aktualnym stanie kinematografii. Wszystko bowiem działo się zbyt szybko, bez konsultacji z recenzentami, specami od polemik czy kimkolwiek, kto czytał listy Charles’a Talleyranda czy Klemensa von Metternicha – no i surowy tekst, pewnie w nocy z czwartku na piątek, wysłano do Redakcji i się ukazał, plus polemika red. Rafała A. Ziemkiewicza. Dzisiaj, gdy emocje opadają, polemika dyr. Radosława Śmigulskiego byłaby zapewne inna, spokojnie merytoryczna, finezyjna, a być może sarkastycznie dowcipna.

Bo też od dawna nie było takiego rwetusu w kinematografii jak po tekście red. Ziemkiewicza. Porównywalny rażeniem ukazał się w „Newsweeku”, chyba we wrześniu 2019 r. Był to paszkwil Starszej Pani pt. „G – jak grabarz”, gdzie wylano kubeł pomyj na wicepremiera Piotra Glińskiego. Ja znalazłem się na drugim miejscu jako „ucho”, „trzy literowców” (MPO?), przychodzący na wszystkie kołaudacie filmowe. Wiceminister Paweł Lewandowski pod względem

W poprzednim wydaniu „Do Rzeczy” zamieściliśmy polemikę Radosława Śmigulskiego, dyrektora Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, z tekstem Rafała A. Ziemkiewicza „Przemysł pogardy” („DRz” 8/2021) oraz odpowiedź naszego publicysty. Poniżej kolejny głos w tej sprawie

„szkodnictwa” znalazł się dopiero na trzecim miejscu.

Uczestniczę we wszystkich kołaudacjach (fabuła, dokument, animacja), bo taką mam umowę z PISF. Nie dość, że chodzę nawet w czasach zarazy, to potem piszę recenzje wewnętrzne, odpowiadające stanowi faktycznemu, bez względu na konsekwencje, obrazę czy fochy zainteresowanych. Jest to zadanie niewdzięczne i ekonomicznie niebezpieczne.

Każda kinematografia produkuje filmy. Polska – ok. 50 rocznie, turecka – ok. 200, indyjska – ok. 2 tys.! Amerykańska bez liku. Na 50 napisanych piosenek, zaprojektowanych sukienek, premier teatralnych, koncertów, meczów piłkarskich itd. zaledwie dwie-cztery/dwa-cztery są świetne, znakomite, wspaniałe. Cała reszta to produkty – wydarzenia przeciętne, „kiepskie” lub po prostu głupie. Scenariusz jest enigmą. Jakość „produktu” poznajemy dopiero na pierwszym pokazie – kołaudacji.

PISF może pochwalić się w okresie 2020/2021 kilkoma naprawdę udanymi filmami. W kolejce na ekran czeka znakomity komediodramat Kingi Dębskiej pt. „Zupa nic”, będący prequelem udanego obrazu „Moje córki krowy”.

Oglądamy dzieciństwo bohaterów w czasach komuny na przełomie późnego Gomułki i Gierka. Z przyjemnością mogę polecić wszystkim ten wyjątkowy film.

Rewelacją jest też polski musical Katarzyny Klimkiewicz pt. „Bo we mnie jest seks” – śpiewaną biografię Kaliny Jędrusik, jej męża Stanisława Dygata i przyjaciół. Nie będę zdradzał młodszemu widzom, dlaczego Zosia Gomułkowa tak nie cierpiała Kaliny.

Mamy też festyniarską, brawurową komedię współczesną (nawet przekleństwa nie rażą) Sylwestra Jakimowa pt. „Jakoś to będzie”, z kapitalnymi rolami plejady mało znanych aktorów, zawstydających swoim talentem celebrytów płci obojga. Scena przyszywania palca to niemal sabat czarownic z Szekspira, „Makbeta”.

Czekamy też na udany ciekawy dokument Krzysztofa Tchórzewskiego pt. „Jerzego Kaliny nawigacja sztuki” i zaskakujący dokument Moniki Koteckiej pt. „W stanie wolty”.

Nie wiem, z jakiego powodu zmęczony, śpieszący się „murzyn” nie wspomniał nawet o największym sukcesie PISF – serii filmów mikrobudżetowych! To udane, jedyne w hi-

storii polskiej kinematografii, a chyba nawet kinematografii europejskiej, przedsięwzięcie umożliwiające młodym reżyserom debiut fabularny. Okazało się też, że pełnometrażowy film fabularny można zrealizować za śmieszłą sumę ok. 760 tys. zł! Co jest jawną herezją wobec budżetów filmowych „łustych kotów” polskiej produkcji filmowej. Vide: osławiona „Hiszpanka” za 20 mln czy „Solid Gold” za ponad 9 mln zł. Tak więc mamy w kolejce na ekrany świetne filmy współczesne: „Biały potok” w reżyserii Michała Grzybowskiego, „Bóg Internetów” Joanny Satanowskiej, „Pewnego razu w ogródkach działkowych” Rafała Brylla, „Każdy ma swoje lato” Tomasza Jurkiewicza czy „Ostatni Komers” Dawida Nickela. Projekt serii jest kontynuowany i niebawem zaczną się realizacje kilku następnych filmów. Już za ten udany, autentycznie nowatorski cykl wybaczam PISF wszystko.

W kolejce do produkcji czekają ważne filmy: „Rodzina Ulmów” w reżyserii Rafała Więczyńskiego, „Portrecista” Ireneusza Dobrowolskiego i „Sanatorium Gorkiego” – film ukazujący udokumentowane i nieznane fakty o zbrodni katyńskiej.

Jako Naczelný Malkontent RP (taką „nominację” otrzymałem od pana wicepremiera Piotra Glińskiego – a więc jest to tytuł obowiązujący) cieszę się, że możemy oglądać rocznie przynajmniej kilka udanych polskich filmów.

Remigiusz Włost-Matuszak

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 5



Kłamstwo „polskich obozów śmierci”

- Jak się narodziło sformułowanie, które szkaluje polską pamięć historyczną?
- Mapa kłamstw – najgłośniejsze przykłady łączenia II RP z Holocaustem
 - Batalie prawne w obronie dobrego imienia narodu polskiego
 - Instytucje i ludzie, którzy walczą o prawdę na temat historii Polski



PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI





Żydzi z Zakarpacia wypędzani z pociągu w Auschwitz II-Birkenau, maj lub czerwiec 1944 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

SPIS TREŚCI

47 ROZMOWA
Z PROF. BOGDANEM MUSIAŁEM

GROZI NAM ODGERMANIZOWANIE HOLOKAUSTU

– Fakty historyczne są po naszej stronie. Musimy przekonywać wszystkich do używania pojęcia „niemieckie zbrodnie”. Jeżeli to zaniedbamy, to bardzo sobie zaszkodzimy – mówi historyk.

52 ROZMOWA
Z MEC. SZYMONEM TOPĄ
„POLSKIE OBOZY”
TO RODZAJ KŁAMSTWA
OŚWIECIMSKIEGO

– Nie trzeba być lingwistą, aby zrozumieć, że kiedy się mówi o czymś „polskie”, to nie chodzi o geografę, ale o wskazanie pewnej przynależności – mówi radca prawny.

56 PIOTR WŁOCZYK
POLSKI DZWON
ALARMOWY

Szczegółowe raporty z niemieckich „fabryk śmierci” i wstrząsające relacje świadków – Polacy nadaremnie starali się przekonać aliantów do podjęcia próby powstrzymania Zagłady. Dlaczego Zachód okazał bierność w obliczu tragedii Żydów?

58 RADOŚŁAW WOJTAS
KŁAMSTWA NA WOKANDZIE

Przecieranie nieznanych ścieżek prawnych, batalie małych kancelarii z gigantycznymi koncernami medialnymi, zmuszanie zagranicznych redakcji do prostowania fałszerstw. Tak wyglądają kulisy walki o prawdę na temat naszej historii.



Adolf Hitler przemawia w Reichstagu, 1941 r.

FOT. BUNDESARCHIV, BILD 183-1987-0703-507/UNBEKANNT/CC-BY-SA 3.0



**Z prof. Bogdanem Musiałem, historykiem specjalizującym się
w XX-wiecznych dziejach Niemiec
rozmawia Piotr Włoczyk**

Grozi nam odgermanizowanie Holokaustu

PIOTR WŁOCZYK: Skąd się wzięło to fałszywe sformułowanie? Gdzie szukać korzeni „polskich obozów śmierci”?

PROF. BOGDAN MUSIAŁ: Byłem bodaj jednym z pierwszych historyków, którzy alarmowali w tej sprawie i żądali od państwa polskiego konkretnych działań. W 2004 r. w Jerozolimie wygłaszałem na ten temat referat. Dla niemal wszystkich zgromadzonych tam badaczy było jasne, że „polskie obozy śmierci” to pojęcie fałszywe i krzywdzące Polskę. Tylko jedna koleżanka z Niemiec przekonywała potem w dyskusji, że przesadzam z wszczynianiem alarmu. Że przecież tak naprawdę nic Polsce nie zagraża, bo – jak argumentowała – każdy rzekomo rozumie, że chodzi jedynie o położenie geograficzne. Czyli tak naprawdę to nie jest problem. A jednak ta koleżanka nie była w stanie wyjaśnić, dlaczego w takim razie Niemcy nie używają pojęć „bawarski obóz koncentracyjny Dachau”, „austriacki obóz koncentracyjny Mauthausen” czy „czeski obóz koncentracyjny Theresienstadt”. Usłyszałem od niej tylko, że to „kompletnie inna sprawa”.

Brakuje chyba twardych danych, badań opinii publicznej na Zachodzie, by rozstrzygnąć z całą pewnością, jak ludzie rozumieją to fałszywe pojęcie.

Twierdzenie, że wszyscy doskonale wiedzą, iż chodzi jedynie o lokalizację w okupowanej Polsce, jest po prostu śmieszne. Tuż po wojnie to, kto budował obozy, było zapewne zrozumiałe niemal dla wszystkich. Nawet niektórzy Polacy używali takiego sformułowania właśnie w kontekście lokalizacji lub zabijanych tam ofiar, a nie zarządców. To jednak było w 1945 r. i to, co kiedyś było oczywiste, teraz już na świecie takie oczywiste nie jest. Teraz, ponad 70 lat później, jest zupełnie inaczej. Przez ostatnie dekady, za sprawą bardzo inteligentnie prowadzonej niemieckiej polityki historycznej czy raczej propagandy historycznej, zbrodnie niemieckie zostały w znacznej mierze odgermanizowane. Proszę zwrócić uwagę, że dziś używanie pojęcia „niemieckie obozy zagłady” coraz częściej bywa postrzegane jako politycznie niepoprawne. W Europie lewica uważa to za ugruntowywanie stereotypów narodowościowych. To się wydaje niemożliwe, ale to po prostu fakt.

W 2005 r. w PE doszło do gorszącej batalii o to, czy można nazywać Auschwitz obozem „niemiecko-nazistowskim” czy jedynie „nazistowskim”. Za



tą drugą opcją bardzo mocno optowali liberałowie i socjaliści, także niemieccy, którzy przekonywali, że ta pierwsza nie jest właściwa.

Na zasadzie: „Nie wszyscy Niemcy byli w czasie wojny zwolennikami Hitlera”?

O to oczywiście chodziło liberałom i socjalistom, ale to zakłamywanie historii. Takich Niemców było bardzo mało. Lwia część obywateli III Rzeszy wspierała Hitlera i to praktycznie do samego końca. Nigdy żaden niemiecki polityk w historii nie miał takiego poparcia. Niemcy byli mu wierni aż do 1944 r., gdy stwierdzili, że chyba jednak można z nim przegrać wojnę. Aż do tamtego momentu dzielnie walczyli z nim na frontach i ochoczo zakładali obozy koncentracyjne oraz obozy śmierci.

Jednakże w 2019 r., podczas wizyty w Auschwitz, Angela Merkel zdecydowanie podkreśliła, że obóz ten był „niemieckim, narodowosocjalistycznym obozem pracy i śmierci”. „Ta nazwa jest ważna jako pełna nazwa” – powiedziała wówczas kanclerz Niemiec.

Rozumiem, że te słowa chwytają Polaków za serce, ale cały czas musimy pamiętać, że Niemcy prowadzą swoją propagandę historyczną. Merkel mogła sobie pozwolić w Polsce na taką wypowiedź, żeby zadowolić Polaków. Na pewno nie zależało jej jednak, żeby te słowa rozniosły się po świecie. Niemcy nagłaśniają to, co im pasuje. Przykładem mogą być tzw. procesy frankfurckie, do których doszło w latach 60. Sądono wówczas niewielką część załogi Auschwitz-Birkenau. Niemcy są z tego bardzo dumni. Skazano wówczas garstkę zbrodniarzy, a wyroki nie były zbyt dotkliwe. We Frankfurcie powstał nawet specjalny instytut, którego celem jest rozpropagowanie na świecie tego, jak rzekomo wspaniale Niemcy rozliczyli się z przeszłością. To miraż, bo państwo niemieckie ogromną większość zbrodniarzy hitlerowskich ochroniło przed karą, a przed sądami postawiło absolutne minimum w celach stricte wizerunkowych.



Główna brama niemieckiego obozu zagłady Auschwitz I. Fot. WIKIPEDIA/BIBIS95

To jednak powinno być dla nas wszystkich zrozumiałe. To przecież leży w interesie Niemiec, bo żaden naród nie chce być kojarzony ze zbrodniami. Niemcy to globalna marka eksportowa, która musi dbać o swój wizerunek. Żeby zrozumieć fenomen „nazistów” i „polskich obozów śmierci”, trzeba zajrzeć w głąb niemieckiej psychiki.

Co pan tam widzi?

Jeżeli wszyscy dokoła nas powtarzają, że Niemcy sami byli ofiarami nazistów, a 8 maja naród niemiecki został „wyzwolony” od Hitlera, to w sposób podświadomy – i to jest optymistyczna dla nas, Polaków, wersja – zaczynamy w tym stylu opowiadać historię wojny. I to ma swoje konsekwencje w mediach. Gorsze jest jednak to, że ten rodzaj narracji widać nie tylko wśród dziennikarzy, lecz także wśród niemieckich historyków. Koleżanka, która polemizowała ze mną w Jerozolimie, to tylko jeden przykład. Niestety, nierzadko widzę sformułowania tego typu w pracach naukowych wydawanych w Niemczech. Ostatnio rzuciło mi się w oczy w jednej z książek, jak to „naziści” po dokonaniu zbrodni w czeskich Lidicach wywieźli tamtejsze dzieci do „polskiego obozu pracy”. Nie ma żadnych odgórnych zaleceń, by tak pisać, by tak opowiadać o historii III Rzeszy. To się po prostu realizuje samorzutnie. Naród z taką przeszłością będzie się chciał wybielić i musimy mieć tego świadomość. Polska nie może jednak na to pozwolić.

Jaki klimat panuje w tych kwestiach w niemieckich szkołach podstawowych i średnich?

Jeżeli chodzi o szerokie niemieckie społeczeństwo, to poziom wiedzy o zbrodniach w Polsce jest żenująco niski. Ten temat to w niemieckich szkołach maleńki szczegół, na który mało kto zwraca uwagę. Program szkolny odzwierciedla niemiecką propagandę historyczną. Dużo opowiada się o mordowaniu Żydów, ale jeżeli z drugiej strony mówi się, że 8 maja Niemcy zostały „wyzwolone” od Hitlera, to wniosek może być tylko jeden...

Czyli słowa Baracka Obamy z 2012 r., gdy amerykański prezydent mówił o „polskim obozie śmierci”, to tak naprawdę ukoronowanie tego procesu?

Bez wątpienia, ponieważ pracował nad tym przemówieniem cały sztab ludzi. Dekady opowieści o „polskich obozach śmierci” i o zbrodniach „nazistów”

zaowocowały w ten właśnie sposób. Nikomu z otoczenia Baracka Obamy nie przyszło do głowy, że być może takie określenie jest krzywdzące dla Polaków...

Często słychać o interwencjach polskiej dyplomacji w sprawie zagranicznych mediów używających tego kłamliwego wyrażenia, słyszymy też o procesach wytaczanych notorycznym kłamcom. Moim zdaniem potrzeba nam wielkiego, głośnego procesu, w którym Polacy domagaliby się wielomilionowego odszkodowania za zakłamywanie naszej historii. Taki proces, bardzo łatwy do wygrania, mógłby skupić uwagę świata na tym problemie.

Podobnie jak proces, który Wiktor Krawcenko, uciekinier z ZSRS, wytoczył francuskim komunistom, którzy oskarżyli go o szerzenie kłamstw na temat Związku Sowieckiego?

Tak. Sprawa Krawcenki pomogła nagłośnić prawdę o naturze sowieckiego systemu. Historia nowelizacji ustawy o IPN pokazała, że takie narzędzia są raczej kontrskuteczne, więc nie powinniśmy już po nie sięgać. Wielki proces cywilny w USA z wielomilionowym odszkodowaniem w tle – jestem pewien, że taka sprawa przyniosłaby dużo dobrego polskiemu wizerunkowi za granicą.

Nie obawia się pan jednak, że Polska ma już tak zepsutą opinię na Zachodzie, iż każda próba opowiedzenia tej historii na nowo będzie uważana za propagandę?

Dlatego to trzeba robić bardzo rzeczowo, a nie pod hasłem „Bóg, honor, ojczyzna”. Bez emocji, bez krzyków, że w ten sposób krzywdzi się naród polski, że to my byliśmy ofiarami. To jest dobre w publicystyce wewnętrznej na potrzeby pokrzepienia ducha. Tą narracją nie mamy szans na Zachodzie. Trzeba sięgnąć do archiwów, pokazywać, co się działo na terenie okupowanej Polski. Tu jest potrzebna historyczna praca od podstaw. Musimy wydawać na Zachodzie porządnie przygotowane książki, w których fakty same będą się broniły.

Musimy jednak zacząć od siebie. Trzeba wytłumaczyć naszemu społeczeństwu, dlaczego Polacy nie byli ani narodem sprawców, ani współsprawców. Fałszerze historii muszą być odcięci od finansowania przez państwo. Mamy wolność słowa, więc każdy może sobie pisać, co mu się tylko podoba, ale państwo polskie nie może płacić autorom książek, które wpisują się w linię korzystną dla

Niemiecka propaganda historyczna prowadzona jest bardzo subtelnie i Polacy generalnie tego nie zauważają. A jeżeli już, to szukają korzeni tego problemu nie tam, gdzie one rzeczywiście są. W Polsce na prawicy robi karierę opowieść, jak to po wojnie BND, zachodnoniemiecki wywiad, robił wszystko, by w przestrzeni medialnej „naziści” wyparli Niemców, a także by jak najczęściej pojawiało się określenie „polskie obozy śmierci”. Problem w tym, że nie ma żadnych dowodów na to, iż była to jakaś zaplanowana operacja precyzyjnie realizowana przez niemiecki rząd. To zbyt naiwne podejście do tego problemu.

Skąd więc biorą się „polskie obozy śmierci”? Ile w tym niewiedzy, a ile świadomej manipulacji, kłamstwa?

W przypadku Niemiec myślę, że to się rozkłada mniej więcej po połowie. Jeżeli nie jest to kłamstwo, to co najmniej podświadoma manipulacja. Niemcom zależy na powtarzaniu pojęć, które pasują do ich wyobrażeń.



Węgierscy Żydzi prowadzeni na śmierć, Auschwitz II-Birkenau, 1944 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ naszego zachodniego sąsiada. Centrum Badań nad Zagładą Żydów kreuje wizję historii, której efektem musi być uznanie Polaków za współsprawców Holokaustu. Biorąc na poważnie tezy głównych badaczy centrum, trudno wyciągnąć inny wniosek. A to jest przecież wniosek kłamliwy. Nie mogę zrozumieć, jak to jest, że Polska Akademia Nauk, pod której auspicjami działa centrum, toleruje coś takiego.

Obrońcy centrum wskazują jednak na wolność badań naukowych. Czy odcięcie tych badaczy od publicznych pieniędzy jeszcze bardziej nie pogorszy wizerunku Polski na Zachodzie?

Najpierw musimy zdać sobie sprawę z tego, że mamy w Polsce ośrodki, które dostarczają na Zachód amunicję pozwalającą oczerniać nasz kraj. Wszystko zaczęło się od Jana Tomasza Grossa. Teraz grupa pod przewodnictwem Jana Grabowskiego potwornie wykoślawia historię Polski. Ich twórczość doskonale pasuje ludziom, którzy opowiadają o „polskich obozach śmierci”. Ci ludzie nasłuchują wieści z Polski i zacierają ręce, kiedy kolejna publikacja opłacana z pieniędzy polskich podatników pokazuje Polaków jako morderców Żydów. Tam nie ma miejsca na niuanse, na wyjaśnianie kontekstu: wojna i upadek państwa polskiego, zachęty płynące ze strony Niemców, bezprawie wywołane wojennym chaosem – wszystko to powodowało, że męty społeczne zaczęły w Polsce szkodzić ludziom na dużą skalę. Nie tylko Żydom, wydając ich i ograbiając, lecz

także Polakom. Nie ma tego kontekstu. Jest za to pozostawianie ogólnego wrażenia, że okupowana Polska była dla Żydów piekłem z powodu nastawienia ogromnej części narodu polskiego. Dlatego Grabowski jest tak popularny w Niemczech. Żyję w Niemczech, przysłuchuję się tutejszej debacie publicznej, widzę, jaka atmosfera panuje wśród tutejszych badaczy. Polacy nie zdają sobie sprawy, jak ważny jest głos Grabowskiego w środowisku niemieckich historyków. To prawdziwa gwiazda! Ten człowiek przynosi im na tacy potwierdzenie tezy, że sprawcami Holokaustu byli „naziści” i... Polacy.

Naprawdę uważa pan, że jest aż tak źle? Rzeczywiście realnie jest zagrożenie, że naziści nigdy nie będą już Niemcami, a sprawcami Holokaustu staną się Polacy?

To zagrożenie jest jak najbardziej realne. Tak wygląda rzeczywistość, z którą na Zachodzie muszą się mierzyć Polacy. Wiele złego już się stało. Już jesteśmy postrzegani jako współsprawcy Holokaustu. Jeżeli nie będziemy temu skutecznie przeciwdziałać, to będziemy głównymi sprawcami Holokaustu. Będziemy stali zaraz obok nazistów. Albo sami zostaniemy tymi nazistami.

W PRL-owskiej Polsce był dowcip: Która propaganda była skuteczniejsza? Komunistyczna czy Goebbelsowska? Oczywiście, że komunistyczna. Gdyby propaganda Goebbelsowska była tak skuteczna jak komunistyczna, to Niemcy do dziś nie wiedzieliby, że przegrali

wojnę. Paradoksalnie jednak niemiecka propaganda historyczna właśnie to osiągnęła! Dzisiaj Niemcy właściwie nie wiedzą, że przegrali wojnę. Oni generalnie uważają, że zostali „wyzwoleni” przez aliantów. Udało im się przewartościować tamten okres. Ta operacja z rzeczywistością historyczną nie ma nic wspólnego. Ze sprawców robi się ofiary, a z ofiar sprawców. Stąd bierze się używanie słowa „naziści” i sformułowania „polskie obozy śmierci”.

Zdaje sobie sprawę z tego, że walka z tymi kłamstwami jest jak walka Dawida z Goliatem. Niemiecki potencjał narracyjny jest nieporównywalny z polskim, tym bardziej że w Polsce mamy ośrodki, które wspierają tę narrację. Mamy też na naszym rynku medialnym niemieckie koncerny, które robią z historii bezkształtną masę. Tymczasem fakty historyczne są po naszej stronie. Musimy przekonywać wszystkich do używania pojęcia „niemieckie zbrodnie”. Jeżeli to zaniedbamy, wówczas bardzo sobie zaszkodzimy.

Profesor Daniel Patrick Brown, amerykański historyk, autor książki „Piękna bestia. Zbrodnie SS-Aufseherin Immy Grese”, przekonywał mnie, że „naziści” nigdy nie przestaną być kojarzeni z Niemcami, a używanie pojęcia „niemieckie zbrodnie” oznacza, że „uwalniamy” od nich Austriaków.

Obawiam się, że prof. Brown nie docenia ludzkiej ignorancji. To dosyć naiwne spojrzenie. Austriacy wchodzili w skład III Rzeszy i również oni byli sprawcami masowych mordów, odgrywali dużą rolę w Holokauście. Oczywiście możemy mówić, że były to zbrodnie niemiecko-austriackie, ale samo wskazywanie na Niemców jest jak najbardziej poprawne, bo przecież to oni byli motorem tych wszystkich nieludzkich okrucieństw. Austria to bardzo ciekawy przykład polityki historycznej. Ten kraj osiągnął mistrzowski poziom w odcinaniu się od własnej przeszłości. Austriacy mówią dziś o sobie, że są pierwszą ofiarą Hitlera i ostatnią ofiarą Stalina. Trzeba przyznać, że to absolutny majstersztyk.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Bogdan Musiał – jest historykiem specjalizującym się w XX-wiecznych dziejach Niemiec, autorem wielu prac na temat niemieckich zbrodni w okupowanej Polsce (m.in. „Kto dopomógł Żydowi...”).

Gdyby chciał wypisać wszystkie przykłady, gdy ktoś na świecie posłużył się fałszywą i krzywdzącą dla narodu polskiego frazą „polskie obozy śmierci”, nie wystarczyłoby miejsca w tym dodatku

Był rok 2012, maj. Dyplomaci szykowali się na wzniosłą uroczystość ku czci wielkiego Polaka – pośmiertne uhonorowanie Jana Karskiego Prezydenckim Medalem Wolności, najważniejszym odznaczeniem państwowym w Stanach Zjednoczonych. Czar prysł, gdy prezydent Barack Obama podczas krótkiego przemówienia posłużył się określeniem „polski obóz śmierci”.

Haniebne słowa, które wywołały wówczas oburze-

Tylko w latach 2008–2017 polscy dyplomaci musieli przeprowadzić ponad 1,4 tys. interwencji w tego typu sprawach, skutecznie egzekwując sprostowania w zagranicznych mediach. I chociaż w latach 2008–2010 ich liczba była mniej więcej stała (ok. 100 rocznie), to już w 2013 r. liczba ta wzrosła do 106, w roku 2014 do 151, a w 2015 r. aż do 277. W latach 2016 i 2017 było ich odpowiednio 241 i 258. W 2018 r. liczba interwencji spadła do 217. W roku 2019 polskie placówki zagraniczne interweniowały 136 razy, a w 2020 r. 99 razy.

Wśród sprawców tych haniebnych pomyłek były takżane redakcje jak „New York Times” (w 2011 r. redaktorzy z tego dziennika posunęli się nawet do tego, że opublikowali podpis pod zdjęcie, mówiący o „obozie koncentracyjnym Dachau w Polsce”), „Politico” (amerykański portal jedno ze zdjęć podpisał jako „mapę obozów koncentracyjnych Polski”), „The Guardian”, „Corriere della Sera”, „La Stampa”, a także największe niemieckie media na czele z takimi tytułami jak „Die Welt”, „Der Spiegel”, „Bild”, „Die Zeit”, „Süddeutsche Zeitung”, „Stern” czy „Focus”.

Udział w rozpowszechnianiu historycznych kłamstw miały też tak istotne agencje prasowe jak amerykańska Associated

(„polski obóz koncentracyjny”). O „polskich obozach” można też było przeczytać na stronach internetowych żydowskiego Centrum Szymona Wiesenthala.

– Kiedy w zagranicznej prasie czytam określenia „polskie obozy śmierci”, mam odczucie, że jest to określenie bardzo nie na miejscu i zależy nam na tym, żeby to zmienić – mówił w 2018 r. premier Morawiecki, podkreślając, że „sformułowanie »polskie obozy śmierci« jest obraźliwe dla Polaków i samo w sobie stanowi zaprzeczenie Holokaustu. Nie ma polskiej rodziny, która nie straciłaby bliskich podczas drugiej wojny światowej”.

Międzynarodowy Sojusz na rzecz Pamięci o Holokauście

Świat wciąż kłamie o obozach

nie wielu Polaków, co rusz pojawiają się na łamach największych mediów w wielu krajach świata. Mimo że MSZ już w roku 2004 rozpoczęło kampanię przeciw upowszechnianiu „wadliwych kodów pamięci” takich jak „polski obóz śmierci”, „polski obóz koncentracyjny”, „polskie komory gazowe”, „polska fabryka śmierci”. Zdarzają się nawet takie określenia jak „polski Holokaust”, „polscy naziści”, „polskie ludobójstwo” czy „polskie zbrodnie przeciwko ludzkości”.

Wśród państw, których media najczęściej wypisują wyrażające interwencji bzdury, od lat przoduje Wielka Brytania. Na haniebnym podium fałszujących historię znajdują się też media amerykańskie oraz niemieckie. Kolejne miejsca w statystykach zajmują media francuskie, duńskie, hiszpańskie, słowackie czy włoskie. W XXI w. szkalujące dobrą pamięć o Polakach określenia pojawiły się także w mediach austriackich, kanadyjskich, serbskich, irlandzkich, litewskich, izraelskich.

Press (w 2012 r. agencja w stylebooku zabroniła jednak swoim dziennikarzom używania takich określeń jak „polskie obozy śmierci”) czy niemiecka DPA, choć wydawałoby się, że Niemcy powinni dobrze wiedzieć, iż ich obozy prowadzone były przez niemieckich nazistów. Mimo to w 2010 r. w publikacji wydanej dla niemieckich szkół w nakładzie 800 tys. egzemplarzy pojawiło się określenie „polnische Konzentrationslager”

(IHRA) zauważył zaś w opublikowanym na początku 2021 r. raporcie, że „znieszczenie pamięci o Holokauście jest podstępniejsze niż jej negowanie”. Jednym z przykładów znieszczenia pamięci jest zaś zacieranie odpowiedzialności nazistowskich Niemiec za utworzenie obozów koncentracyjnych oraz obwinianie za Holokaust innych narodów lub grup etnicznych. (*jap*)

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

JACEK PRZYBYLSKI: Wraz z mec. Obarą od lat z sukcesami walczy pan z używaniem w przestrzeni publicznej kłamliwego pojęcia „polskie obozy zagłady”. Stowarzyszenie wspomaga w sądach byłych więźniów niemieckich obozów zagłady walczących z niemieckimi redakcjami, które szkalują dobre imię Polski. Jak wyglądają kulisy takich spraw?

SZYMON TOPA: Takie sprawy prowadzimy już od 2009 r. Od momentu wytoczenia pierwszego pozwu przeciw wydawcy „Die Welt” na prośbę Zbigniewa Osewskiego wiele się w tej materii zmieniło. Ponad 10 lat temu kwestia dochodzenia roszczeń z tytułu takich dóbr osobistych jak tożsamość narodowa czy godność narodowa była tematem obcym nauce prawa. Zagadnienie to na gruncie prawa cywilnego nie było badane, a prawnicy nie wypowiadali się na temat, kiedy może dochodzić do naruszenia tego typu dóbr. Przyjmowano bowiem wówczas, że zawsze wypowiedzi prowadzące do naruszenia dóbr osobistych powinny dotyczyć konkretnej osoby.

Najtrudniejsze podczas pierwszego procesu było więc przekonanie sądu, że chociaż autorzy używający określenia „polskie obozy koncentracyjne” nie wypowiadają się o konkretnej osobie, to godzą oni w indywidualne dobra osobiste konkretnych osób.

W tym czasie za modelowy sposób rozstrzygania sporów dotyczących zbiorowości uznawano wyrok w sprawie członków partii SLD, spośród których niektórzy poculi się dotknięci określeniem użytym przez jednego z polityków: „Płatni zdrajcy, pacholki Rosji”. Sąd Najwyższy uznał wówczas, że wypowiedź dotycząca pewnej zbiorowości nie może uzasadniać roszczeń przez jej członka. To przekonanie dominowało w orzecznictwie.

To przekonanie udało się panom zmienić. Czy obecnie każdy Polak, który poczuje się dotknięty użyciem określenia ociermniającego nasz naród, może już wystąpić z pozwem przeciw danej redakcji?

Zdołaliśmy w orzecznictwie sądów powszechnych przekuć pogląd, że są pewne wypowiedzi dotyczące całej narodowości, które godzą w indywidualne dobra każdego członka tej wspólnoty narodowej. Konkretnie Sąd Apelacyjny w Warszawie uznał, że wypowiedź, w której padają określenia „polskie obozy zagłady” czy „polskie obozy koncentracyjne”, jest nie tylko ewidentnie niezgodna z prawdą, lecz także może wzbudzić u polskiego obywatela poczu-



FOT. KANCELARIA LECHA OBARY

cie, że to on jest pomawiany o niegodne zachowanie. Sąd Apelacyjny w Warszawie przyjął więc, że każda osoba, która czuje się Polakiem i czuje przynależność do polskiej wspólnoty narodowej, może się taką wypowiedzią w sposób obiektywny poczuć urażona. Fakty są bowiem takie, że obozy koncentracyjne są nie tylko symbolem Holokaustu, lecz także miejscem kaźni Polaków.

Nie każdy sąd tak jednak do tego podchodzi.
To prawda. Można znaleźć inny pogląd. Sąd Apelacyjny w Krakowie przy-

lepsze predyspozycje do oceny skali problemu „polskich obozów” i jego znaczenia. Ja patrzę na ten problem z punktu widzenia prawnego. Dla nas dużym postępem jest to, że na gruncie sądów powszechnych w sferze cywilnoprawnej ukształtował się pogląd, że jest coś takiego jak godność narodowa oraz poczucie przynależności narodowej i jest pewna sfera tych wartości, która zasługuje na ochronę prawną. Wskazaliśmy instrument prawny, który może być wykorzystywany przez innych, a nawet dalej rozwijany. Niepokoi mnie jednak, czy te



Z mec. Szymonem Topą, radcą prawnym Stowarzyszenia Patria Nostra w Olsztynie rozmawia Jacek Przybylski

„Polskie obozy” to rodzaj kłamstwa oświęcimskiego

kładowo przyjął pogląd, że tego typu wypowiedzi godzą jedynie w dobra osobiste osób, które osobiście doświadczyły kaźni w danym obozie, ewentualnie członków ich rodzin.

Nie można więc powiedzieć, że wystarczy wykazać przywiązanie do polskiej tradycji narodowej, aby móc złożyć pozew w sprawie o „polskie obozy”. Nie można mieć bowiem pewności, czy dany sąd podzieli pogląd Sądu Apelacyjnego w Warszawie czy Sądu Apelacyjnego w Krakowie.

Czy po ponad dekadzie prowadzenia tego typu spraw może pan stwierdzić, że tego rodzaju fałszujące historię określenia pojawiają się już rzadziej, czy to nadal jest problem na dużą skalę?

To złożone zjawisko społeczne. To tematyka, która budzi zainteresowanie lingwistów, socjologów, politologów czy historyków. Powstają wreszcie prace naukowe na ten temat. Myślę, że mają

wartości dostrzeżone na gruncie polskiego sądownictwa będą chronione również na poziomie prawa europejskiego.

Dlaczego?

Do tej pory, formułując pozwy w sprawie „polskich obozów”, powoływaliśmy się na przepisy unijnego rozporządzenia dotyczącego jurysdykcji sądów cywilnych funkcjonujących na terenie Unii Europejskiej, aby uzasadnić możliwość pozwania zagranicznego wydawcy w Polsce. Na gruncie tych przepisów TSUE sformułował pogląd, że w sprawach o naruszenie dóbr osobistych, w których naruszenie nastąpiło w wyniku wykorzystania Internetu, osoba poszkodowana może dochodzić takiego roszczenia w państwie, w którym ma swoje centrum spraw życiowych, czyli w praktyce najczęściej w miejscu swojego zamieszkania. Sądy polskie dotychczas to uznawały. W 2019 r. jednak Sąd Apelacyjny

■ w Krakowie, na wniosek pełnomocników niemieckiego wydawcy pozwanego w sprawie o „polskie obozy”, zdecydował się zwrócić do unijnego Trybunału Sprawiedliwości właśnie z pytaniem prejudycjalnym, czy tego typu sprawy mogą być w ogóle rozpatrywane przez polskie sądy.

Teraz czekamy na rozstrzygnięcie trybunału. Niepokojące jest jednak to, że Komisja Europejska sformułowała stanowisko przychylnie niemieckim wydawcom, choć jest to w sprzeczności z dotychczasową zasadą, aby wspomniane przepisy jurysdykcyjne interpretować na korzyść pomówionego (pokrzywdzonego). Gdy trybunał podzieli ten pogląd, będzie to oznaczać, że teraz każdy, kto poczułby się urażony użyciem określenia „polskie obozy” przez np. niemiecką redakcję, będzie musiał złożyć pozew przed niemieckim sądem, czyli w miejscu, gdzie redakcja ma swoją siedzibę.

I nie miałyby wówczas znaczenia nawet to, że szkalujące dobre imię Polaków określenie pojawiło się np. na polskojęzycznej stronie danego wydawcy?

Przy przyjęciu poglądu forsowanego przez prawników reprezentujących niemieckich wydawców nie będzie miało to znaczenia. Niezależnie od tego, w jakim języku pojawiłoby się to określenie, kluczowa będzie siedziba wydawcy. Jeśli więc redakcja przypisująca Polakom utworzenie Auschwitz miała siedzibę we Włoszech, to sprawę trzeba by prowadzić przed włoskim sądem, jeśli we Francji – to przed francuskim etc.

Wygrana przed polskim sądem niekiedy okazuje się niewystarczająca. Niemiecki Federalny Trybunał w Karlsruhe odmówił uznania wykonaności prawomocnego wyroku Sądu Apelacyjnego w Krakowie, a Komisja Europejska nie chce interweniować mimo rażącego łamania prawa europejskiego przez Niemcy. Czy te procesy miały więc w ogóle sens, skoro sprawcy kolejny raz mogą uniknąć odpowiedzialności?

Mimo wszystko tak. Te pozwy nie były pochodną chłodnego racjonalnego myślenia. Jak wspominałem, gdy ponad 10 lat temu składaliśmy pierwsze pozwy, dominujące wówczas poglądy w orzecnictwie i doktrynie prawnej wskazywały, że nasze działania są niecelowe, bo takie roszczenia o pomówienie zbiorowości raczej nie były uznawane. Złożone pozwy były więc wyrazem frustracji i reakcją na



Komora gazowa w niemieckim obozie
KL Majdanek FOT. WIKIPEDIA/ JOLANTA DYR

bezsilność dotychczasowych starań państwa i służb dyplomatycznych w walce o prawdę. Zwykli obywatele stwierdzili, że muszą wyrazić swój zdecydowany sprzeciw wobec fałszowania historii. Nie mieli zaś innego instrumentu wyrażania swojego sprzeciwu niż właśnie pozwy.

Intencją tych procesów było pokazanie, że pisanie o „polskich obozach” nie tylko uderza w wizerunek Polski, lecz także wywołuje poczucie krzywdy u wielu Polaków, przed którym powinni być chronieni. To się w jakimś stopniu udało.

Ważne jest też to, że poczucie krzywdy i oczekiwanie Polaków co do przeciwdziałania fałszowaniu ich historii wreszcie zaistniały w świadomości niemieckich wydawców i dziennikarzy. Naszą intencją było bowiem skłonienie niemieckich redakcji – zakładając ich dobrą wolę – do tego, aby z większą uwagą podchodziły do opisywania historii obozów koncentracyjnych. I doprowadzenie do tego, aby niemieccy wydawcy mieli świadomość, że jeśli będą pisać nieprawdę, to zostaną pozwani i będą musieli facygować się do sądu, w tym ponieść koszty procesu etc. W wyniku pozwów rozwinęła się również dyskusja na temat tego, jak należy chronić dobre imię Polski i jakimi instrumentami prawnymi dysponujemy, aby przeciwdziałać fałszowaniu historii. Jestem przekonany, że gdyby zasięg podobnych działań prawnych był większy i wykraczał poza niemieckich wydawców, być może efekt byłby jeszcze lepszy.

Oczywiście, niemieccy wydawcy nie są bierni i podejmują działania, aby chronić się przed tego typu pozwami. Jednym z nich jest właśnie próba zmiany wykładni prawa unijnego w zakresie jurysdykcji, tj. spowodowanie, że polski sąd skierował wspomniane zapytanie prejudycjalne. To bardzo ważny sygnał dla polskich prawników i polityków, że trzeba się mobilizować i również zadbać o korzystną dla polskich interesów wykładnię prawa. Wyroki wydane w indywidualnych sprawach mają nieraz charakter precedensowy. I tak właśnie dzieje się w sprawach o „polskie obozy”. Trzeba przekonywać europejskich sędziów o słuszności poglądów przyjmowanych przez polskie sądy. Jest to zadanie dla każdego, któremu nie jest obojętne, czy będzie można wykorzystywać pozwy cywilne jako środek do przeciwdziałania fałszowaniu historii obozów zagłady.

Czy z pańskiego doświadczenia wynika, że osoby, które używają określenia „polskie obozy śmierci”, robią to z premedytacją, czy jest to jedynie wynik ignorancji lub bezmyślności?

Dla nas, Polaków, to jest sprawa oczywista. Mam głębokie przekonanie, że taka powinna być również dla niemieckich dziennikarzy. Rozumiem jednak, że w Niemczech świadomość historyczna nie jest wcale taka sama jak w Polsce czy jaka była za zachodnią granicą lata temu. Jeśli młodzi Niemcy przez cały czas są uczeni, również przez doświadczonych kolegów z redakcji, że pisze się o „pol-

skich obozach” czy „nazistowskich obozach”, to nie dziwny się, iż tak właśnie robią. Po prostu tak zostali nauczeni.

Celem naszych procesów jest zwrócenie uwagi redakcjom, że ich zadaniem jest, aby takie nieprawdziwe, godzące w poczucie wartości Polaków określenia wyłapywać i nie dopuścić do tego, by one się pojawiały. Tak samo jak dbają o to, aby nie nazywać obozów zagłady „niemieckimi”.

Czy można stwierdzić, że składane przez Stowarzyszenie Patria Nostra pozwody sądowe zahamowały proces zakłamywania historii? Chyba żadne z niemieckich mediów, którym wytoczyli panowie procesy, nie posłużyło się już więcej szkalującym Polaków określeniem, choć przed pozwami np. stacja ZDF użyła tego kłamliwego zwrotu kilkakrotnie.

W przypadku „Die Welt”, czyli pierwszego tytułu, którego wydawca został przez nas pozwany, nawet w trakcie procesu na jego łamach pojawiły się określenia, za które został pozwany. Potem nie odnotowaliśmy już jednak przypadków, aby „Die Welt” pisał o „polskich obozach”.

Warto odnotować, że niemieckie redakcje wcale nie są w czołówce tych, które najczęściej używają tego typu określeń. W przypadku niemieckich redakcji wydaje się to dużo bardziej krzywdzące i niezrozumiałe. Najczęściej w Europie o „polskich obozach” piszą w Wielkiej Brytanii. Często takie określenia padają też we włoskiej czy francuskiej prasie. I właśnie przeciwko tym redakcjom winny być również prowadzone procesy.

Jednym z argumentów często wykorzystywanych przez osoby używające tego kłamliwego określenia jest też to, że przymiotnik „polskie” nie wskazuje sprawców, lecz jedynie przypisuje obozom cechę geograficzną. Wierzy pan w takie wytłumaczenie?

To oczywiście absurdalny argument, który podnosi się wówczas, gdy nie ma się już żadnych innych. Określenie „polski obóz koncentracyjny” jest po prostu nieprawdziwe. Jego stosowanie pod względem logicznym, historycznym i faktycznym nie ma żadnego uzasadnienia. Nie trzeba być lingwistą, aby zrozumieć, że kiedy się mówi o czymś „polskie”, nie chodzi o geografie, ale o wskazanie pewnej przynależności. Z tego powodu mówi się, że na terenie Polski znajduje się niemiecka ambasada, a nie „polska ambasada Niemiec”.

Poza tym często ci dziennikarze, którzy używają argumentu, że przymiotnik nadaje tylko cechę geograficzną, jednocześnie obawiają się nazwać obozy „niemieckimi” i zamiast tego wolą posługiwać się określeniem „nazistowskie”. Dlaczego? Ponieważ doskonale wiedzą, że ten przymiotnik nie określa tylko miejsca, gdzie powstały obozy, lecz także to, kto je utworzył.

Nie można więc pozwolić na to, aby dziennikarze obawiali się pisanie o „niemieckich obozach”, bo nie chcą, by kojarzyły się one z Niemcami, a jednocześnie nie widzieli żadnego problemu w pisanie o „polskich obozach”. Niestety, zdarzało się nawet, że sformułowaniem „polskie obozy” były określane obozy, które nie były położone na terenach okupowanej Polski.

Jak można z tym zjawiskiem walczyć?

Jestem przekonany, że instrumenty prawne to za mało. Potrzebna jest edukacja. Potrzebna jest świadoma, dobrze zorganizowana kampania społeczna, która będzie kształtować zagraniczną opinię publiczną w taki sposób, że obozy zagłady należy kojarzyć również z miejscem kaźni Polaków, a nie tylko miejscem, w którym Polacy rzekomo zabijali Żydów. Wiele państw aktywnie prowadzi politykę historyczną, wykorzystując do tego różne środki oddziaływania na opinię publiczną. Prawo może być jedynie uzupełnieniem tych działań. Polityka historyczna Izraela to nie tylko procesy, ale przede wszystkim tworzenie na całym świecie ośrodków naukowych i edukacyjnych zajmujących się Holocaustem. Polska oczywiście musi znaleźć swój sposób na to, aby mówić światu o swojej historii.

Czy w takim razie głośna wygrana w sprawie cywilnej, zakończona zasądzeniem wysokiego odszkodowania, sprawiłaby, że wydawcy zaczęliby się temu problemowi przyglądać?

Oczywiście, że tak. Trzeba jednak się zastanowić, na ile taki cel jest realny do osiągnięcia. Jako prawnicy oceniamy, że wywalczenie wysokiego zadośćuczynienia w tego typu sprawach jest przed polskimi sądami w zasadzie nierealne. W polskim prawie nie ma jak w Ameryce instytucji punitive damages, czyli rodzaju świadczenia zmierzającego do ukarania osoby naruszającej cudze dobra. W polskim prawie odszkodowanie i zadośćuczynienie ma głównie charak-

ter kompensacyjny, a nie prewencyjny (odstrasżający).

A gdyby taki proces wytoczył w Ameryce?

To co innego. Jeśli ktoś by się tego podjął i udałoby mu się wywalczyć wysokie zadośćuczynienie, to jestem przekonany, że miałyby to duży wpływ na walkę z takimi określeniami.

Wiele państw przewiduje kary za kłamstwo oświecimskie. Czy pisanie o „polskich obozach” – które to określenie nie tylko jest nieprawdziwe, lecz także zupełnie zmienia wyobrażenie o odpowiedzialności za zbrodnie niemieckich nazistów – nie jest jednak przykładem właśnie tego typu negacjonizmu? Czy można stwierdzić, że używanie takiego szkalującego Polaków określenia stanowi formę rewizjonizmu?

W moim przekonaniu mówienie o „polskich obozach koncentracyjnych” jest stwierdzeniem nieprawdy, a w sytuacji, gdy ktoś to robi świadomie, jest kłamstwem. Można więc powiedzieć, że jest to forma negacjonizmu.

Warto pamiętać, że stanowisko Polaków w tym zakresie nie jest odosobnione. Międzynarodowy Sojusz na rzecz Pamięci o Holokauście (IHRA), który zajmuje się upamiętnieniem ofiar Holocaustu, ma wypracowaną definicję negacjonizmu i zgodnie z nią próba przypisywania utworzenia obozów koncentracyjnych innym narodom niż Niemcy jest uznawana za formę zniekształcenia historii i prawdy historycznej o Holokauście. To bardzo mocny argument, który polscy politycy powinni wykorzystywać, by przekuć tę definicję na konkretne rozwiązania prawne. Generalnie przyjmuje się bowiem, że z kłamstwem oświecimskim mamy do czynienia wówczas, gdy ktoś mówi, że to nie Niemcy są odpowiedzialni za Holocaust.

Wprawdzie niektórzy twierdzą, że określenie „polskie obozy” nie jest zaprzeczeniem sprawstwa niemieckiego, ale ja się z tym nie zgadzam. Uważam, że taka wypowiedź wprowadza w błąd odnośnie do tego, kto jest sprawcą, odsuwa odpowiedzialność od Niemców, a tym samym jest fałszowaniem historii i powinna być traktowana jak rodzaj kłamstwa oświecimskiego, a więc powinna być karana w podobny sposób jak wypowiedzi, których autorzy negują istnienie w przeszłości obozów koncentracyjnych. Ukształtowanie takiego przekonania w społeczności międzynarodowej wymaga jednak pracy.

Polski dzwon alarmowy



Auschwitz II-Birkenau obecnie i w 1945 r.

FOT. WIKIPEDIA/AIR-QUAD UG



Piotr Włoczyk

Szczegółowe raporty z niemieckich „fabryk śmierci” i wstrząsające relacje świadków – Polacy nadaremnie starali się przekonać aliantów do podjęcia próby powstrzymania Zagłady

Ostatnie raporty przynoszą przerażający obraz sytuacji, w jakiej znaleźli się Żydzi polscy. Nowe metody masowej rzezi wdrożone w ciągu kilku ostatnich miesięcy potwierdzają fakt, że niemieckie władze zamierzają w sposób systemowy eksterminować żydowską populację Polski, a także wiele tysięcy Żydów, których niemieckie władze deportowały do Polski z zachodnich i centralnych regionów Europy, również z samej niemieckiej Rzeszy” – pisał w grudniu 1942 r. polski minister spraw zagranicznych Edward Raczyński do rządów państw sygnatariuszy Deklaracji Narodów Zjednoczonych. „Polski rząd uważa za swój obowiązek przekazania rządowi wszystkich cywilizowanych państw

poniższe, w pełni udokumentowane informacje otrzymane z Polski w ciągu ostatnich tygodni, które jasno pokazują nowe metody eksterminacyjne używane przez niemieckie władze”.

„Nota Raczyńskiego” była pierwszym oficjalnym raportem na temat dokonywanego przez Niemców Holokaustu. Polskiemu rządowi na uchodźstwie zależało nie tylko na poinformowaniu o Zagładzie, lecz także na spowodowaniu konkretnej reakcji. Jak podkreślał w nocie minister Raczyński, poza potępieniem zbrodni Polacy oczekiwali od aliantów „znalezienia skutecznych środków, po których można by się spodziewać, że powstrzymają Niemcy od dalszego stosowania metod masowej zagłady”.

Polski rząd na uchodźstwie stworzył notę na podstawie materiałów dostarczonych do Londynu przez kuriera i emisariusza Polskiego Państwa Podziemnego Jana Karskiego (właściwie Jana Kozińskiego – Karski był pseudonimem). Raport Karskiego na temat zagłady Żydów powstał na zlecenie prof. Cyryla Ratajskiego, delegata Rządu na Kraj. Była to relacja z wizyty w getcie warszawskim, a także w obozie przejściowym w Izbicy, do którego Karski dostał się przebrany w mundur strażnika ukraińskiej formacji pomocniczej SS.

„Widziałem straszne rzeczy. Rampa kolejowa, wywózka z obozu – opisywał po latach tamten dzień Jan Karski. – Żandarmi, esesmani, masy Żydów. Nie wiem – tysiąc, półtora tysiąca. Dzieci, kobiety, starcy. Smród, rozpacz, krzyki: »Raus, raus!«. Wpychanie kolbami do pociągu, jak ktoś się potknął, to kolbami ich bili. Przerazenie. Obraz nie z tego świata, bydlą tak ludzie nie traktują [...]. Ostatnich zmuszali do wdrapywania się na głowy tych, co weszli wcześniej”.

OBOJĘTNY JAK ROOSEVELT

Polskie władze wysłały następnie Karskiego z Londynu do USA. Emisariusz spotykał się wówczas z najważniejszymi ludźmi w Waszyngtonie. Nie tylko opowiadał im o sytuacji Polskiego Państwa Podziemnego i zagrożeniu ze strony Związku Sowieckiego, lecz także tłumaczył skalę mordów na narodzie żydowskim. Niemal za każdym razem spotykał się jednak z kompletnym niezrozumieniem. „Panie Karski, człowiek taki jak ja, który rozmawia z człowiekiem takim jak pan, musi być całkowicie szczery – powiedział Felix Frankfurter, sędzia amerykańskiego Sądu Najwyższego w rozmowie z Janem Karskim. – Toteż ja mówię: nie jestem w stanie uwierzyć w to, co mi pan powiedział”. Frankfurter – sam z pochodzenia Żyd

– był tylko jednym z wielu członków amerykańskiej elity, którzy nie chcieli dać wiary relacji Karskiego na temat Zagłady.

Pod koniec lipca 1943 r. Jan Karski spotkał się wreszcie z Franklinem Delano Rooseveltem.

Ich rozmowa trwała półtorej godziny. Według relacji Karskiego Roosevelt miał mu przerwać relację na temat zagłady Żydów, mówiąc: „Policzymy się z Niemcami po wojnie. Panie Karski, proszę mnie ewentualnie wyprowadzić z błędu, ale czy Polska jest krajem rolniczym? Czy nie potrzebujecie koni do uprawy waszej ziemi?”.

Przed wyjazdem Karskiego z okupowanego kraju żydowscy działacze mówili mu, że wiedzą, iż bardzo trudno będzie przeszkodzić Niemcom w dokonaniu Zagłady. Chcieli jednak, by Zachód podjął jakąkolwiek próbę: „Niech żaden z przywódców Narodów Zjednoczonych nie będzie mógł powiedzieć, że nie widział, że jesteśmy w Polsce mordowani i że tylko z zewnątrz można nam przyjść z pomocą”.

Sam Karski nie pozostawiał żadnych wątpliwości, jeżeli chodzi o przyszłość Żydów zamieszkujących tereny okupowane przez III Rzeszę. „Jeżeli Niemcy nie zmienią metod wobec ludności żydowskiej, jeśli nie będzie interwencji aliantów, to w ciągu półtora roku ludność żydowska przestanie istnieć” – alarmował aliantów.

Polskie Państwo Podziemne przez cały okres okupacji słało na Zachód raporty na temat sytuacji Żydów. Opracowywano je na podstawie informacji dostarczonych przez tysiące Polaków, którzy często ryzykowali własne życie, by dotrzeć do miejsc kaźni i przekazać te relacje w ręce wywiadu AK. Wśród zalewu raportów na temat Holokaustu, jakie docierały z Polski do rządu na uchodźstwie, a stamtąd do aliantów, szczególna uwaga należy się materiałom przygotowanym przez rtm. Witolda Pileckiego. Polskiego żołnierza, który zgłosił się do wykonania misji wywiadowczej w obozie Auschwitz. Jednym z jego zadań miało być zorganizowanie tam struktury ruchu oporu. Rotmistrz Pilecki pozwolił się aresztować podczas łapanki na ulicach Warszawy. 21 września 1940 r. został przewieziony do Auschwitz, gdzie otrzymał numer 4859. W obozie tym więziony był do 27 kwietnia 1943 r., gdy – wraz z dwoma innymi



Jan Karski FOT. WIKIPEDIA/MALGORZATA MILEASZEWSKA-DUDA



Witold Pilecki (fotografia pokolorowana)

FOT. DOMENA PUBLICZNA

polskimi więźniami – uciekł stamtąd. Jeszcze w trakcie uwięzienia rtm. Pilecki przemyczał na zewnątrz informacje o sytuacji w obozie. Po wydostaniu się na wolność przystąpił do spisywania obszernego raportu na temat Auschwitz.

„Tuż obok, koło nas, na placu »pracowały« dwa walce – pisał rtm. Pilecki. – Chodziło niby o równanie terenu. Pracowały one jednak na wykańczanie ludzi, którzy je ciągnęli. W jeden, mniejszy, wprzęgnięci byli księża z dodaniem kilku innych więźniów-Polaków, do liczby 20–25. W drugi, większy, wprzęgniętych było około 50 Żydów. Na jednym i drugim dyszlu stał Krankemann i inny jakiś kapo, którzy wagą swego ciała zwiększali ciężar dyszla, wgniatając go w karki i ramiona więźniów ciągną-

cych walec. Od czasu do czasu kapo lub blokowy Krankemann z filozoficznym spokojem opuszczał kij na czyjąś głowę, uderzał to lub inne pociągowe zwierzę-więźnia z taką siłą, że nieraz kładł go trupem od razu lub omdlałego wtrącał pod walec, bijąc resztę więźniów, by się nie zatrzymywała. Z tej fabryczki trupów w ciągu dnia wielu wyciągano za nogi i układano rzędem – do przelichenia w czasie apelu”.

BOMBY 90 KM OD AUSCHWITZ

Niestety, polskie apele w sprawie Holokaustu spotykały się najczęściej z obojętnością Londynu i Waszyngtonu. Kwestię tę zbadał gruntownie amerykański historyk Holokaustu David S. Wyman. Efektem jego pracy była książka „Pozostawieni swemu losowi. Ameryka wobec Holokaustu 1941–1945”.

„Niemieckie panowanie nad większością obszaru Europy sprawiło, że najbardziej nawet zdecydowana akcja aliantów nie zdołałaby ocalić więcej niż jednej trzeciej tych, których skazano na eksterminację – pisał Wyman w swojej książce. – Ale poważne zaangażowanie się w akcję ratowania ofiar z pewnością uratowałoby życie setkom tysięcy tych ludzi, i to bez narażania na uszczerbek wojennego potencjału państw sprzymierzonych. Dokumenty dowodzą wyraźnie, że taką kampanię można by podjąć tylko w przypadku, gdyby zainicjowała ją Stany Zjednoczone. Ameryka zaś nie uczyniła w tej sprawie nic, aż po finalną fazę wojny, a nawet wtedy, kiedy z sukcesem podjęto takie działania, wyniki ich były nader ograniczone”.

Jedną z najczęściej podnoszonych kwestii podczas debaty na temat możliwości wpłynięcia na skalę Zagłady jest bombardowanie torów kolejowych prowadzących do Auschwitz i samych komór gazowych. Alianci nigdy się na to nie zdecydowali.

„W roku 1944 amerykański Departament Wojny odrzucił kilka apeli o zbombardowanie komór gazowych w Oświęcimiu i linii kolejowych wiodących do obozu, tłumacząc, że akcje takie wyłączyłyby znaczną część sił lotniczych z działań na innych, decydujących dla przebiegu wojny terenach – pisał Wyman. – Ale zaledwie kilka miesięcy po tej wymówce dokonano kilku zmasowanych nalotów bombowych na cele przemysłowe odległe od Oświęcimia o niecałe 90 kilometrów”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Co mnie motywowało? Chyba przeżywało to, że miałem dość poczucia bezradności, gdy ktoś na świecie używał określeń „polskie obozy koncentracyjne” – mówi radca prawny Lech Obara. – Pojawiło się poczucie wstydu, że jesteśmy prawnikami, mamy w rękach narzędzia, których używamy w walce o różne dobra osobiste. Wiedzieliśmy, że jakieś dobro, jeszcze wtedy nienazwane, bo nie było takich procesów, jest naruszane, a nikt się tym nie zajmuje – ani państwo, ani duże kancelarie mające setki pracowników i zaplecze eksperckie. A poza tym sam czułem się tym osobiście dotknięty. Uznaliśmy, że to jest nasze zadanie, nasza misja – dodaje założyciel Stowarzyszenia Patria Nostra, którego celem stało się łączenie byłych więźniów obozów koncentracyjnych, ich potomków i przedstawicieli zawodów prawniczych.

JAK DAWID Z GOLIATEM

Kiedy do Lecha Obary zgłosił się Zbigniew Osewski, który chciał pozwać za „polskie obozy” wydawcę „Die Welt”, Obara miał już za sobą dużą sprawę pro publico bono, którą zdobył rozpoznawalność oraz opinię prawnika niebojącego się rzucić rękawicy potężniejszym od siebie. Stał po stronie pracowników Biedronki w procesach, w których zarzucali sieci sklepów wyzysk i łamanie praw pracowniczych. Kilkuosobowa kancelaria radców prawnych i adwokatów Obary kontra duże pieniądze i najlepsi prawnicy. – Najistotniejsze procesy wygraliśmy, reszta skończyła się ugodami. Cieszymy się, że zmieniliśmy wtedy trochę świat prawa pracy. Udowodniliśmy, że nie jesteśmy jakąś kolonią, że trzeba szanować polskich pracowników. Doprowadziliśmy też do tego, że godność i prawo do bezpiecznych i higienicznych warunków pracy zaczęły funkcjonować w polskim orzecznictwie – mówi Lech Obara.

Sprawą Zbigniewa Osewskiego przeciwko wydawnictwu Axel Springer Societas European radca prawny wchodził na zupełnie nowy grunt. Osewski, którego dziadek stracił życie w obozie pracy w Iławie, podobozie Stutthof, poczuł się urażony użytym w listopadzie 2008 r. na łamach „Die Welt” sformułowaniem: „polnische Konzentrationslager Majdanek”. – Przyznam szczerze, że mieliśmy problem z nazwaniem dóbr, które zostały naruszone. Szukaliśmy w Kodeksie cywilnym, gdzie są zapisy o różnych



Mecenas Lech Obara FOT. KANCELARIA LECHA OBARY



Maciej Świrski FOT. REDUTA DOBREGO IMIENIA



Radosław Wojtas

Przecieranie nieznanymi ścieżkami prawnymi, batalie małych kancelarii z gigantycznymi koncernami medialnymi, zmuszanie zagranicznych redakcji do prostowania fałszerstw. Tak wyglądają kulisy walki o prawdę na temat naszej historii

dobrach osobistych, ale żadnego nie mogliśmy wykorzystać w tej sprawie, więc musieliśmy je jakoś sami nazwać – wspomina mec. Obara.

Kolejnym problemem było to, że pozew wnosił nie były więzień – nazwanego polskim – obozu w Majdanku, ale wnuk więźnia z zupełnie innego obozu. Trzeci problem to nierozstrzygnięta wówczas kwestia – czy tego typu sprawy mogą toczyć się przed polskim sądem, czy raczej powinien być to sąd niemiecki.

– Zaczęliśmy rozmawiać z profesorami prawa, wszyscy nam mówili, że tego nie da się wygrać. Aż trafiliśmy na, dziś już świętej pamięci, prof. Aurelię Nowicką z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, która nas podniosła na duchu i odesłała do cyklu artykułów jej doktoranta Filipa Rakiewicza, który teoretyzował, że istnieje takie dobro, które on nazwał prawem do tożsamości

osobistych, które podlegają ochronie prawnej. I że jeśli Majdanek jest nazwany „polskim”, to wcale nie trzeba być byłym więźniem obozu w Majdanku, by został spełniony tzw. wymóg indywidualizacji, a zatem żeby można było pozywać o naruszenie dóbr osobistych.

GRA NA CZAS

W procesach wytaczanych przez byłych więźniów obozów koncentracyjnych pozwani wykorzystują często nie tylko prawne kruczki i prawnicze sztuczki, lecz także... nieubłagane prawa biologii. – Podejrzewam, że Niemcy grają na zwłokę. Pewnie liczą, że nie dożyją końca procesu i sprawa się rozwiąże – mówił w 2015 r. Karol Tendera, były więzień Auschwitz, który pozwał telewizję ZDF za to, że 1 lipca 2013 r. na jej portalu pojawiło się zdanie: „Odkrycie polskich obozów zagłady na Majdanku i w Oświę-

orzekł, że stacja nie musi się podporządkowywać wyrokowi z Polski. – Odwołaliśmy się do niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego, jednak ten z uwagi na śmierć Tendery uchylił się od rozstrzygnięcia. Przed nami droga odwołania do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, którą wykorzystujemy – mówi Lech Obara.

W sprawie Karola Tendery interpelowali polscy europarlamentarzyści, Polacy ślali listy, na niemieckojęzycznych profilach publikowali grafiki przypominające o tym, że to Niemcy odpowiadają za obozy śmierci, Polonia z Chicago zorganizowała przejazd przez Stany Zjednoczone ciężarówką z banerem: „German Death Camps”. W 2017 r. Fundacja Tradycji Miast i Wsi koordynowała akcję, w ramach której do Niemiec pojechał wielki podświetlany baner z napisem: „Death Camps Were Nazi German”. Prezentowany był między innymi pod siedzibą telewizji ZDF, a później m.in. w Brukseli i Londynie.

Karol Tendera nie doczekał wykonania wyroku, zmarł 1 października 2019 r. Wiosną ubiegłego roku warszawski sąd apelacyjny zadał Trybunałowi Sprawiedliwości Unii Europejskiej pytanie prejudycjalne o to, który sąd – czy jak dotychczas polski, czy może raczej niemiecki – ma prawo rozpatrywać sprawę tzw. polskich obozów śmierci? „Po raz pierwszy w historii udało się pełnomocnikom niemieckiego wydawcy skłonić polski sąd do podjęcia próby złamania ugruntowanej linii orzecznictwa w tej kwestii” – komentuje kancelaria Lecha Obary, która wraz z rządem broni wykładni TSUE.

Za kilka miesięcy ma zapadnąć w tej kwestii ostateczny wyrok, ale 23 lutego rzecznik generalny TSUE Michal Bobek stwierdził, że polski sąd sam powinien decydować, czy ma jurysdykcję w takich sprawach. W zdecydowanej większości przypadków wyroki TSUE pokrywają się z opiniami rzecznika generalnego.

Ostatnio w sprawie Tendera vs ZDF na forum Rady Europy interpelowała Iwona Arent, delegatka do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Pytała: „Podczas niemieckiej prezydencji w Radzie Europejskiej niemiecki sąd orzekł, że niemiecka telewizja publiczna ZDF nie musi przeproszać pana Karola Tendery – więźnia niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz – za użycie wobec niego i innych byłych więźniów

Kłamstwa na wokandzie

narodowej. To nam dodało skrzydeł i zaryzykowaliśmy, włączyliśmy się do procesu – dodaje Lech Obara.

W pierwszej instancji pozew został oddalony, ale już sąd apelacyjny uznał, że jest właściwość miejscowa i rzeczowa oraz że istnieje takie dobro, które powodowie określili jako godność narodowa i tożsamość narodowa. Zbi gniew Osewski domagał się osobistych przeprosin i zasądzenia od wydawcy na cele dobroczynne najpierw pół miliona złotych, a gdy w trakcie trwania procesu pojawiły się kolejne artykuły z użyciem zwrotu „polskie obozy koncentracyjne”, miliona złotych.

Ostatecznie nie wywalczył takiej formy przeprosin, na jakiej mu zależało, nie uderzył też wielkiego wydawcy po kieszeni, ale doprowadził do uznania przez Sąd Apelacyjny w Warszawie, że „tożsamość narodową” i „godność narodową” należy zaliczyć do kategorii dóbr

cimiu w lipcu 1944 r. i styczniu 1945 r.”. A media, obserwując działania medialnego giganta i jego prawników, pytały wprost: „Czy niemiecki sąd i ZDF czekają na śmierć polskiego więźnia Auschwitz?”.

Karol Tendera stał się symbolem walki z „polskimi obozami”. Przed polskim sądem mówił: „Byłem w trzech obozach i we wszystkich wieszali, bili, katowali i palili Niemcy, nie Polacy. Nie wolno dać się zakrzyczeć, że to była pomyłka, ja tego nie zaakceptuję i nie zgadzam się na to!”. Sąd Apelacyjny w Krakowie nakazał telewizji ZDF przeprosić byłego więźnia Auschwitz na swoich stronach internetowych, jednak stacja, nie chcąc podporządkować się temu wyrokowi, próbowała przenieść spór na niemiecki grunt. Początkowo nieskutecznie, ale ZDF zwróciło się nawet do najwyższej instytucji sądowej w niemieckim systemie prawnym, czyli Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe, który

■ kłamliwego i raniącego sformułowania. Sąd niemiecki postąpił w sposób sprzeczny z prawem europejskim. Byłście zobligowani prawem UE do uznania wyroku polskiego sądu w tej sprawie nakazującego przeprosiny. Moje pytanie brzmi: Czy zasada państwa prawa i uznawania wyroków dotyczy również Niemiec? Człowiek, który był katowany w Auschwitz przez Niemców, może być bezkarnie znieważany po wielu latach w niemieckiej telewizji publicznej. Czy to jest sprawiedliwość i praworządność?”

– Uważam, że po tylu latach, jakie upłynęły od wojny, ludzie powinni już dobrze wiedzieć, czym były niemieckie obozy koncentracyjne i zagłady. Moja metoda postępowania jest taka, że zawsze najpierw pytam, co miała na myśli osoba, która nazwała obozy „polskimi”. Trzeba rozmawiać i wyjaśniać. Najgorzej, jeśli w grę wchodzi emocje, bo wiadomo, do czego one prowadzą – mówi Stanisław Zalewski, były więzień obozu Auschwitz-Birkenau, prezes Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. – Trzeba jednak odróżnić działania komercyjne. Media czasami specjalnie wywołują skandale, żeby było o nich głośno. Prasa musi być poczytna, musi podawać sensację, żeby ludzie byli zaciekawieni i żeby ludzie tę prasę kupowali i czytali – dodaje prezes związku, który w 2018 r. złożył pozwy przeciw wydawcom gazety i rozgłośni radiowej z Bawarii. W ich internetowych publikacjach nazwano „polskimi obozami” niemieckie obozy zagłady w Sobiborze, Treblince i Bełżcu.

TYSIĄCE SPROSTOWAŃ

Walką z próbami zakłamywania historii zajmuje się Fundacja Reduta Dobrego Imienia – Polska Liga przeciw Zniesławieniom. Wśród spraw, którymi zajmowała się Reduta, za przełomową uznać można tę, którą jej założyciel i prezes Maciej Świrski wytoczył niemieckiej gazecie internetowej „Frankfurter Rundschau” za artykuł, w którym sugerowano, że Zagłada nie była czynem czysto niemieckim, ale współodpowiedzialność spoczywa także na Polakach. – Sąd Okręgowy w Warszawie przyznał mi rację. Po raz pierwszy przeproszony miał zostać Polak urodzony po drugiej wojnie światowej, którego wydarzenia z lat 1939–1945 bezpośrednio nie dotyczyły.

Sąd polski przyznał, że mam legitymację czynną i mimo że urodziłem się już po wojnie, to jako Polak mam prawo interweniować w takich sprawach. To był ten przełom w doktrynie i to jest ten nasz sukces. Reduta wspierała osiem wygranych procesów z różnymi osobami zniesławiającymi Polaków. Ostatni proces wspierany przez Redutę to głośna sprawa Filomena Leszczyńska vs Jan Grabowski i Barbara Engelking, gdy udało się udowodnić niezetelność tych historyków – mówi Maciej Świrski.

Podkreśla, że duża część aktywności Reduty to działania podejmowane bez rozgłosu, bo nie polegają na składaniu szeroko komentowanych w mediach pozwów. – Reduta powstała, zanim państwo polskie prowadziło jakąkolwiek politykę historyczną, a w zasadzie wtedy, gdy prowadziło politykę antyhistoryczną. Do 2015 r., z małym antraktem między 2007 a 2008 r., praktycznie tej polityki historycznej nie było. Polska milczała w swoich sprawach – mówi Świrski. – Pamiętam, że całymi dniami i nocami przeszukiwałem wtedy Internet i pisałem emocjonalne e-maile z żądaniem sprostowań dotyczących m.in. „polskich obozów” i wszystko to jak grochem o ścianę, nikt nawet nie odpowiadał. Aż wreszcie zrozumiałem, jaki popełniałem błąd, a jaki do dziś popełnia duża część środowiska czulego na takie wartości jak patriotyzm i dobre imię Polski. Jest nim przeświadczenie, że Polska jest centrum świata, wszyscy są nią zainteresowani i trzeba bardzo głośno i w sposób, nazwijmy to, agresywny o Polsce komunikować. Problem

polega na tym, że o Polsce myślą tylko Polacy, nikt inny – dodaje.

Jak mówi Maciej Świrski, dziś 70–80 proc. sprostowań Reduty odnosi skutek. Każde z nich opiera się na tym samym fundamencie: „Użycie sformułowania »polski obóz koncentracyjny« jest mową nienawiści w oparciu o kłamstwo oświęcimskie z wykorzystaniem uprzedzeń narodowościowych i etnicznych”. – Użycie języka politycznej poprawności powoduje zrozumienie problemu i w konsekwencji poprawę tekstów. A innego języka nie rozumie współczesny dziennikarz mediów na świecie. Emocjonalne ataki na media odbierane są jako polska megalomania, propaganda i chęć ukrycia swoich własnych win – mówi Maciej Świrski.

Warto o tym pamiętać, bo dziś w dość prosty sposób reagować może każdy. Na przykład korzystając z wykorzystywanej także przez polskie placówki dyplomatyczne, przygotowanej przez Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau oraz agencję reklamową FCB Warsaw aplikacji „Remember” (do pobrania ze strony correctmistakes.auschwitz.org). Działa ona na zasadzie korektora tekstu, który podkreśla frazy typu „polskie obozy koncentracyjne” i podpowiada właściwe określenie. Rozpoznaje 16 języków.

„OSTROŻNY OPTYZMIZM”

Polscy dyplomaci wysyłają nawet ponad setkę próśb o sprostowania rocznie. Z danych udostępnionych „Do Rzeczy” przez MSZ wynika, że w latach 2008–2020 odnotowano 1849 przypadków użycia w przestrzeni medialnej za granicą

mz.de/nachrichten/wiesloch_artikel.-80-jahre-gurs-das-darf-niemals-in-vergessenheit-geraten-_arid,567930.html

80 Jahre Deportation der Juden: Ein schweres Erbe

80 Jahre Gurs: Vom Weinheimer Schlosshof in die Hölle auf Erden

Leopold Oppenheimer wurde 1943 im polnischen Lager Majdanek ermordet, Ehefrau Rositta überlebte jene furchtbare Zeit und machte sich nach dem Ende des Zweiten Weltkrieges auf Spurensuche. Sie fand bei einer französischen Familie viele Briefe von Sohn Hans, die sie aufbewahrte und später weitergab. 1946 kehrte sie nach Wiesloch zurück. So auch Max, der ein Jahr später aus England wieder in die Heimat kam und dort 1952 seine Frau Gertrud heiratete.

HINTERGRUND

Weitere Artikel zum Thema:

Fragment tekstu z „Rhein-Neckar-Zeitung”, w którym użyte zostało skandaliczne sformułowanie

Ein Jahr später kam Tochter Gaby zur Welt. Max Oppenheimer, der als Journalist und Historiker arbeitete und sich intensiv in Büchern und Publikationen mit dem Thema Antifaschismus beschäftigte, promovierte mit 65 Jahren an der Universität in Bremen, 1994 verstarb er.

zwrotów „polskie obozy zagłady”, „polskie obozy śmierci”, w zakresie których placówki dyplomatyczne podjęły interwencje prasowe. Najwięcej w Wielkiej Brytanii (ok. 350 interwencji) i USA (blisko 300).

MSZ zaznacza, że trudno mówić o trwałych trendach, ale zauważa, że w ostatnich kilku latach nastąpił spadek liczby interwencji. W 2020 r. polskie placówki zagraniczne interweniowały w 99 przypadkach w 29 państwach, podczas gdy w 2019 r. odnotowano 136 interwencji w 27 państwach, a w roku 2018 – 217 interwencji w 35 państwach. „Z analizy mediów wynika, że główne wydania wielu poczytnych tygodników i dzienników, dzięki interwencjom z poprzednich lat, starają się w dużej mierze unikać niepoprawnych sformułowań »skrótów myślowych«, »nazwy geograficznej«, na które to powołują się autorzy krzywdzących i nieuprawnionych wobec polskiego społeczeństwa sformułowań. W naszej opinii na korektę narracji medialnej wpłynęły także obchody

80. rocznicy drugiej wojny światowej zorganizowane przez Rząd RP w Warszawie, szeroko, na dotychczas niespotykaną skalę, relacjonowane w roku 2019 w mediach za granicą” – podkreśla Biuro Rzecznika Prasowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Maciej Świrski z Reduty Dobrego Imienia zauważa, że kontrowersje, jakie wywołała nowelizacja ustawy o IPN, przyniosły jeden pozytywny skutek – skupiły uwagę światowych mediów na polskiej wrażliwości w sprawie przypisywania Polakom współodpowiedzialności za niemieckie zbrodnie. – W konsekwencji po tak dużym nagłośnieniu sprawy, jeśli teraz w poważnych mediach pojawiają się „polskie obozy koncentracyjne”, to tylko dlatego, że ktoś to robi celowo, ze złą wolą. Wykładnia, która się pojawiła we wspólnym oświadczeniu premierów Polski i Izraela, nie pozostawia żadnych wątpliwości. W konsekwencji mamy wprowadzony pewien porządek. Wiadomo, kto jest kim – mówi Maciej Świrski.

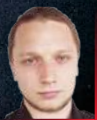
A dlaczego było i jest to tak ważne? – Obrona dobrego imienia Polski to nie jest tylko kwestia honoru, prawdy albo dobrego samopoczucia Polaków. Jest to kwestia bezpieczeństwa państwa. Który polityk NATO wystąpi w obronie „narodu morderców z Auschwitz”, „sprawców polskich obozów koncentracyjnych”, „antysemitów genetycznych”? Teraz o Polakach już się mówi jako o „homofobach” i „prześladowcach LGBT”. Który z polityków NATO zaryzykuje swoją karierę i najbliższe wybory, jeśli wystąpi w obronie takiego narodu? Obrona wizerunku Polski jest więc działaniem w kierunku utrzymania bezpieczeństwa narodowego, ponieważ art. 5 traktatu waszyngtońskiego (NATO) jest ściśle polityczny i to politycy będą podejmować decyzje w przypadku napaści na Polskę. Żaden z nich nie wystąpi wbrew woli swoich wyborców, jeśli ci wyborcy nie będą Polski pozytywnie kojarzyć – mówi prezes Reduty Dobrego Imienia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Auschwitz II-Birkenau FOT. ADOBE STOCK

Wychowanek salonu



Jan Fiedorczuk

Pod rządami Kosiniaka-Kamysza PSL stało się całkowicie zależne od salonu III RP. Liderowi ludowców bardziej zależy na tym, co powiedzą autorytety TVN24, niż co o nim myśli jego własny elektorat

Czy PSL dzisiaj różni się w jakiegokolwiek istotnej kwestii od PO, Hołowni czy Lewicy? Stosunek do Brukseli, kwestia praworządności, poparcie dla Strajku Kobiet, protest mediów – wbrew zapewnieniom o budowie „racjonalnego centrum” we wszystkich sporach polaryzujących scenę polityczną ludowcy idą ścieżką opozycji totalnej. Efektem tej bezrefleksyjnej strategii jest widmo nieprzekroczenia progu wyborczego w 2023 r. Taki scenariusz jest wielce prawdopodobny, co potwierdzają kolejne sondaże. Wystarczy zrobić nawet ich krótki przegląd, by stało się jasne, jak trudna jest sytuacja – w niedawnych badaniach zarówno Kantar, jak i Ipsos (dla OKO.press) oraz Social Changes (dla wPolityce.pl) ludowcy uzyskali po 4 proc. poparcia. Jeszcze gorzej wypadli w sondażach United Surveys (dla „Dziennika Gazety Prawnej” i RMF FM) oraz Instytutu Pollster (dla „Super Expressu”), w których poparło ich ok. 3,6 proc. respondentów. Naprawdę katastroficznie wyglądają jednak niedawne wyniki CBOS, gdzie chęć oddania głosu na PSL zadeklarowało jedynie 2 proc. ankietowanych. Nawet w tych bardziej przychylnych sondażach, gdzie udaje im się wejść do Sejmu, ludowcy dosłownie balansują na samym progu. Tendencja jest jednoznaczna – PSL znajduje się na równi pochyłej.

PRZEOBRĄŻENIE LUDOWCÓW

A jeszcze nie tak dawno, gdy w wyborach parlamentarnych Koalicja Polska zdobyła ponad 8,5 proc. głosów, liderem ludowców zachwycali się zarówno „Rzeczpospolita” i Klub Jagielloński, jak i „Newsweek” czy Gazeta.pl. Cena za ten rzekomy sukces była jednak wysoka. PSL co prawda weszło do Sejmu na plecach Kukiza, ale jednocześnie oddaliło się od swojego tradycyjnego elektoratu. Pod wodzą Kosiniaka-Kamysza ludowcy mieli przestać kojarzyć się z pokoleniem ZSL i przemienić się w nowoczesną partię centrum osadzoną w małych miastach. Lider PSL nie poprzestał jedynie na wizerunkowej wolcie, ale dokonał też poważnych zmian w strukturze samej partii. Na 19 posłów aż ośmiu po raz pierwszy zasiada w sejmowych ławach. PSL zaczęło tracić wizerunek chłopa z widłami, co mogło się podobać widzom TVN24, ale niekoniecznie znalazło uznanie w dołach partyjnych. Najgłośniejszym tego przejawem była decyzja Eugeniusza Kłopotka o rezygnacji z polity-

FOT. KRISTIAN WAJ/REPORTER

ki. Słynny działacz przyznał, że to oznaka solidarności ze Zbigniewem Sosnowskim, któremu Kosiniak-Kamysz odebrał „biórące” pierwsze miejsce na liście. Nie jest tajemnicą, że kolejne oryginalne pomysły kierownictwa nie znajdują poklasku wśród szeregowych działaczy partii. Nie chodzi jedynie o wycinanie wieloletnich towarzyszy broni, udział w „tęczowej” Koalicji Europejskiej czy niedawne proaborcyjne akcenty, lecz także o to, że wielu z nich po prostu wdycha za fruktami. Mija właśnie szósty rok, od kiedy ludowcy są w opozycji, co w historii III RP jest swoistym ewenementem. Co więcej, ten stan nie musi trwać, gdyż zarówno ze strony PiS padały mniej lub bardziej otwarte propozycje sojuszu (swego czasu „Koalicję Polskich Spraw” proponował sam prezydent), jak i po stronie ludowców pojawiały się głosy o możliwej współpracy (kilka tygodni temu mówił o tym Marek Sawicki). Pod obecnym kierownictwem PSL jest jednak jasne, że do żadnego zbliżenia dojść nie może. Koalicja z PiS to ostateczne wystąpienie z obozu postępu i skazanie się na pogardę salonu.

Zmieniając profil PSL, Kosiniak-Kamysz chciał stworzyć partię „trzeciej drogi”, która dystansowałaby się od wojny PO z PiS. Problem w tym, że uśmiechnięty lekarz z Krakowa nie jest liderem z prawdziwego zdarzenia, lecz jedynie politycznym wychowankiem salonu III RP. Bardziej mu zależy na akceptacji ze strony elit niż opinii własnego elektoratu.

ZMARNOWANA OKAZJA

Dowiódł tego na przełomie kwietnia i maja, gdy kampania Kidawy-Błońskiej po prostu się załamała, a przed nim stanęła szansa na awans do politycznej pierwszej ligi. Kandydatka KO mogła liczyć na poparcie sięgające raptem kilku procent, a sondaże jasno wskazywały, że to Kosiniak-Kamysz jest naturalnym beneficjentem kollapsu PO i to on (a nie Hołownia) wchodzi do drugiej tury wyborów. Na stole leżała wtedy cały czas możliwość przeprowadzenia wyborów w pierwotnym terminie, przeciwko czemu protestowali Jarosław Gowin oraz cała opozycja. Dogadując się z PiS w sprawie przeprowadzenia głosowania, prezes PSL nie tylko dobił Platformę Obywatelską, lecz także – wchodząc do drugiej tury – stałby się naturalnym liderem opozycji. Kosiniak-Kamysz dał się jednak zakrzyczyć opozycji totalnej, pozwolił „upuścić” się autorytetom z TVN i „Wyborczej” i tym samym umożliwił PO

wymianę skompromitowanej kandydatki. Skutki tego były dla ludowców katastrofalne – Kosiniak-Kamysz uzyskał nędzne 2,36 proc. poparcia w pierwszej turze, a z wielkiego sukcesu z 2019 r. nic nie zostało. Poparcie dla Władysława Kosiniaka-Kamysza na wsi nie przekroczyło 3 proc. Co gorsza, podobnie sytuacja wyglądała w małych i średnich miastach, na które miało się ponoć otworzyć „nowe” PSL. W ostatnich latach ludowcy zrezygnowali z niewielkiego, ale stabilnego elektoratu, niemal bez walki oddając wieś PiS i decydując się wejść do miast. Problem w tym, że elektorat miejski wygląda kusząco, ale jest labilny – nie sposób przewidzieć, jak następnym razem zachowa się nad urną.

W OKOWACH TOTALNOŚCI

Po klęsce w wyborach prezydenckich stało się jasne, że Kosiniakowi-Kamyszowi nie uda się stworzyć żadnej „trzeciej drogi”. Lider PSL przespał swoją okazję, a na jego miejsce wskoczył Hołownia. Obecnie niemal cała narracja ludowców pokrywa się z linią liberałów i lewicy. Patrząc na aktywność lidera PSL, nietrudno dostrzec, że Koalicja Polska i proobywatelskie hasła były jedynie maską, jaką przybrał na czas kampanii parlamentarnej. W rzeczywistości salony III RP całkowicie narzuciły Kosiniakowi-Kamyszowi swoją agendę, robiąc z jego partii Platformę Obywatelską w wersji mini.

Spójrzmy na problemy, w jakie PSL angażowało się w ostatnim półroczu. Pierwszy był spór rządu z Brukselą, podczas którego ludowcy stanęli po stronie opozycji totalnej (przy okazji pozbywając się Kukiza z Koalicji Polskiej). Drugim tematem stał się Strajk Kobiet, podczas którego Kosiniak-Kamysz nie ukrywał, że popiera protestujących. Trzecią kwestią był natomiast niedawny protest mediów w sprawie wprowadzenia nowego podatku od reklam. Sam projekt rzeczywiście kontrowersyjny, jednak nakręcona wokół niego akcja przeistoczyła się niemal od razu w kolejny kodziarski happening. Kosiniak-Kamysz wręcz ścigał się z innymi gwiazdami salonu o to, kto pierwszy wyrazi oburzenie „autorytarnymi” zapędami władzy, kto mocniej wyrazi obawę o stan demokracji, kto bardziej oburzy się wyrokiem w sprawie aborcji eugenicznej. We wszystkich sporach, które dzielą polską scenę polityczną, PSL pod wodzą Kosiniaka-Kamysza zdecydowanie staje po tej stronie, którą mu wskażą

salony. Jest niezdolny do autonomicznego działania, nawet gdy w grę wchodzi żywotny interes jego własnej partii.

Podążając za pochwałami autorytetów salonu, lider ludowców porzucił naturalną bazę społeczną swojego ugrupowania. To, że PiS nie skonsumował tego elektoratu w całości, wynika jedynie z błędów obozu rządzącego, a nie atutów opozycji. Sukces PSL w 2019 r. był zatem jedynie pozorny. W rzeczywistości były to pierwsze wybory parlamentarne w historii III RP, w których ludowcy przynajmniej otwarcie, że są za słabi, by samodzielnie przekroczyć próg. Wystarczy przejrzeć wyniki wyborów z ostatnich 30 lat – opierając się na swoim tradycyjnym elektoracie, ludowcy zawsze zdobywali te 8–9 proc. Nawet w 2015 r., po kompromitującej końcówce swoich rządów i pod wodzą Janusza Piechocińskiego, partia dała radę samodzielnie wejść do Sejmu. Wbrew temu, co nie tak dawno pisali zachwyceni publicyści, Kosiniak-Kamysz nie dał PSL żadnych nowych sił, tylko wprost przeciwnie – to on jest odpowiedzialny za kryzys partii. Dowodzi tego m.in. niedawny sondaż pracowni Estymator dla portalu DoRzeczy.pl, w którym ludowcy, aby w ogóle przekroczyć próg, są zmuszeni doszłusować do osobliwej formacji tworzonej przez Porozumienie Jarosława Gowina, pravicowe skrzydło PO oraz posłów Kukiz'15. Sam PSL już jednak nic nie znaczy.

W obecnej chwili ludowcom pozostaje modlić się o kolejne potknięcia PiS, które wytworzą przestrzeń dla partii prowij-skiej (vide „piątka dla zwierząt”), albo liczyć na to, że pojawi się jakiś większy partner, który łaskawie pomoże im przekroczyć próg wyborczy (tak jak w 2018 r. umożliwił to Schetyna, a w 2019 r. – Kukiz).

Tomasz Rzymkowski określił niedawno PSL jako „polityczną hubę” i jest to chyba najlepszy opis tej partii. Jak huba do przetwarzania wymaga drzewa, tak PSL potrzebuje starszego brata, by dostać się do Sejmu i dalej egzystować. Kosiniak-Kamysz, podążając za reflektorami TVN24, zapomniał, że jest szefem ludowców, a nie Platformy Obywatelskiej i że jego elektorat nie jest elektoratem Borysa Budki i Rafała Trzaskowskiego. Czasy, gdy Waldemar Pawlak z uśmiechem odpowiadał dziennikarzom, że najbliższe wybory „wygra nasz koalicjant”, bezpowrotnie minęły. Dzisiaj ludowcy nie wybierają już koalicjanta, tylko modlą się, aby ktokolwiek przyczepił ich pod swoje skrzydła. Tak się kończy bezmyślne podążanie za salonem.

Oceniając poziom polsko-amerykańskich relacji tylko na podstawie gestów i symboli, które obserwowaliśmy w czasie kadencji Donalda Trumpa, można było odnieść wrażenie, że stosunki między Warszawą a Waszyngtonem osiągnęły wysoki status. Co ważne, za gestami szły konkretne działania realnie zwiększające poziom polskiego bezpieczeństwa militarnego i energetycznego, m.in. wspierające ważny dla nas projekt Trójmorza. Prezydent Andrzej Duda odbył rekordową liczbę spotkań z Donaldem Trumpem.

BIDEN NIE ZADZWONIŁ

Donald Trump przegrał wybory prezydenckie, co stworzyło nową sytuację w relacjach polsko-amerykańskich. Czy oznacza to obniżenie naszej pozycji w rankingu sojuszników Ameryki?

Jarosław Guzy, komentator polityczny, były prezes Polskiego Klubu Atlantyckiego, ocenia, że to obawy na wyrost. – Takie wrażenie mogło stworzyć podjęcie przez administrację Joe Bidena działań obliczonych na poprawę relacji z naszymi partnerami w Unii Europejskiej, zwłaszcza Niemcami. Realizację tego planu było widać w trakcie niedawnej Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium – mówi Guzy. Jego zdaniem jakość polsko-amerykańskich relacji pozostaje wysoka. – One nie zajmują obecnie miejsca w centrum amerykańskiej agendy, bo były po prostu dobre. Dlatego nie ma bieżącej potrzeby, żeby coś w nich korygować – dodaje Guzy.

Polska opozycja, krytyczna wobec poprzedniego prezydenta USA, zarzucała rządowi Zjednoczonej Prawicy, że „postawienie wszystkich kart na Trumpa” może odbić się czkawką w relacjach z nową administracją. Dowodem na „chłód z Waszyngtonu” ma być m.in. brak telefonu od Joe Bidena do prezydenta Dudy, choć od inauguracji nowego amerykańskiego przywódcy upłynęło już prawie 50 dni. Trump skontaktował się prezydentem RP już osiem dni po zaprzysiężeniu.

– To jest bardziej złożona sprawa. Nie przywiązywałbym nadmiernej wagi do tego, kto i kiedy zadzwonił bądź nie. W polityce międzynarodowej liczą się twarde interesy – komentuje Jacek Bartosiak, szef think tanku Strategy & Future. – W naszych relacjach z USA są dwie płaszczyzny. Pierwsza jest taka, że Polska



FOT. WIN MCNAMEE/GETTY IMAGES

Sztuka balansu



Ryszard Gromadzki

Polska nie musi być dla administracji prezydenta Joe Bidena „ulubionym” sojusznikiem Stanów Zjednoczonych w Europie. Nadal pozostaje jednak dla Waszyngtonu istotnym graczem regionalnym

jest ważna dla obecności USA w Europie. Nikt tu nikomu łaski nie robi. Amerykanie chcą być w Europie. A jeśli chcą być potęgą w Eurazji, to potrzebują być w Polsce i potrzebują mieć wpływy w Polsce. To pierwsza płaszczyzna, w której chodzi o obecność sił wojskowych, balansowanie Niemiec, balansowanie Rosji. To obiektywne interesy USA. Druga płaszczyzna dotyczy pytania: Jakim kosztem Amerykanie to uzyskują? Moim zdaniem ten koszt jest zbyt niski – przekonuje. Zdaniem Bartosiaka Amerykanie zyskali nad Wisłą duże wpływy za zbyt niską cenę. Dlatego nie muszą o nic zabiegać. Szef Strategy & Future uważa, że stawialiśmy USA zbyt niskie wymagania, a sojusz to układ, w którym także z interesami mniejszego gracza trzeba się liczyć.

KIERUNEK PEKIN?

Prezydent Andrzej Duda nie rozmawiał jeszcze bezpośrednio z Joe Bidem, ale za to przeprowadził rozmowę z prezydentem Chin Xi Jinpingem. W jej trakcie chiński przywódca potwierdził gotowość do sprzedaży Polsce szczepionki przeciw COVID-19 wyprodukowanej przez Chiny. Zadeklarował też otwarcie na większy import towarów z Polski. Wcześniej polski prezydent wziął udział w wideoszczyście Chin i krajów Europy Środkowo-Wschodniej.

Czy te działania można traktować jako próbę zagrania „kartą chińską” w relacjach Polski z USA? Według Jarosława Guzgo to zbyt daleko idący wniosek – Polska oczekuje od Chin bardzo konkretnego kroku, zapewnienia równowagi w relacjach handlowych, ponieważ obecnie na tych relacjach po prostu tracimy – ocenia. Jego zdaniem Polska będzie brać pod uwagę politykę nowej amerykańskiej administracji wobec Chin. – Kwestia bezpieczeństwa jest dla naszego kraju podstawowa. Polska z całą pewnością nie będzie korzystać z technologii chińskich, jeśli chodzi o infrastrukturę krytyczną, czyli np. 5G. Mamy jasno określone priorytety. Rozwijanie wzajemnie korzystnych stosunków gospodarczych – tak, ale nie kosztem bezpieczeństwa, w tym naszych relacji sojuszniczych – konkluduje.

Analitycy wskazują, że polska polityka zagraniczna obciążona jest istotnymi deficytami. – Powinniśmy prowadzić politykę wielowektorową – wskazuje Jacek Bartosiak. – Poszerzać sobie pole manewru. Z Izraelem rozmawiać o współpracy zbrojeniowej i w dziedzi-

nie nowych technologii. Z Niemcami o łańcuchach dostaw, z Rosją o małym ruchu granicznym w obwodzie kaliningradzkim, z Ukrainą o współpracy zbrojeniowej i infrastrukturze, z Turcją o projektach zbrojeniowych i przepływach strategicznych. Tymczasem nasza polityka jest skoncentrowana na transferach z Unii Europejskiej, a w dziedzinie bezpieczeństwa na Stanach Zjednoczonych. Nie rozmawiamy o bezpieczeństwie regionalnym ani o współpracy gospodarczej naszego regionu.

WSPÓLNOTA WARTOŚCI

Czy ewentualne wzmocnienie polityki wektorowej ze strony Polski w przyszłości wytyczy drogę do korekty relacji z USA? Zdaniem Jarosława Guzgo to USA są realnym gwarantem naszego bezpieczeństwa.

– W tym kontekście trudno mówić o nadmiernych kosztach z polskiej strony. Inwestujemy politycznie i ekonomicznie w nasze relacje ze Stanami Zjednoczonymi, budując jednocześnie własny potencjał obronny czy dywersyfikując dostawy surowców, aby uniknąć rosyjskiego szantażu – mówi Guzy. – A w ramach tej polityki nie tylko NATO – gdzie USA są liderem i dysponują prawie dwiema trzecimi potencjału militarnego – dba o nasze bezpieczeństwo. Mamy też stosunki bilateralne. W Polsce są obecne jednostki amerykańskie, które przebywają tu na podstawie wyłącznej decyzji Stanów Zjednoczonych, wykraczającej poza uzgodnienia w ramach sojuszu północnoatlantyckiego. Trudno to przeliczać na pieniądze, kiedy nie tylko Polska, lecz także większe i bogatsze kraje europejskie nie są w stanie zapewnić sobie bezpieczeństwa. Możemy więc mówić o pewnej symetrii w ramach tego, z natury asymetrycznego, układu. A wykraczając poza sferę klasycznego bezpieczeństwa, Stany Zjednoczone są dla nas jeszcze przeciwwagą dla również asymetrycznych relacji wewnątrz Unii Europejskiej.

Guzy wskazuje na poparcie polityczne Waszyngtonu, podtrzymane przez nową administrację i Kongres dla projektów takich jak Trójmorze, na których Polsce bardzo zależy. – To inicjatywa regionalna, która znacząco podnosi poziom podmiotowości naszej i w ogóle Europy Środkowo-Wschodniej w Unii Europejskiej. Ten efekt jest dostrzegany przez naszych partnerów w Unii Europejskiej i nie są

z tego powodu do końca zadowolony. Woleliby utrzymać status peryferii dla Polski i pozostałych krajów zza żelaznej kurtyny. Ale z przychylnością USA dla tych uzasadnionych aspiracji naszego regionu będą musieli się liczyć również za prezydentury Joe Bidena – mówi Guzy. Jego zdaniem ta wspólnota interesów geostrategicznych nie powinna zostać zakłócona przez radykalną agendę postępowo-obyczajową forsowaną na początku kadencji przez prezydenta Bidena w USA.

– Myślę, że taka ewentualna ideologiczna presja, z którą należy się oczywiście liczyć i której trzeba przeciwdziałać, będzie hamowana przez zwykły rachunek strat i zysków – uważa Jarosław Guzy. – Tracenie wypróbowanych przyjaciół, o których Amerykanom coraz trudniej w dzisiejszym rozchwanianym świecie, także wśród sojuszników, w zamian za iluzoryczne korzyści na rynku wewnętrznej polityki... To nie ma sensu. Joe Biden jest politykiem w starym stylu i jeśli oczekiwać po nim misyjnej agendy w polityce zagranicznej, to raczej nawiązującej do fundamentalnych amerykańskich wartości. Tutaj widzę pewną szansę na kontynuację dobrych relacji polsko-amerykańskich, wykraczającą poza pragmatyczne kalkulacje. Mamy wspólny katalog wartości w ramach cywilizacji Zachodu, ale ich hierarchia i powiązania potrafią być w poszczególnych krajach różne. Znaczenie wolności i demokracji w kulturze oraz tradycji politycznej polskiej i amerykańskiej, przy całym szacunku dla rządów prawa, jest wyjątkowe. W obu krajach demokracja jest wciąż żywa, o jej deficycie mówi się w zachodniej Europie, a w samej Unii Europejskiej o demokracji się wręcz zapomina. Aktualne ideologiczne trendy na Zachodzie, w tym w USA, nie są korzystne, ale fundamenty relacji polsko-amerykańskich są zbyt silne, żeby ideologia miała je podważyć.

Tę diagnozę wydają się potwierdzać rozmowy wysokich przedstawicieli administracji prezydenta Bidena z polskimi politykami w ostatnich tygodniach. Zarówno sekretarz stanu Antony Blinken, jak i szef departamentu obrony Lloyd Austin czy doradca ds. bezpieczeństwa narodowego USA Jake Sullivan podkreślali niezmienną priorytetowość amerykańskiej polityki wobec Polski.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**CZYTAJ TAKŻE „POWRÓT TRUMPA”
NA STR. 72**

Już pod koniec 1940 r., w celu zmniejszenia strat, dowództwo Luftwaffe przyjęło taktykę nocnych nalotów. Pierwszy z tragicznych nalotów miał miejsce 13 marca 1941 r. 260 bombowców niemieckich zaatakowało stocznie i fabryki amunicji na przedmieściach Glasgow, w rejonie miasteczka Clydebank. Samoloty nadlatywały falami przez dziewięć godzin, tysiące bomb zapalających, burzących oraz specjalnych min na spadochronach (aby rozproszyć siłę wybuchu na boki, a nie w dół) zostało zrzuconych na śpiące przedmieście.

Jednak miasto nie było całkiem bezbronne – w dokach remontowych stoczni John Brown stał zakotwiczony polski niszczyciel ORP „Piorun”, dowodzony przez kpt. Eugeniusza Pławskiego. „Piorun” jako jedyny stawiał zorganizowany opór w Clydebank. Polscy artylerzyści otworzyli ogień z niezdemontowanych na czas remontu dział przeciwlotniczych kalibru 40 mm oraz karabinów maszynowych kalibru 12,7 mm. Stojące w doku blisko siebie trzy okręty: ORP „Piorun” oraz nieuzbrojone HMS „Duke of York” i HMS „Blankley”, jak również sama stocznia, mogły stać się łatwym celem dla niemieckich samolotów. Polscy artylerzyści postawili ścianę ognia, która skutecznie zniechęciła Niemców do choćby próby bombardowania, w rezultacie stocznia nie doznała większych zniszczeń, a okręty pozostały nietknięte.

BEZBRONNI

O tym, jak zażarty był to bój, niech świadczy choćby anegdota, którą w 1974 r. spisał Iain MacPhail. Otóż stugębna plotka głosi, że Polacy zestrzelili nad stocznia samolot, lotnik wyskoczył ze spadochronem i niefortunnie wylądował na pokładzie „Pioruna”. A tam już nie było przebaczenia... Nieszczęsnego lotnika polscy marynarze żywcem wrzucili do pieca. W rzeczywistości artylerzyści „Pioruna” nie zestrzelili tej ani następnej nocy żadnego bombowca niemieckiego. W czasie blitzu brytyjscy piloci zestrzelili dwa niemieckie bombowce: podporucznik Denbigh z dywizjonu 600 zestrzelił heinkla 111 nad południowym Glasgow, zaś podporucznik Sheen z dywizjonu 72 zestrzelił ju 88 nad morzem, niedaleko Amble (Northumberland). Na konto obrony przeciwlotniczej należy zaliczyć uszkodzonego heinkla 111, który rozbił się koło Campsie.



Tajemnica Clydebank Blitz



Paweł Porański

Mija 80 lat od wyroku śmierci, który Luftwaffe wykonało na mieście Clydebank w Szkocji. 13 i 14 marca 1941 r. w dwóch kolejnych rajdach niemieckie floty powietrzne, złożone z bombowców Heinkel i Ju 88, dosłownie starły to portowe miasto z ziemi. Dwie tragiczne noce poprzedzone były wieloma niepokojącymi zbiegami okoliczności

Efekt dwóch nocnych nalotów na Clydebank był porażający! W ciągu dwóch nocy 528 osób zginęło w płomieniach lub pod ruinami, 617 było poważnie

rannych. Setki ofiar zmarło w kolejnych dniach od odniesionych ran. Z 12 tys. domów, które istniały wówczas w Clydebank, tylko siedem nie zostało uszkodzo-



Z 12 tys. domów, które istniały w Clydebanks, tylko siedem nie zostało uszkodzonych FOT. KEYSTONE/GETTY IMAGES

naprowadzał je jak po sznurku. Zrzucali one bomby zapalające, aby rozświetlić cel dla kolejnych fal uderzeniowych. Naukowcy brytyjscy opracowali system zakłócania owych nadajników i kilkakrotnie wyprowadzili niemieckie naloty na mało zaludnione tereny wiejskie. Jednak w marcu 1941 r. Niemcy unowocześnili swoje nadajniki, zmieniając częstotliwość sygnału. W rezultacie dowództwo obrony przeciwlotniczej postanowiło wypróbować nową taktykę walki nocnej. Aby nie razić ogniem obrony przeciwlotniczej swoich własnych myśliwców, nakazano lotnikom operowanie na pułapie 14 tys. stóp i wyżej, zaś wszystko do wysokości 12 tys. stóp miało być przestrzenią dla dział przeciwlotniczych; strefa 12–14 tys. stóp miała zaś być buforem. W rezultacie feralnej nocy 13 marca poderwane już z lotnisk myśliwce zwyczajnie rozminęły się z nadlatującymi bombowcami, które jakimś „cudownym zbiegiem okoliczności” nadlatywały na wysokości 13 tys. stóp. Znane są relacje lotników, w tym z dywizjonu 602 bazującego w Prestwick, którzy obserwowali bombowce kilka mil poniżej własnego pułapu, oraz relacja Pedra Hanbury’ego, który rozmyślnie zszedł niżej, aby nawiązać walkę z Niemcami, niestety nie zaliczył zestrzelenia.

Nie był to pierwszy „zbieg okoliczności” w okolicy Glasgow i nie po raz pierwszy pomyślano o „piątej kolumnie”. 3 marca spłonął doszczętnie budynek administracyjny na lotnisku w Prestwick; o tym, jakie ważne dokumenty zostały zniszczone w tym pożarze, nigdy się nie dowiemy. Dokładnie tydzień później zapłonęła messa oficerska, nic więc dziwnego, że na lotnisku zamiast detektywów z lokalnej policji i strażaków pojawił się Donald Fish ze Scotland Yardu z jednostki współpracującej z MI5. Co ustalił ten specjalizujący się w sprawach lotniczych detektyw, tego nie wiemy, ale nie była to jego pierwsza wizyta i sprawa dotycząca dywizjonu 602 stacjonującego wówczas w Prestwick...

Wszystko zaczęło się od przymusowego wodowania Gingera Whalla, któremu niedaleko Bognor posłuszeństwa odmówił spitfire. Kiedy 18 sierpnia wyciągnięto z wody maszynę, było jasne, że nadaje się tylko na złom, ale wiele cennych części i surowców można będzie odzyskać. Ramę samolotu i wiele części rozebrano na miejscu, zespół napędowy,

w tym silnik, wysłano do małej firmy w Belper (w Derbyshire). Szczęśliwym zbiegiem okoliczności firmę prowadził kilku byłych górników, w czasie rozbiórki zbiornika paliwa zauważyli na nim ślady galaretowatej substancji, którą rozpoznali od razu – był to gelignite, środek wybuchowy bazujący na nitroglicerynie. Całość wkrótce trafiła do laboratorium Rolls-Royce’a, gdzie inżynierowie firmy rozebrali silnik na czynniki pierwsze. Diagnoza była porażająca: ktoś wrzucił kilkanaście lasek dynamitu (łącznie 3,5 kg) do baku spitfire’a. Szczęśliwie dla pilota substancja osiadła na ścianach zbiornika i nigdy nie dotarła do komory spalania.

PRAWDA W UTAJNIONYCH ARCHIWACH

Donald Fish chciał oczywiście przesłuchać Gingera Whalla, niestety zginął on kilka tygodni po przymusowym wodowaniu. Detektyw nie ustalił też za wiele w Sussex, postanowił zatem odwiedzić Drem (na wschód od Edynburga), gdzie rozpoczął swoją służbę feralny spitfire. W okolicach Drem znajdowało się wówczas wiele czynnych kopalni i kamieniołomów – potencjalnego źródła gelignite. Analiza składu chemicznego substancji wskazała jednoznacznie producenta materiału wybuchowego – Nobel Company (które było wówczas częścią koncernu chemicznego ICI). Co więcej, detektyw Fish ustalił, że dokładnie ten typ środka wyprodukowano w oddziale firmy w Ayrshire z przeznaczeniem dla specjalnej jednostki operującej w Norwegii. Innym odbiorcą tej partii była jednostka Home Guard w Kornwalii, wciąż posiadająca na stanie 7 kg materiału. Ponieważ pechowy spitfire nigdy nie był w Norwegii ani w Kornwalii, sabotażysta musiał operować w Szkocji, najpewniej na wschodnim wybrzeżu. Historia prawdziwego niemieckiego szpiega jest o wiele bardziej pasjonująca niż ta opisana na stronach powieści „Igl’a” Kena Folletta. Czy jednak kiedykolwiek dowiemy się, jak było naprawdę? Archiwa brytyjskie zostały utajnione najpierw na 50 lat, a następnie klauzula jest regularnie przedłużana, tak jak w sprawie katastrofy na Gibraltarze, w której zginął gen. Sikorski.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DZIWNE ZBIEGI OKOLICZNOŚCI

Gdzie podziały się samoloty stacjonujące na lotniskach w Renfrew i Prestwick? Tutaj zaczyna się zbieg dziwnych wypadków. Aby zrozumieć, co stało się 13 marca, trzeba poznać niemiecką taktykę nocnych nalotów. Do naprowadzania bombowców w nocy Niemcy używali specjalnych emiterów fal radiowych, które zrzucali nad celem w dniu poprzedzającym atak. W nocy w pierwszej fali leciały bombowce wyposażone w odbiornik sygnału, który

Artykuł oparty jest na książce Douglasa McRobertsona, *Lions Rampant*, „The story of 602 Spitfire Squadron”



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Ziemiańska tradycja

Historia, a raczej historiografia, zatoczyła koło. Na półkach księgarń znowu królują książki pisane z perspektywy „ludowej”. Przedstawiają one dzieje Rzeczypospolitej przez pryzmat okropności pańszczyzny, wyzysku chłopstwa przez okrutnych ziemian.

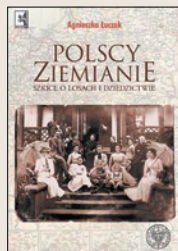
Moda ta – delikatnie pisząc – nie wywołuje mojego entuzjazmu. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że relacje na linii dwór-wieś nie zawsze wyglądały jak w sentymentalnych, „kresowych” powieściach z XIX w. Nie zmienia to jednak faktu, że historia i kultura Rzeczypospolitej to historia i kultura szlachty. Ziemiaństwo Korony, Litwy i Rusi. To ta grupa społeczna nadawała ton dziejom Rzeczypospolitej aż do katastrofy, jaką była rewolucja. Katastrofa ta przyszła do nas na raty. W latach 1917–1921 (ziemie za kordonem ryskim) i w latach 1944–1945.

O tragicznych losach naszej szlachty ciekawie pisze pani Agnieszka Łuczak w książce „Polscy ziemianie. Szkice o losach i dziedzictwie”. To zbiór opowieści o wybitnych familiach i ich przedstawicielach. O świecie dworów, herbów i pałaców, który został zgładzony przez komunizm.

„Po II wojnie – pisze autorka – niemal wszyscy ziemianie zostali wyrzuceni z majątków, które przejęła Polska pojałtańska. Ówczesni propagandyści pracowali nad opatrzeniem ich etykietą »krwiopijców« i »obszarników« wyzyskujących ludność wiejską.

Sami zaś byli ziemianie, nazywani w dokumentach bezpieki »bezetami« (skrót »bz« od »były ziemianin«), musieli się nauczyć żyć w PRL bez majątków, które od wieków stanowiły ich źródło utrzymania i zaplecze uświęconego wieloletnią tradycją stylu życia. Byli represjonowani, szczególnie w okresie stalinowskim, kiedy nie mogli przebywać w powiecie, w którym znajdowały się ich dobra”.

W książce padają gorzkie pytania: Jak to możliwe, że od obalenia komunizmu minęło 30 lat, a w Polsce nadal nie wprowadzono ustawy reparywacyjnej? Jak to możliwe, że wiele dworów – bezcennych zabytków polskiej kultury – niszczone i powoli obraca się w ruinę? Hadko czytać, hadko pisać. ©



★★★★★

AGNIESZKA ŁUCZAK
„POLSCY ZIEMIANYE. SZKICE O LOSACH I DZIEDZICTWIE”
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pisz pan na Berdyczów!

Używając tego zwrotu, nie zastanawiamy się na ogół, gdzie ten Berdyczów leży ani czy w ogóle istnieje. I można powątpiewać w jego realny byt, skoro stał się synonimem miejsca, dokąd wysyłano listy, których i tak nikt nie odbierał.

Ponadto Berdyczów pozostał symbolem zagubionego gdzieś na kresach miasteczka zaludnionego przez brodatych handlowców z pejsami. Pod tym względem odpowiadało to prawdzie, Izraelici w XIX w. stanowili bowiem ponad 90 proc. mieszkańców. Pozostałością z tych czasów jest czynna do dzisiaj synagoga przy ul. Świerdłowa oraz ogromny kirkut za przejazdem kolejowym.

Skąd zatem wzięło się słynne przysłowie? Według niektórych w miasteczku fatalnie działała poczta i większość listów nie docierała do adresatów. Prawda była jednak chyba nieco inna, po prostu do Berdyczowa przyjeżdżało w sprawach handlowych wielu starożytnych. I często zachodziła konieczność przeadresowania korespondencji na Berdyczów w nadziei, że przesyłka dojdzie do odbiorcy. I tak powstało znane przysłowie.

Dzisiejszy Berdyczów liczy niespełna 100 tys. mieszkańców i zniknęła już niemal całkowicie żydowska wspólnota. Nie ma też prawie Polaków, a warto pamiętać, że urodził się tutaj światowej sławy pisarz – Józef Korzeniowski (Conrad).

Jedynymi śladami po naszych rodakach są dwa kościoły katolickie wznoszące się po przeciwnych stronach centrum. Przy ul. Soborowej (Sonornej) trwa odbudowa słynnego klasztoru Karmelitów Bosych, ufundowanego przez Janusza Tyszkiewicza w 1630 r. Wówczas też kościół stał się największym sanktuarium maryjnym na Ukrainie, będąc miejscem przechowywania cudownego obrazu Najświętszej Marii Panny z Dzieciątkiem (Śnieżnej).

Ztego zgromadzenia pochodził duchowy przywódca konfederacji barskiej, o. Marek Jandołowicz. To jego po latach Słowacki uczynił bohaterem jednego ze swoich najbardziej znanych dramatów („Ksiądz Marek”). Natomiast umocnienia klasztoru wykorzystał Kazimierz Pułaski, broniąc się przez kilkanaście dni przed wojskami carskimi. Z niewielkimi siłami (ok. 1,5 tys. ludzi) trzykrotnie odparł szturm wroga, za każdym razem dziękując ze łzami w oczach przed cudownym obrazem.

Natomiast po drugiej stronie centrum wznosi się klasycystyczny kościół pod wezwaniem św. Barbary. To w jego murach 14 marca 1850 r. odbył się ślub Honoriusza Balzaka z Eweliną Hańską – finał wieloletniego romansu pisarza z arystokratką. Ale to już zupełnie inna historia, o której zresztą szerzej pisałem w jednym ze swoich wcześniejszych felietonów... ©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!
Poruszający wywiad
z Żołnierzem Wyklętym
– Ryszardem
Staszkiewiczem
„Łosiem”

Piotr Lipiński – **WiN w ubeckiej matni**
Sławomir Cenckiewicz – „Afera Bergu”
Maciej Rosalak – **Zagłada Indian w USA**
Miroslaw Szumiło – **Tragedia traktatu ryskiego**
Piotr Zychowicz – **Zagłada kresowego gniazda**
Tomasz Stańczyk – **Czy Mińsk mógł być w II RP?**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Bratnie partie – PO i PiS**
Jakub Ostromecki – **Fałszywe śledztwo FBI**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Późniejsi biografowie lubili pisać, że Elizabeth Siddal (1829–1862) pochodziła z nizin społecznych i z nim została odkryta przez malarzy z bractwa prerafaelitów, pędziła nędzne życie w londyńskich slumsach. Ma to niewiele wspólnego z prawdą. Mit przedstawiający rodzinę Siddalów jako ludzi z marginesu stworzyła sama zainteresowana, która opisując przyjaciółom swoje dzieciństwo, wyolbrzymiała rzekome ubóstwo domu rodzinnego. Opowieści te wziął za prawdę i puścił w dalszy obieg jej kochanek i późniejszy mąż – Dante Gabriel Rossetti. Gdy ostatecznie spotkał się z rodziną partnerki, mocno się zdziwił, stwierdzając, że jej bliscy są pracowitymi ludźmi o wysokim poziomie intelektualnym.

RÓŻA WŚRÓD KAPELUSZY

Rodzinie Siddalów mogłoby powodzić się lepiej, gdyby nie obsesja ojca naszej bohaterki na punkcie rodowego dziedzictwa. Charles Siddal, z zawodu będący wytwórcą noży, całe swoje życie poświęcił walce o odzyskanie rzekomo należącej do jego przodków niewielkiej ziemskiej posiadłości. Ciągał aktualnych właścicieli po sądach, wydawał majątek na kolejnych prawników. Przegrywał jednak proces za procesem, a jego dzieci od razu po osiągnięciu pełnoletniości ruszały do pracy, by skromnymi zarobkami ratować rodzinny budżet.

Jako młoda kobieta Elizabeth znalazła zatrudnienie w londyńskim sklepie z kapeluszami. Jedną z jej współpracownic – Jeanette – adorował poeta William Allingham. Odwiedzając pewnego dnia 1849 r. swą wybrankę, zauważył on obdarzoną eteryczną urodą Lizzy. Popędził do swojego przyjaciela malarza z Bractwa Prerafaelitów – Waltera Deverella, który niedawno skarżył mu się na kłopoty związane z pracą nad obrazem mającym stanowić ilustrację do „Wieczoru Trzech Króli” Szekspira. Artysta cierpiał na brak modelki mogącej pozować jako Viola. Allingham polecił przyjacielowi pannę Siddal.

Deverell wysłał jako posła swoją matkę. Ta zaproponowała Lizzy pracę dla syna, a następnie osobiście pojechała do mieszkania Siddalów, by porozmawiać z jej matką. Gdy ustalono, że w trakcie sesji malarskich młodym zawsze towarzyszyć będzie pani Deverell, Elizabeth otrzymała zgodę rodziny.

OFELIA W WANNIE

Gdy obraz był już skończony, Deverell zaprezentował go swoim przyjaciółom



Łukasz Czarnecki

W połowie XIX w. prezentowane na niezliczonych płótnach jej blade oblicze okolonie puklami złocistorudych włosów uchodziło za symbol piękna. Życie nie rozpieszczało jednak Elizabeth Siddal i ostatecznie targnęła się na własne życie

Pierwsza supermodelka

z kręgu prerafaelitów. Wpadli w zachwyt. Szczególnie zauroczony był Dante Gabriel Rossetti, który koniecznie chciał poznać pierwowzór Violi. Walter zgodził się więc przedstawić nową muzę swym kolegom. Gdy okazało się zaś, że panna Siddal jest nie tylko oszałamiająco piękna, lecz także niezwykle inteligenta, prerafaelici oszaleli na jej punkcie. Zaczęły sypać się kolejne propozycje współpracy i wkrótce dochody uzyskiwane z tytułu pozowania do obrazów zaczęły przeraastać te, które przynosiła praca w sklepie.

Na przełomie lat 1851 i 1852 powstało najślawniejsze dzieło uwieczniające twarz

Elizabeth. John Everett Millais zaproponował naszej bohaterce, by na potrzeby jego najnowszego obrazu wcieliła się w Ofelię z „Hamleta”. W wizji artysty nieszczęśliwa ukochana duńskiego księcia miała unosić się na wodach rzeki, w której się utopiła.

Millais zorganizował modelce suknie średniowiecznego kroju, ale trzeba było jeszcze w naturalny sposób oddać jej ruch na wodzie. Dlatego też panna Siddal pozowała... w wannie.

DANTE I BEATRYCZE

Najczęściej Elizabeth pozowała Rossettiemu. Młody Dante Gabriel miał na



Obraz „Ofelia” Johna Everetta Millaisa, do którego Elizabeth Siddal pozowała leżąc w wannie FOT. TATE GALLERY/WIKIPEDIA

Dante Gabriel uwielbiał podkreślać przy każdej okazji, że pochodzi z wyższej klasy społecznej niż jego wybranka. Pycha ta była nie na miejscu, bo od czasu, gdy ojciec artysty utracił wzrok, w domu Rossettich też się nie przelewało, a cała rodzina utrzymywała się z urzędniczej pensji młodszego brata malarza – Williama. Szczególnie dużo zawdzięczał temu ostatniemu sam Dante, który rozkoszował się życiem artysty utracjusza.

CHOROBA DUSZY

Lata leciały, Rossetti ciągle się nie oświadczał. Nieszczęsna dziewczyna żyła w nieustannym upokorzeniu i lęku – gdyby Dante od niej odszedł, to po tym, jak zrujnował jej reputację, nie miałyby już szansy na znalezienie męża. W oczach wiktoriańskiego społeczeństwa nasza bohaterka była kobietą upadłą.

Biedaczka zaczęła zdradzać objawy choroby psychicznej. Pojawiła się anoreksja. Elizabeth, zawsze bardzo szczupła, potrafiła teraz nie przyjmować pokarmu nawet przez dwa tygodnie. W pewnym momencie całą korespondencję Rossettiego, w której wspominał o swej muzie, zdominowały zagadnienia jej chorób. Chcąc jakoś pomóc (a także ukoić wyrzuty sumienia), Dante organizował dla Lizzy wyjazdy do uzdrowisk i wizyty kolejnych lekarzy. Ci zaś dawali zawsze tę samą diagnozę – panna Siddal była zdrowa, a cała choroba jej ciała brała się z umysłu i wiązała się z niewiernością kochanka.

Zszargane nieustannym stresem i lękiem o przyszłość nerwy Elizabeth leczyła laudanum. Młoda kobieta zażywała końskie dawki narkotyku, którego skutki uboczne jeszcze bardziej pogarszały jej stan.

UTALENTOWANA PANNA SIDDAL

Nasza bohaterka swej działalności w kręgach artystycznych nie ograniczała bynajmniej do biernego pozowania innym. Sama pobierała lekcje malarstwa od kochanka, a jej prace były naprawdę dobrej jakości. Doskonale operowała ołówkiem, tworząc porywające szkice. Malarstwo olejne szło jej trochę gorzej, ale nawet tu tworzyła kompozycje pełne uroku. Niestety, do naszych czasów zachował się tylko ich ułamek.

Największym uśmiechem losu w połowie lat 50. XIX w. okazało się dla Lizzy odkrycie jej twórczości przez wpływowego krytyka i kolekcjonera

sztuki – Johna Ruskina. Obrazy Elizabeth zaprezentował patronowi prerafaelitów Rossetti, który naprawdę wierzył w talent kochanki. Uwierzył w niego i Ruskin, który tak się zachwycił malarstwem byłej sprzedawczyni kapeluszy, że nie tylko zaczął regularnie kupować kolejne obrazy, lecz także opłacił jej podróż do Francji.

Dziewczyna rozwijała też talent poetycki. Nieszczęśliwa w miłości Elizabeth pisała o złamanym sercu, śmierci i rozpacz.

I ŻE CIĘ NIE OPUSZCZĘ...

Wiosną 1860 r. nasza bohaterka znów zachorowała, i to tak poważnie, że wydawało się, iż stoi nad grobem. To skruszyło serce Rossettiego, który nareszcie się jej oświadczył i 23 maja tegoż roku wziął z nią ślub.

Fakt, że hołubione od prawie dekady marzenie nareszcie stało się rzeczywistością, dał nowej pani Rossetti siły do walki z chorobą i wróciła do zdrowia. Pożycie świeżo poślubionej pary układało się dobrze, wyglądało na to, że pełna zakrętów historia ich miłości wreszcie znalazła pozytywne zakończenie. Niestety, los chciał inaczej.

Wkrótce po ślubie Elizabeth zaszła w ciążę. Niestety, dziecko na świat przyszło martwe. Nasza bohaterka załamała się psychicznie. Co prawda niedługo znowu była przy nadziei, ale prześladował ją straszliwy lęk, który starała się leczyć coraz większymi dawkami laudanum. W końcu 11 lutego 1862 r. sporządziła pożegnalny list i przyjęła śmiertelną dawkę narkotyku. Odeszła jako 32-latką.

Po śmierci żony Rossetti spalił jej pożegnalny list i zataił dowody samobójstwa. W czasie ceremonii pogrzebowej Dante włożył do trumny rękopis zbioru swych niepublikowanych dotąd wierszy. Uznał, że wraz z odejściem jego muzy skończyły się dlań czasy poezji.

Tragiczne losy pierwszej supermodelki ponury epilog znalazły kilka lat później, gdy za namową pewnego obrotowego wydawcy Rossetti postanowił opublikować zawartość tomu leżącego w grobie Lizzy. Jako że zapieczętowany w trumnie rękopis był jedyną istniejącą kopią, Dante pewnej ponurej nocy z grupą grabarzy wydobyl z rodzinnej krypty trumnę Elizabeth, otworzył ją i wyjął brulion z martwych dłoni żony. Potem sam zaczął osuwać się w szaleństwo, skarżąc się, że nocami nawiedza go widmo żony.



Jacek Przybylski

**– Nie ma wątpliwości: zwyciężymy
– przekonywał Donald Trump
w Orlando na Florydzie
na konferencji organizacji
konserwatywnych (CPAC).
Podczas pierwszego publicznego
wystąpienia od końca kadencji dał
swym zwolennikom nadzieję, że
jeszcze powróci do Białego Domu**

Zsondażu przeprowadzonego podczas niedawnej konferencji organizacji konserwatywnych wynika, że aż 97 proc. ankietowanych dobrze ocenia prezydenturę Donalda Trumpa, ale tylko 68 proc. pytanych chciałoby, aby były prezydent ponownie walczył o Biały Dom. Mimo to były amerykański prezydent wciąż jest faworytem do uzyskania wyborczej nominacji republikanów w 2024 r. W tym samym sondażu podczas CPAC aż 55 proc. ankietowanych stwierdziło, że w prawyborach prezydenckich odda głos na Trumpa. Drugie miejsce zajął Ronald Dion „Ron” DeSantis, gubernator Florydy – wojskowy, prawnik i sprawny polityk Partii Republikańskiej zdobył 21 proc. głosów. Pozostali kandydaci, w tym pani gubernator Dakoty Południowej Kristi Noem, nie przekroczyli nawet 5 proc.

I chociaż do sondaży na tym etapie kompletnie nie ma się co przywiązywać, to demokraci wciąż widzą w Trumpie potężnego przeciwnika. Po tym, jak drugi raz wszczęto wobec niego procedurę impeachmentu i jak drugi raz zakończyła się ona uniewinnieniem Trumpa, Kongres nie może już odebrać byłemu prezydentowi biernego prawa wyborczego. Mimo to zagorzali przeciwnicy byłego prezydenta USA mogą próbować przeprowadzić prawną batalię, aby korzystając z przepisu przyjętego po wojnie secesyjnej, doprowadzić do zablokowania biernego prawa wyborczego wciąż potężnego trybuna amerykańskich konserwatystów. Stąd zdaniem szefów służb specjalnych (FBI, DHS) za największe zagrożenie dla Ameryki, będące „na poziomie Państwa Islamskiego”, uznali ryzyko ataku ze strony... białych nacjonalistów. W ze-

Powrót Trumpa



szłym tygodniu szefowie służb ostrzegali w Kongresie, że niektórzy członkowie grupy QAnon wierzą, że Trump „zostanie zaprzysiężony 4 marca lub że powróci do władzy z pomocą amerykańskich sił zbrojnych 20 maja”. Ponieważ w szturmie na Kapitol brali udział głównie sympatycy Donalda Trumpa, nowa lewicowa władza po ten kij zawsze będzie chętnie sięgać.

40 DNI JOE BIDENA

– Niezwykła podróż, którą wspólnie rozpoczęliśmy cztery lata temu, najbardziej udana podróż w historii, daleka jest od zakończenia – oświadczył Donald Trump podczas konferencji organizacji konserwatywnych, wyraźnie dając do zrozumienia, że w 2024 r. chętnie ponownie włączy się do walki o Biały Dom. – Bez względu na to, jak waszyngtoński establishment i wpływowe grupy interesu będą chciały nas uciszyć, nie ma wątpliwości: zwyciężymy – podkreślił.

Były prezydent USA ostro skrytykował też rządzący Joe Bidena, stwierdzając, że miał „najbardziej katastrofalny pierwszy miesiąc rządów spośród wszystkich współczesnych prezydentów”. Według Trumpa polityka Joe Bidena jest skierowana „przeciwko miejscom pracy,

rodzinie, granicom, energii, kobietom oraz nauce”.

Kiepski początek prezydentury lidera Partii Demokratycznej – po którym wyraźnie widać, że ani nie jest on jedynym Ameryką centrystą, ani nie jest tak kompetentny, jak próbowały przedstawiać go liberalne media – zwiększa szanse na szybkie odbicie części władzy przez obóz konserwatystów już w kolejnych wyborach do Kongresu.

Joe Biden okazuje się dużo bardziej lewicowy, niż obiecywał podczas kampanii wyborczej.

Jego ekipa nie tylko nie powstrzymała demokratów przed skazaną na porażkę ponowną próbą impeachmentu Trumpa, lecz także dużo słabiej, niż można było oczekiwać, radzi sobie zarówno z epidemiologicznymi, jak i gospodarczymi skutkami pandemii COVID-19. Porównując początek kadencji dwóch liberałów: Bidena i Obamy, ten ostatni radził sobie nieporównywalnie lepiej. A przecież teoretycznie ustawa wspierająca gospodarkę ze względu na poparcie dla tej sprawy obu partii w Kongresie miała być dla Białego Domu banalnie prosta do przygotowania.

Jeszcze gorzej wygląda kwestia forsowanej przez radykalną lewicę reformy

ce, poza tym, że nowy lider największego mocarstwa świata przestał wreszcie nieustannie tweetować. Nowa administracja w Waszyngtonie nie radzi sobie jednak na razie ani na froncie energetycznym (Rosjanie i Niemcy wciąż pracują nad ukończeniem Nord Stream 2), ani rosyjskim (Waszyngton niemalże nie zareagował na wtrącenie przez reżim Władimira Putina do łagru Aleksieja Nawalnego, najsprawniejszego polityka rosyjskiej opozycji). Białe Dom pod nowymi rządami kiepsko radzi sobie również na frontach chińskim czy irańskim. I nie potrafił nawet jasno dać do zrozumienia Saudyjczykom, że krojenie na kawałki opozycyjnych dziennikarzy nie jest praktyką, którą USA zamierzają tolerować w krajach uznawanych za najbliższych sojuszników Ameryki. O wciąż nieobsadzonych wakatach po ambasadorach nie warto nawet wspominać.

ZAWIESZENIE BRONI?

Republikanie mają więc okazję do kontrataku. Zanim jednak będą się mogli skupić na ofensywie przeciw coraz bardziej lewicowej Partii Demokratycznej, muszą zakończyć wewnętrzne spory. Na szczęście konserwatywni liderzy dobrze o tym wiedzą. Co prawda podczas konferencji CPAC Donald Trump nadal utrzymywał, że to on wygrał ostatnie wybory prezydenckie, ale jednocześnie próbował zaprezentować się jako polityk potrafiący zjednoczyć Partię Republikańską. Podkreślał, że absolutnie nie chce doprowadzać do podziałów na prawej stronie sceny politycznej. – Nie planuję założenia nowej partii – oświadczył były prezydent, dodając, że pojawiające się w mediach informacje o tym, że chce stworzyć własne ugrupowanie, to po prostu „fake news”.

To dobra wiadomość dla amerykańskich konserwatystów. Z lutowego sondażu dla dziennika „USA Today” wynika bowiem, że niemal co drugi zwolennik Partii Republikańskiej byłby skłonny ją opuścić i przejść do ugrupowania Donalda Trumpa. Takie rozbitcie w obozie prawicy w kraju z dwupartyjnym systemem politycznym na długo uniemożliwiłoby konserwatystom odbicie Kongresu czy Białego Domu.

Wojna domowa w szeregach republikańskich między partyjnymi elitami a zwolennikami Trumpa wciąż się jednak tli. W połowie lutego Trump ostro skrytykował przywódcę mniejszości republikańskiej w wyższej izbie Kongresu, wpływowego członka partyjnych elit Mitcha McConnella.

„Partia Republikańska już nigdy nie będzie szanowana ani silna, mając na czele przywódców politycznych, takich jak senator Mitch McConnell” – ocenił były prezydent w oświadczeniu wydanym przez jego komitet akcji politycznej (PAC), nazywając McConnella „ponurym, posępnym i pozbawionym uśmiechu politycznym wyrobnikiem”. „To jest wielki moment dla naszego kraju i nie możemy pozwolić, aby przepaść z liderami »trzeciej kategorii« mającymi kształtować naszą przyszłość!” – apelował były prezydent USA.

Otwarta wojna między Trumpem a McConnelllem to nie tylko konflikt między dwoma znaczącymi graczami politycznymi. Były prezydent ostro krytykował ostatnio również republikańską członkinię Izby Reprezentantów Liz Cheney – zajmującą trzecią pozycję w partyjnej hierarchii – która poparła w głosowaniu postawienie Trumpa w stan oskarżenia w związku ze szturmem jego zwolenników na Kapitol. Republikanie wciąż są bowiem ostro podzieleni w kwestii oceny tego, czy Donald Trump jest głównym motorem rozwoju partii, czy może główną przeszkodą na drodze do odzyskania władzy przez konserwatystów.

Wojna domowa na amerykańskiej prawicy dotyczy również kluczowej dla Partii Republikańskiej wizji polityki prowadzonej przez konserwatystów w Ameryce. Trump, powołując komitet Ocal Amerykę (Save America), przekonywał, że drogą do odzyskania utraconej przed czterema miesiącami władzy w Białym Domu i Kongresie jest skupienie się na populistycznych postulatach i kampanii prowadzonej w ramach jego słynnego hasła: „Make America Great Again”.

Z kolei McConnell oraz inni przedstawiciele partyjnych elit, po sromotnej wyborczej klęsce 2020 r., za którą w dużej mierze odpowiedzialna jest retoryka Donalda Trumpa, woleliby, aby Partia Republikańska wróciła do korzeni i skupiła się na tradycyjnych zadaniach, takich jak wzmacnianie gospodarki czy pilnowanie budżetu USA poprzez próby powstrzymania nieograniczonego apetytu liderów lewicowej Partii Demokratycznej na zadłużanie Ameryki. Na razie najbardziej realnym scenariuszem wydaje się utworzenie ruchu sympatyków byłego prezydenta w ramach Partii Republikańskiej. Od tego, kto ostatecznie wygra wewnętrzną partyjną walkę, zależy to, jak długo stery rządów w USA będą pozostawać w rękach lewicy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Rasistowski antyrasizm



Piotr Włoczyk

„Stańcie się mniej biali” – przekonują Amerykanów eksperci ds. antyrasizmu i różnorodności. Największy autorytet tego środowiska, dr Robin DiAngelo, wprost mówi, że żaden biały nie może o sobie powiedzieć, iż nie jest rasistą

Wystarczył jeden wkurzony pracownik, by wokół Coca-Coli rozpętała się prawdziwa burza. „Konfrontacja z rasizmem” – tak nazwane zostało szkolenie oferowane przez Coca-Colę, którego najbardziej kontrowersyjne slajdy wrzucone zostały pod koniec lutego do sieci.

W rzeczywistości „konfrontacja z rasizmem” oznaczała w tym przypadku po prostu konfrontację z białym kolorem skóry. „Postaraj się być mniej biały” – wzywał jeden ze slajdów. Na innych tłumaczono kursantom, że „bycie mniej białym” to bycie „mniej despotycznym, mniej aroganckim, mniej pewnym siebie”. Ale też „bycie bardziej pokornym, wsłuchującym się w głos innych i zerwanie z »białą solidarnością«”.

„Jeżeli jakakolwiek korporacja organizowałaby szkolenie, podczas którego uczono by czarnych, jak być »mniej czarnymi«, to cały świat wybuchłby w jednej chwili, a zaraz potem posypała by się lawina pozwów” – skomentowała szkolenie w Coca-Coli Candace Owens, znana czarnoskóra konserwatywna publicystka.

W obliczu oskarżeń o propagowanie odwróconego rasizmu napojowy gigant ustami swojego rzecznika bagatelizował

problem, twierdząc, że szkolenie absolutnie nie było obowiązkowe, a poza tym chodziło jedynie o stworzenie bardziej „inkluzywnego” środowiska pracy. W końcu jednak wycelowany w białych kurs zniknął z platformy LinkedIn, za pomocą której był udostępniany pracownikom Coca-Coli.

Sprawa, z powodu użycia tak jawnie rasistowskiego języka, stała się na tyle kontrowersyjna, że od szkolenia odcięta się sama dr Robin DiAngelo, socjolog z University of Washington, której wykład był częścią kursu. DiAngelo napisała w oświadczeniu, że nikt nie konsultował z nią treści pokazanych na prezentacji. Co istotne, „konsultantka różnorodności”, jak przedstawiana jest DiAngelo w lewicowych mediach, nie skrytykowała jednak samego przekazu szkolenia. Trudno, żeby było inaczej. W rzeczywistości jest on bowiem koncentratem myśli DiAngelo, która od kilku lat robi na antyrasistowskiej lewicy oszałamiającą karierę. Dopiero skondensowanie sensu jej twórczości do słów: „Staraj się być mniej białym” uświadomiło wielu osobom, co faktycznie kryje się za tą antyrasistowską fasadą.

KRUCHOŚĆ ROZUMU

W 2018 r. DiAngelo opublikowała w USA książkę pt. „Biała kruchość.

Dlaczego białym tak trudno rozmawiać się o rasizmie” („White Fragility: Why It’s So Hard for White People to Talk About Racism”), która pełna jest łajania białych za „obronę białości” i nieprzyznawanie się do rasizmu, który rzekomo tkwi głęboko w każdym z nas. Książka DiAngelo w 2018 r. trafiła na listę bestsellerów „New York Timesa”, a w zeszłym roku powróciła na nią na fali protestów ruchu Black Lives Matter. Na amerykańskich uniwersytetach „Biała kruchość” to obowiązkowa lektura na wszystkich „whiteness studies” (nowa gałąź nauk społecznych zajmująca się badaniem „białego uprzywilejowania” i najlepszych metod oduczenia białych rasizmu).

Sam termin „biała kruchość” został wymyślony przez DiAngelo już w 2011 r. W ten sposób wytłumaczyła go wówczas w jednym ze swoich artykułów naukowych: „Biali ludzie w USA oraz inne białe społeczeństwa zbudowane przez białych osadników żyją w środowiskach odizolowanych pod względem rasowym. Ta izolacja napędza nasze oczekiwania, by żyć w komforcie rasowym, równolegle zmniejszając naszą odporność na różnego rodzaju kwestionowanie stosunków rasowych. Nazywam ten brak rasowej odporności »białą kruchością«”.



Socjolog z University of Washington dr Robin DiAngelo od kilku lat robi na antyrasistowskiej lewicy oszałamiającą karierę

FOT. WWW.ROBINDIANGELO.COM

„Czarni nie są w stanie zadbać o własną przyszłość i dlatego biali liberałowie tacy jak Robin DiAngelo muszą się nimi zająć – ironizował w swoim programie Ben Shapiro, znany amerykański konserwatywny publicysta, który nazywa DiAngelo »liderką kultu«. – Biali, którzy nie widzą, że czarni są dyskryminowani, cierpią na »białą kruchość«. Jedynym ratunkiem jest słuchanie Robin DiAngelo i wykonywanie jej poleceń”.

Niemal każdy kolejny tydzień przynosi nowe doniesienia na temat postępów tej „antyrasistowskiej rewolucji”

Takie kategoryzowanie ludzi pod kątem rasowym ma swoje konsekwencje. Niemal każdy kolejny tydzień przynosi nowe doniesienia na temat postępów tej „antyrasistowskiej rewolucji”. O ile dorosłych może to co najwyżej śmieszyć, o tyle taki przekaz kierowany do dzieci musi niepokoić.

Z jednej strony platforma streamingowa Disney+ cenzuruje klasyczne bajki, opatrując je ostrzeżeniami o rzekomych rasistowskich stereotypach, a z drugiej na kanałach z kreskówkami (np. Cartoon Network) dzieci oglądają w formie bajek ideologiczne wykłady, w których wszyscy bohaterowie podkreślają to, jak ważny jest kolor skóry i jakie problemy, ewentualnie jakie przywileje, wiąże się z przynależnością do danej społeczności. W tej opowieści o relacjach międzyludzkich nie umiejętności, wiedza czy troska o innych determinują to, kim jesteśmy, ale właśnie kolor skóry. Dzieci muszą wiedzieć, że jeżeli mają biały kolor skóry, to korzystają ze wstydliwego przywileju, a jeżeli są czarne, to muszą być lepiej traktowane. Pytanie, ile ten przekaz ma do zaoferowania z jednej strony dzieciom z białej biedoty (tzw. white trash), a z drugiej strony dzieciom z bogatych czarnych domów.

Już latem tego roku najbardziej progresywnych białych Amerykanów, którzy uwielbiają przeproszać za to, że są biali, czeka nie lada gratka. W czerwcu dr DiAngelo opublikuje swoją najnowszą książkę pt. „Miły rasizm: jak progresywni biali ludzie utrwalają rasową krzywdę” („Nice Racism: How Progressive White People Perpetuate Racial Harm”).

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Biała kruchość to stan, w którym nawet najmniejsze zakwestionowanie pozycji białych staje się czymś niemożliwym do tolerowania i wywołuje cały wachlarz reakcji obronnych, takich jak m.in. spieranie się, unieważnianie, uciszanie, zamykanie się w sobie, a także zarzucanie innym napaści i niezrozumienia. Te środki obronne służą przywracaniu rasowej nierówności i utrzymywaniu kontroli”.

Ten genialny w swojej prostocie termin pozwala oskarżyć o rasizm każdego białego człowieka. A jeżeli zaatakowany w ten sposób będzie się bronił, przekonując, że nie jest uprzedzony do ludzi o innym kolorze skóry, to i tak stoi na straconej pozycji. Jakiegokolwiek zaprzeczanie to przecież według tej definicji objaw „białej kruchości”, czyli po prostu rasizmu.

Antyrasistowska ideologia DiAngelo krytykowana jest nie tylko przez amerykańską prawicę, lecz także przez część lewicowych mediów. Kelefa Sanneh, publicysta magazynu „The New Yorker”, napisał, iż teoria DiAngelo „sprawia, że biali ludzie wydają się pełni wad i posiadający skomplikowane charaktery; w przeciwieństwie do ludzi o innym kolorze skóry, którzy są dobrzy, mądrzy

i dosyć prostolinijni. Ta narracja być może trafia w gusta grupy docelowej, ale innym niewiele ma do zaoferowania”.

Pisząc o „grupie docelowej”, Sanneh miał zapewne na myśli rosnący segment amerykańskich liberałów, którzy chcą się samobiczować za przynależenie do białej społeczności. W „grupie docelowej” mieszczą się też z pewnością wielkie korporacje, które płacą DiAngelo za przeprowadzenie u nich kursów „antyrasizmu”.

WYRZUCIĆ ZE SŁOWNIKA

„Czy biały człowiek może o sobie powiedzieć, że nie jest rasistą?” – zapytał DiAngelo słynny amerykański komik Jimmy Fallon, po czym z wielkim skupieniem wysłuchał jej odpowiedzi: „Biali ludzie często tak mówią. Wiem, że i ja, i pan zrobiliśmy w życiu rzeczy, które uznawane są za rasistowskie. Nie zrobiłabym tego po raz kolejny i chociaż nie robiłam tego celowo, to jednak krzywdziłam w ten sposób innych. Biali ludzie powinni wyrzucić te słowa ze słownika: »Nie jestem rasistą«. Proszę mi wierzyć, to nie przekonuje czarnych ludzi”.

Skoro tak, to wniosek może być tylko jeden: każdy biały jest rasistą i zmienić to mogą jedynie kursy „różnorodności” przygotowywane przez dr DiAngelo.



DOBRE IMIĘ SZCZURÓW I PLUSKIEW

Radni koalicji ekologicznej w Strasburgu uważają, że trzeba poprawić dobrostan szczurów i pluskiew. Proponują zacząć od godniejszego nazywania. A dokładnie – jak relacjonowała tamtejsza prasa – żeby nie nazywać już tych zwierząt „szkodnikami”. Zdaniem ekologicznych radnych jeśli nie będzie się tak mówić na karaluchy czy szczury, to mieszkańcy miasta nabędą „bardziej życzliwego podejścia” do tych zwierząt i owadów. Radni opozycji zastanawiali się jednak, czy pomagać trzeba ludziom borykającym się z pluskwami w mieszkaniach czy pluskwom.

FOT. ADAM STOK

STRZELANINA POD PRZYKRYWKĄ

Funkcjonariusze Filipińskiej Agencji Narkotykowej (PDEA) działali pod przykrywką, rozpracowując grupę handlarzy narkotyków. Tak samo – pod przykrywką – działali funkcjonariusze Filipińskiej Policji Narodowej (PNP). Obie grupy funkcjonariuszy udających handlarzy narkotykami wpadły na siebie w Quezon City. Doszło do wymiany ognia. Dwóch policjantów zostało zabitych, a trzech agentów rannych.

UKRAIŃSKA DYPLOMATYCZNA KONTRABANDA

Na granicy Ukrainy i Polski Straż Graniczna zatrzymała minibus z kierowcą ukraińskiej ambasady w Warszawie i attaché ds. konsularnych. Wieźli tysiące paczek papierosów, a oprócz tego 16 kg złota oraz dziesiątki tysięcy dolarów i euro. Ukraiński minister spraw zagranicznych Dmytro Kuleba poinformował na Facebooku, że odwołał zagraniczne podróże tych urzędników i że ich praca w ambasadzie „dobiegła końca”.

PATROLE NA ROLKACH

W Karaczi pakistańska policja stworzyła specjalny zespół, który ma ograniczyć molestowanie seksualne i kradzieże na wąskich ulicach. To funkcjonariusze na rolnikach. Mają patrolować tylko uliczki z dobrą nawierzchnią i chodnikami. Nie wiadomo, jak się takie patrole sprawdzą, bo sama policja ma do nich sceptyczne podejście – patrole na rolnikach nie będą nosić broni palnej ze względu na możliwe ryzyko.

KOT NAPADŁ NA PILOTA W KOKPICIE

Pilot boeinga 727 lecącego z Sudanu do Kataru musiał zawrócić maszynę i tuż po starcie wylądować na sudańskim lotnisku. Do kokpitu wdarł się bowiem kot (nie wiadomo, jak tam się znalazł) i zaatakował pilota. Załoga próbowała okiełznać zwierzę, ale to się nie udało. Kot był tak agresywny, że pilot zdecydował o lądowaniu awaryjnym. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Limuzyny dla imigrantów?

Ziemia należy do Allaha, więc innowiercy podbici przez muzułmanów muszą płacić specjalne daniny: charadż (podatek gruntowy) oraz dżizję (podatek pogłówny). Ten ostatni był zazwyczaj płatny w pieniądzu, ale pewien islamski imigrant postanowił, że może przyjmować też płatność w postaci... luksusowych limuzyn. I nikt tu nie mówi o kradzieży.

Jak poinformował portal actu.fr, pewien mieszkaniec francuskiego miasta Montpellier zostawił na parkingu nowiutkie audi A5. Gdy po pewnym czasie wrócił do auta, za jego kierownicą zobaczył

obcego mężczyznę. Gdy poprosił go o opuszczenie jego limuzyny, imigrant z Afryki odpowiedział mu, że nigdzie się nie wybiera. – Nie wysiądę, bo Allah dał mi ten samochód. No już, dawaj kluczyki – powtórzył kilkakrotnie 29-latek. W taki sam sposób próbował przekonać nie tylko właściciela audi, lecz także wezwany na miejsce patrol policji. Po jakimś czasie dżentelmen z Afryki dał się w końcu przekonać, by opuścił limuzynę, do której dostał się, wybijając jedną z bocznych szyb.

Na policyjnym posterunku okazało się, że w lutym była to już jego druga próba przejęcia

„darowanego przez Allaha” samochodu.

Po pierwszym włamaniu do auta psychiatra skierował go na leczenie. Niestety, okazało się, że imigrant z Afryki źle znosi przymusowe umieszczenie w wyznaczonym miejscu pobytu. Wypuszczono go więc na wolność. Nie wiadomo, jak skończy się jego druga próba zagarnięcia samochodu niewiernego. Biorąc pod uwagę panoszącą się we Francji poprawność polityczną, w takich przypadkach już niedługo karani będą nie muzułmańscy imigranci, ale ci, którzy nie chcą się z nimi dzielić swoim bogactwem. ©

KONIEC systemu



wtorek
21:30

zaprasza **Dorota Kania**



Oglądaj również na www.tvrepublika.pl

TOMASZ CUKIERNIK: Czy przedsiębiorcy, otwierając swoje firmy wbrew lockdownowi, łamią prawo?

TOMASZ CHUDZINSKI: W ciągle zmieniającym się krajowym prawodawstwie ostateczna decyzja, czy w danym przypadku doszło do złamania prawa czy nie, należyć będzie do sądów administracyjnych lub sądów powszechnych. Nie mam wątpliwości, że postępowanie w przedmiocie oceny poszczególnych zakazów, ograniczeń lub nakazów dojdzie w pewnym momencie na szczebel Trybunału Konstytucyjnego. Z dużym prawdopodobieństwem część z ograniczeń – w tym generalny zakaz prowadzenia określonego rodzaju działalności gospodarczej, np. restauracji, centrów rozrywki etc. – może zostać uznana za niekonstytucyjną. Niestety do tego czasu regulacje te obowiązują. Dlatego zamiast liczyć na rozstrzygnięcia TK, większą nadzieję przedsiębiorcy mogą pokładać w ugruntowanie się orzecznictwa sądów, które rozstrzygając w indywidualnych sprawach, masowo będą odmawiać stosowania niekonstytucyjnych albo nieobowiązujących przepisów. Pozytywnych dla przedsiębiorców rozstrzygnięć jest coraz więcej. Pierwszym takim rozstrzygnięciem był wyrok WSA w Opolu, który oceniał legalność nałożenia kary pieniężnej w związku z otwarciem salonu fryzjerskiego.

Radio Zet dotarło do wewnętrznej instrukcji sanepidu, z której wynika, że urząd prowadzi udawane kontrole żywności, bo tylko w tym wypadku nie trzeba wcześniej zawiadamiać przedsiębiorcy o kontroli, a już przed kontrolą przygotowana jest decyzja nakładająca karę administracyjną w wysokości do 30 tys. zł. Czy działając w ten sposób sanepid nadużywa prawa?

Takie działania są oczywiście wypaczeniem przepisów. Stanowią też pogwałcenie wielu zasad ogólnych Kodeksu postępowania administracyjnego, ustawy Prawo przedsiębiorców oraz konstytucyjnej wolności prowadzenia działalności gospodarczej. Odpowiadając na pytanie, czy sanepid nadużywa prawa, powiedziałbym, że jest to działanie na granicy przepisów. Sanepid umiejętnie korzysta z przepisów przewidujących wyłączenie stosowania danych regulacji w przypadku „zagrożenia życia i zdrowia”. Niestety z samym „pretekstem” do przeprowadzenia kontroli nie powalczymy. Dopóki przedsiębiorca nie zawałczy z działaniami, które traktuje jako bezprawne, dopóty nikt „z urzędu” nie uchyli takiej decyzji. Smutna konkluzja jest taka, że bierność przedsiębiorcy w toku kontroli, po nakazaniu zamknięcia lokalu albo po nałożeniu administracyjnej kary



Z adwokatem **Tomaszem Chudzinskim**, ekspertem z Centrum Analiz Legislacyjnych Ordo Iuris rozmawia **Tomasz Cukiernik**

Odszkodowanie za lockdown

pieniężnej etc., będzie legalizować takie działania. Dlatego w toku kontroli przedsiębiorca powinien być aktywny. Do protokołu z przeprowadzanej kontroli należy wskazywać swoje zastrzeżenia. W terminie trzech dni od wszczęcia kontroli przedsiębiorcy przysługuje również prawo do wniesienia sprzeciwu, który powinien być należycie uzasadniony. Jest to ważne, bo przez pryzmat protokołu kontroli oraz podnoszonych przez przedsiębiorcę zastrzeżeń będzie oceniana legalność działań sanepidu w przypadku skorzystania przez przedsiębiorcę z drogi odwoławczej.

Z raportu brytyjskiego ministerstwa zdrowia wynika, że przenoszenie się koronawirusa w hotelach jest znikome. W supermarkiecie można się zarazić chorobą siedem razy łatwiej niż w hotelu. Bezpieczniej niż w supermarketach ma być także w restauracjach. Hotele i restauracje zostały zamknięte, a sklepy cały czas są otwarte. Czy to jest argument dla sądów?

Być może będzie to argument w postępowaniach, w których TK będzie oceniał zgodność z konstytucją przepisów kolejnych rozporządzeń Rady Ministrów lub specustawy covidowej. W indywidualnych sprawach przed sądami raczej nie będzie to miało znaczenia.

Jaka jest szansa na wypłatę odszkodowań w związku z pozywaniem państwa przez zamknięte lockdownem firmy?

Potencjalna skuteczność ewentualnych pozwów stoi pod znakiem zapytania z jednego powodu. Otóż rządzący zwrócili się do Trybunału Konstytucyjnego o zbadanie zgodności z konstytucją art. 417 kc – tego przepisu, na którym przedsiębiorcy będą opierać swoje pozwy. TK miałby ocenić, czy przepis ten jest niezgodny z konstytucją w zakresie, w jakim rodziłby odpowiedzialność Skarbu Państwa za działania w związku ze stanem epidemii. Jeśli orzeknie, że jest zgodny z konstytucją, to nic nie będzie stało na przeszkodzie, aby sądy zasądzały takie odszkodowania. W procesie o zapłatę odszkodowania przedsiębiorcy będą musieli wykazać kolejno: fakt wystąpienia zdarzenia wywołującego szkodę (wydanie aktu, który zabrania prowadzenia działalności gospodarczej); związek przyczynowo-skutkowy pomiędzy zdarzeniem a szkodą oraz wystąpienie szkody (przede wszystkim utracone zarobki, negatywne skutki wypowiedzenia kredytów przez banki etc.). Wyzwaniem będzie dla przedsiębiorców określenie wysokości strat i utraconych zarobków, które mogłyby uzyskać w przypadku, gdyby lockdownu nie było. Ale trudno będzie wykazać roszczenie o zapłatę odszkodowania w okresach „odmrażania gospodarki”, kiedy przedsiębiorca, choć mógł funkcjonować, miał niższy przychód z powodu zachowań konsumentów, a nie działań rządu. Ponadto

JEŚLI PAŃSTWO WYWOŁAŁO SZKODY, TO POWINNO JE NAPRAWIĆ

jeśli Europejski Trybunał Praw Człowieka uznałby niezgodność danych przepisów z wiążącym Polskę prawem międzynarodowym, to również taki prejudykat otworzyłby drogę do żądania odszkodowań.

Rozporządzenie z grudnia 2020 r. nie przewiduje żadnych odszkodowań dla właścicieli nerek. Czy w tej sytuacji po wybicu nerek na fermie na Pomorzu z powodu zarażenia SARS-CoV-2 (strata ok. 10 mln zł) rolnik ma szansę na odszkodowanie w sądzie?

Wymowne jest, że kolejne rozporządzenia Rady Ministrów nie przewidują jakichkolwiek odszkodowań w związku z ograniczeniami, zakazami i nakazami w związku ze stanem epidemii. Natomiast zasady dotyczące wypłaty odszkodowań związanymi z działaniami państwa mającymi na celu zwalczanie chorób zakaźnych (np. ASF) określa ustawa o ochronie zdrowia zwierząt oraz zwalczaniu chorób zakaźnych u zwierząt. Odszkodowanie przysługuje w wysokości wartości rynkowej zwierzęcia, ale dotyczy tylko określonych gatunków zwierząt. I tak odszkodowanie przysługuje rolnikowi – właścicielowi wybitych strusi, kuropatw lub jeleniowatych, ale już nie przysługuje w przypadku zarządzenia wybicia zwierząt na fermie nerek. O tym, czy rolnik ma szansę na odszkodowanie na podstawie innych przepisów, decydować będą zapewne detale stanu faktycznego, dokładne brzmienie decyzji administracyjnej, ewentualne uchybienia urzędników etc.

Czy brak wprowadzenia stanu klęski żywiołowej ochroni Skarb Państwa przed wielomilionowymi odszkodowaniami dla zamkniętych firm?

Moim zdaniem nie. Brak wprowadzenia stanu klęski żywiołowej może wręcz zwiększyć wysokość potencjalnych odszkodowań. Do odszkodowań tradycyjnie zalicza się dwie grupy roszczeń: rzeczywistą szkodę majątkową oraz utracone korzyści. Gdyby ogłoszono stan klęski żywiołowej, to nie byłoby możliwe dochodzenie odszkodowania za utracone korzyści.

Czy Polska może zostać zmuszona do zapłaty odszkodowań za lockdown również zagranicznym koncernom?

Można sobie wyobrazić sytuację, w której polscy przedsiębiorcy odbijają się od ściany w związku z tym, że Trybunał Konstytucyjny zwleka z oceną konstytucyjności przepisów kolejnych rozporządzeń Rady Ministrów zakazujących prowadzenia danego rodzaju działalności gospodarczej, a wielomilionowe odszkodowania będą uzyskiwać zagraniczne koncerny.

Zróznicowanie praw przedsiębiorców polskich i zagranicznych nie będzie miało miejsca w odniesieniu do przedsiębiorców z państw członkowskich Unii Europejskiej. Polska nadal jest jednak związana z innymi państwami (np. z USA) umowami o ochronie inwestycji. O tym, jaką wagę mogą mieć rozstrzygnięcia sądów arbitrażowych na podstawie takich umów, przypominają nam sprawa PZU/Eureko oraz sięgające setek milionów złotych roszczenia austrijskiej spółki, która chciała wydobywać w Polsce węgiel kamienny.

Czy rząd ma prawo odmawiać pomocy finansowej klubom fitness czy lokalom gastronomicznym, które otworzyły się w czasie lockdownu?

Dopóki dane przepisy, na podstawie których dochodzi do takiego różnicowania przedsiębiorców, nie zostaną zakwestionowane, dopóty regulacje te będą obowiązywać. Moim zdaniem takie różnicowanie nie powinno mieć miejsca. Przy ocenie legalności takich ograniczeń znaczenie ma również to, o których instrumentach wsparcia mówimy.

Czy poszkodowany przedsiębiorca może pociągnąć do odpowiedzialności pracowników sanepidu?

Samych pracowników sanepidu będzie trudno pociągnąć do odpowiedzialności. Niemniej chcąc utrzymać nosa „krnąbrnemu służbiście”, można pokusić się o zawiadomienie właściwej prokuratury o popełnieniu przestępstwa przez funkcjonariusza publicznego, który, przekraczając swoje uprawnienia lub nie dopełniając obowiązków, działa na szkodę interesu publicznego lub prywatnego. Drugim narzędziem jest wytoczenie przez przedsiębiorcę powództwa o ochronę dóbr osobistych przeciwko kontrolującemu, który naruszył dobro osobiste przedsiębiorcy – wolność.

Na początku stycznia br. branża fitness zapowiadała pozew zbiorowy. Z kolei właścicielka restauracji Voila w Krakowie jest liderką grupy, do której ma się przyłączyć co najmniej tysiąc firm, pozywającej Skarb Państwa. Czy lepszym rozwiązaniem jest pozew zbiorowy czy indywidualny przeciwko Skarbowi Państwa?

Pozwy zbiorowe są dobrym rozwiązaniem w przypadku przedsiębiorców danej branży, którzy mieliby dochodzić odszkodowań w takiej samej wysokości. Warunkiem jest, aby dochodzone roszczenia były jednego rodzaju i były oparte na tej samej lub takiej samej podstawie faktycznej, a powodami było co najmniej 10 podmiotów. Osobiście jestem jednak zwolennikiem tego, by liczba powodów

nie była liczona w setkach lub tysiącach. W takich sprawach interes indywidualnego przedsiębiorcy i wysokość dochodzonego roszczenia ulegają rozmyciu.

Spodziewa się pan wielu pozwów przedsiębiorców?

Takich postępowań z pewnością będzie dużo. Prawdziwego wysypu postępowań należy spodziewać się po rozstrzygnięciach Trybunału Konstytucyjnego lub Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, które orzekałyby o niezgodności rozporządzeń Rady Ministrów z konstytucją lub ratyfikowanymi umowami międzynarodowymi.

Czy jako podatnicy możemy się już obawiać wyroków sądów przysięgających zamkniętym firmom wysokie odszkodowania?

Jako podatnik nie obawiam się tych wyroków, gdyż rekompensaty pozwolą na podźwignięcie gospodarki po pandemii. Na pewno odszkodowania te będą stanowiły znaczące obciążenie dla budżetu. Być może potrzebne będzie podjęcie „niepopularnych decyzji”, w szczególności ograniczenie świadczeń socjalnych. Należy jednak pamiętać, że dobrobyt państwa nie bierze się z transferów socjalnych, lecz z pracy. Miejsca pracy w naszym kraju zapewniają zaś mali i średni przedsiębiorcy. A jeśli państwo polskie swoim działaniem wywołało szkody, to powinno je naprawić.

Dlaczego rząd idzie w zaparte? Nie obawia się wypłacania odszkodowań w przyszłości?

Na pewno rząd obawia się potencjalnych skutków niekontrolowanego rozwoju epidemii. Epidemia jest faktem i należy z nią walczyć. To, co rządowi można zarzucić, to chyba zbyt „stłamszenie” przedsiębiorców i zaskakiwanie ich z dnia na dzień nowymi obostrzeniami. Wprowadzanym obostrzeniom często brakuje głębszej refleksji. Sam tryb wprowadzania ograniczeń – jak zaczynają orzekać sądy – nie jest prawidłowy. W niektórych decyzjach można też upatrywać działania grup lobbujących. Trudno mi bowiem zrozumieć, dlaczego prawie od roku działalności nie mogą prowadzić np. escape roomy, do których trzy-cztery znajome osoby przyszyłyby „pograć” w danym pokoju, a w kolejnych rozporządzeniach dozwolona działalnością jest działalność kasyn. Im bardziej jednak rząd idzie w zaparte, tym bardziej pomyślowi stają się przedsiębiorcy, którzy często nie mają już nic do stracenia i wprowadzają kolejne „obejścia” rozporządzeń.



Jakub Wozinski

Przez dwa tygodnie wydawało się, że grupa drobnych inwestorów, którzy skrzyknęli się na jednym z portali społecznościowych, jest w stanie wywrócić panującą na Wall Street hierarchię do góry nogami. Na rynkach finansowych prawdziwa konkurencja nie jest jednak mile widziana

Miraż rewolucji trwał zaskakująco długo. Na tyle długo, aby porządnie wystraszyć finansowy establishment widmem utraty kontroli nad giełdą. Gdy wydawało się już, że oto kruszeją podstawy dotychczasowego ładu, w sukurs elitom przyszedł – nomen omen – Robinhood, czyli platforma tradingowa dla niezamożnych, która przez wiele lat zdobywała klientów obietnicą darmowej gry na giełdzie.

W historii giełd miały już miejsce dziesiątki wydarzeń, które swoją dramaturgią czy też wielkością zaangażowanych środków dalece przewyższały to, co wydarzyło się na przełomie stycznia i lutego. Pomimo tego właśnie szturm na akcje mało znanej dotąd firmy GameStop zawierał w sobie potencjał do tego, aby dokonać prawdziwie epokowych zmian. Po raz pierwszy bowiem podmiotem rozdającym karty w giełdowej rozgrywce stały się anonimowe masy.

Owymi masami byli inwestorzy amatorzy, którzy zainteresowali się giełdą m.in. pod wpływem funkcjonującej na portalu Reddit grupy o nazwie WallStreetBets, na której uczestnicy wymieniają się swoimi opiniami na temat tego, w które aktywa warto inwestować. W pewnym momencie okazało się, że grupa ta stała się na tyle liczna (korzysta z niej już nawet 8 mln osób), iż uzyskała zdolność do decydowania o wycenie poszczególnych akcji. Tak właśnie stało się w przypadku sieci sklepów z grami GameStop, której akcje pozostawały od dłuższego czasu na niskim poziomie. Jak później tłumaczono, miało to wynikać głównie z tego, że posiadająca liczne oddziały stacjonarne spółka musiała liczyć się w epoce pandemii ze sporymi



Rebelia ciułaczy i zdrada Robinhooda

stratami. Innego zdania była m.in. jedna z najbardziej popularnych na redditowej grupie postaci o pseudonimie Roaring Kitty (Rycząca Kotka), której prawdziwe nazwisko brzmi Keith Patrick Gill. Zdołał przekonać setki tysięcy osób, że akcje GameStopu są przedmiotem tzw. shortu (czyli stosowanej na dużą skalę krótkiej sprzedaży przynoszącej zyski z obstawiana spadku kursu) stosowanego przez fundusze inwestycyjne i jeśli tylko odpowiednia liczba osób zdecyduje się na kupno, to akcje pójdą mocno w górę.

Pospolite ruszenie internautów przyniosło oszałamiający sukces, gdyż akcje GameStopu, które przez większą część zeszłego roku warte były mniej niż 10 dol., nagle wzrosły do poziomu nawet 350 dol. Wtedy właśnie zaczęła się panika. Fundusze inwestycyjne, które grały na spadek (m.in. Melvin Capital i Citron Research), zaczęły ponosić kolosalne straty

i pospiesznie zlikwidowały swoje pozycje. Z zewnątrz przedstawiało się to na samodzielny triumf pospolitego ruszenia z Reddita, lecz – jak się później okazało – wielki udział w skutecznym podbiciu ceny akcji GameStopu miały także inne fundusze inwestycyjne (m.in. Senvest Management zarobił na czysto 700 mln dol.).

WINA TRUMPA?

Najbardziej komicznym aspektem zamieszania, które wytworzyło się wokół akcji GameStopu, było powszechne oburzenie amerykańskich elit. Nieoceniona stacja telewizyjna CNN w jednym z komentarzy wyraziła nawet przekonanie, że winny wszystkiemu jest... Donald Trump, gdyż Reddit uchodzi za portal gromadzący głównie jego zwolenników. Głosy potępiające nieodpowiedzialnych inwestorów amatorów padały zarówno z lewa, jak i z prawa, dzięki czemu jak rzadko



Zachęcenii swoim sukcesem internauci z Reddita dokonali wkrótce szturm na kolejne aktywa. Niedługo okazało się jednak, że ich siła nie jest wystarczająca do tego, aby odnieść równie spektakularny sukces. Bolesne zderzenie z rzeczywistością nastąpiło w szczególności na rynku srebra. Początkowo pospolitemu ruszeniu udało się podbić cenę kruszcu nawet o 8 proc., lecz internetowi gracze zdecydowanie przecenili zakres gry na spadek przez wielkie podmioty.

EUFORIA NIE GAŚNIE

Pomimo tego grupa WallStreetBets nieustannie przyciąga nowe osoby, które w zbiorowym działaniu widzą szansę na osiągnięcie znacznie większych zysków niż grze na własny rachunek. Internetowi ciułacze wiedzą już, że tak świetna okazja do zarobku jak w przypadku GameStopu więcej się nie pojawi, ale liczą, że podobny efekt można jeszcze uzyskać w mniejszej skali. Wysiłki internautów już dawno zostały jednak rozpracowane i powstał nawet serwis swaggystocks.com, który umożliwia odczytywanie wszystkich trendów obecnych w dyskusjach użytkowników Reddita. Innymi słowy, pospolite ruszenie drobnych inwestorów zostało już na dobrą sprawę rozpracowane, a jego działania stały się dla całego rynku w pełni przewidywalne. Wspólne skrzykiwanie się do szturm na akcje danej spółki miałyby wciąż sens, ale musiałyby się to dokonywać nie za pomocą ogólnodostępnego serwisu społecznościowego, lecz nieco bardziej wyrafinowanego medium. Jak jednak skrzyknąć do wspólnego działania kilkanaście milionów osób jednocześnie?

Zamieszanie wokół GameStopu zdążyło już także przykuć uwagę władz, a główni bohaterowie zostali zaproszeni na przesłuchanie przed senacką komisją. Na pytania polityków odpowiadali m.in. wspomniany już przywódca redditowej rebelii Keith Patrick Gill, szef Reddita Steven Huffman, a także współzałożyciel Robinhooda Vlad Tenev. Najwięcej uwagi poświęcono ostatniemu z nich, co nie powinno dziwić, biorąc pod uwagę niedościenne zachowanie firmy w sytuacji, gdy jej serwery były rozpalone do czerwoności od liczby zawieranych transakcji.

Niewykluczone, że sprawa GameStopu przyczyni się do tego, że administracja Bidena poważnie rozważy wprowadzenie podatku od zawieranych na giełdzie transakcji. Zdaniem wielu osób związa-

nych z Partią Demokratyczną pomogłoby to ukroćć wszechwładzę potężnych inwestorów, którzy dokonując za pomocą superkomputerów ogromnej liczby transakcji, posiadają ogromną przewagę nad drobnymi graczami.

INWESTOWANIE WCIĄŻ NIE DLA KAŻDEGO

Wydaje się, że prawdziwe źródło problemu, który ujawnił się przy okazji szturm na akcje GameStopu, leży zupełnie gdzie indziej. Wbrew wszelkim pozorom rynki finansowe tak naprawdę nie znoszą realnej konkurencji, o czym świadczy chociażby to, że mający pierwotnie przybliżyć masom granie na giełdzie Robinhood okazał się tak naprawdę działać na korzyść finansowego establishmentu. W ciągu ostatnich lat na całym świecie upowszechniły się platformy tradingowe – dostępne nawet na smartfonie – które przyciągnęły do giełd miliony nowych osób. W większości zapewniają jednak zaledwie miraż realnej gry na giełdzie, gdyż tzw. detaliczni inwestorzy (głównie z młodego pokolenia) są ostatecznie skazani w obrocie giełdowym na pośrednictwo dużych podmiotów. Wielkie podmioty są zaś powiązane szeregiem kapitałowych zależności i rzadko kiedy rzucają sobie wyzwanie. W „świątyni kapitalizmu” panuje ustalony porządek dziobania i dlatego stosunkowo niewielka w swojej skali próba wyłamania się z niego przez internautów z Reddita wywołała tak duży szok. Z tego samego powodu politycy z obu wiodących amerykańskich partii zaczęli nawoływać do tego, aby ograniczyć „inwestorom bez odpowiedniej wiedzy” możliwość grania na giełdzie. Każdego dnia wielkie fundusze obracają bilionami dolarów należących do Amerykanów, m.in. w ramach planów emerytalnych, lecz samodzielne inwestycje budzą – jak widać – coraz większy niepokój.

Tradycyjnym podsumowaniem każdej afery na Wall Street jest zawsze produkcja filmowa. Założyciel grupy WallStreetBets Jamie Rogozinski sprzedał już nawet jednej z wytwórni prawa do ekranizacji swoich losów. Jest to bez wątpienia ewenement, ponieważ wielka przygoda redditowej grupy tak naprawdę jeszcze nawet się nie skończyła. Najwidoczniej jednak istnieje bardzo silna potrzeba, aby za pomocą produkcji filmowej nadać całemu wydarzeniu odpowiednią interpretację.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



TEST „DO RZECZY”: SMART HOME PO NIEMIECKU

oraz produkty umożliwiające zdalne sterowanie ogrzewaniem. Tym razem do testów wzięliśmy dwa gadżety z półki Smart Home: inteligentną żarówkę FRITZ!DECT 500 oraz wielofunkcyjny przycisk FRITZ!DECT 440 wyposażony w wyświetlacz typu e-papier z dużym kontrastem. Dzięki zastosowaniu standardu DECT ULE podłączenie nowych gadżetów do domowej sieci wi-fi zajmuje zaledwie kilkadziesiąt sekund. Miałem jednak problemy z takim ustawieniem gadżetów, aby można było nimi sterować

zdalnie również wtedy, gdy jesteśmy poza zasięgiem macierzystej sieci.

Żarówka FRITZ!DECT 500 – dostosowana do popularnych gwintów typu E27 – może świecić białym lub kolorowym światłem, a dokładniej jednym z 16 mln kolorów.

Dzięki czemu niczym

Ryszard Ochódzki, jeśli się o czymś myśli, to można zapalić niebieskie. Za pomocą aplikacji w łatwy sposób można zmienić temperaturę barw, a także poziom jasności tak, by podczas pracy żarówka świeciła na 100 proc., ale już wieczorem można łatwo ją przyćmiewić. Szkoda jednak, że – w przeciwieństwie do produktów konkurencji – nie można ustawić programu, który np. rano budziłby, automatycznie

rozjaśniając pomieszczenie, imitując wschód słońca, a wieczorem, o ustalonej przez użytkownika godzinie, szykowałby jego romantyczny zachód.

Żarówkę można obsługiwać za pomocą smartfona albo np. inteligentnego przycisku FRITZ!DECT 440. Do jednego „pilota” z czterema klawiszami można podłączyć 12 inteligentnych urządzeń firmy AVM i np. ściemniać lub rozjaśniać podłączone żarówki, regulować temperaturę w pomieszczeniach poprzez inteligentny termostat albo włączać i wyłączać sprzęty podłączone za pomocą inteligentnych gniazdek elektrycznych. Nowy gadżet ma ergonomiczny kształt, a jego obsługa jest intuicyjna. Szkoda jednak, że FRITZ!DECT 440 nie wyświetla na ekranie polskich liter.

Wady? Dla wielu użytkowników podstawowy minus testowanych gadżetów jest taki, że aby móc korzystać z nowych produktów FRITZ!, trzeba posiadać np. router FRITZ!BOX. Fanom niemieckiej firmy, którym nie przeszkadza ograniczenie całego systemu do jednego producenta, nowe gadżety mogą się jednak spodobać. Szkoda też, że AVM potrzebuje oddzielnej aplikacji do obsługi routera i oddzielnej do sterowania urządzeniami inteligentnego domu. I trzeci minus: tradycyjnie urządzenia AVM nie należą do najtańszych na rynku.

Cena inteligentnej żarówki FRITZ!DECT 500 wynosi 149 zł. Sterownik FRITZ!DECT 440 kosztuje zaś 224 zł. ©©

Jacek Przybylski

Dobra jakość wykonania, szybka konfiguracja i stabilność połączenia – to największe zalety nowych produktów dla inteligentnego domu firmy AVM, znanego niemieckiego producenta urządzeń sieciowych.

Firma już wcześniej wprowadziła na rynek inteligentne gniazda rejestrujące zużycie prądu

SMARTFON SKŁADANY DO ŚRODKA

Mate X2 to już trzeci składany smartfon w portfolio Huawei. Po raz pierwszy w smartfonie chińskiej firmy zastosowano jednak aż dwa wyświetlacze: zewnętrzny i wewnętrzny, dzięki czemu można korzystać ze smartfona jak z tabletu. Zewnętrzny ekran OLED ma przekątną 6,45 cala, a po rozłożeniu użytkownik może korzystać z aż 8-calowego wyświetlacza wewnętrznego. Nowy model wyróżnia także możliwość składania większego wyświetlacza do środka urządzenia. W Mate X2 zastosowano najpotężniejszy procesor marki – Kirin 9000, obsługujący sieć 5G, oraz baterię o dużej pojemności 4500 mAh. Aparat fotograficzny smartfona został wyposażony w system obiektywów Ultra Vision Leica Quad Camera. Główny obiektyw ułożono w matrycę o roz-

dzielczości 50 MP. Nowy model trafi do sprzedaży 25 lutego. Na razie tylko na rynku chińskim.

SUSZARKA ZAMIAST PRALNI CHEMICZNEJ?

Na rynku pojawiła się suszarka do ubrań i-Pro 7 HD90-A2979 marki Haier. Ma 14 programów su-

szenia, dzięki czemu można w niej suszyć wełnę oraz kaszmir. Najciekawsza w tym modelu jest jednak funkcja i-Refresh. Producent deklaruje, że dzięki niej bez odwiedzania pralni chemicznej szybko i skutecznie można uporać się z wiosennym odświeżeniem garderoby. Technologia mikropary usuwa bowiem niechciane zapachy oraz ogranicza liczbę zagnieceń. A wszystko to bez wody i detergentów. Podobnie jak w nowoczesnych produktach konkurencji w urządzeniu zastosowano technologię pompy ciepła, która sprawia, że suszarka pobiera mniej prądu i nie niszczy tak prania jak zwykle suszarki bębnowe. Cena: 3049 zł. ©©

Jacek Przybylski



Krajowy Plan Odbudowy – czego powinniśmy oczekiwać?

Polska wciąż jest krajem, który goni bogate państwa Europy Zachodniej. Fakt, jesteśmy coraz bogatsi i gołym okiem możemy zauważyć zmiany, jakie u nas zaszły w ciągu ostatnich 30 lat. W dalszym ciągu jednak przed nami wiele wyzwań. Do średniej unijnej dochodu na głowę z uwzględnieniem siły nabywczej brakuje nam dwudziestu paru punktów procentowych. Do najzamożniejszych w Unii ten dystans jest jeszcze większy. Tak, on się skraca, ale droga przed nami długa, aby go zupełnie pokonać.

Osiągnięcie tego celu wymaga zmian na wielu polach. W dalszym ciągu mamy nieefektywną administrację, skomplikowany system podatkowy i wolno działające sądy. To trudności, których nie wyeliminują żadne pieniądze pompowane w gospodarkę. Tutaj potrzebne są zmiany legislacyjne i nowe podejście do wzrostu gospodarczego. Głębokie reformy zacząć trzeba od administracji. Ona pełnić musi funkcję służebną, powinna pomagać, a nie przeszkadzać. I podatki – także tutaj jest jeszcze wiele do zrobienia. Według międzynarodowych rankingów mamy jeden z najbardziej skomplikowanych systemów podatkowych w krajach OECD. To potężna bariera rozwojowa. Od lat dużo się o tym mówi i od lat niewiele się zmienia. Wymiar sprawiedliwości to kolejny obszar, który wymaga natychmiastowej przebudowy. W obecnej jego formie chyba już mało który przedsiębiorca liczy na sprawne i obiektywne zakończenie procesu.

W ostatnich dniach zaczęły się konsultacje Krajowego Planu Odbudowy (KPO). Na podstawie tego dokumentu uruchomionych ma zostać ponad 250 mld zł przypadających na Polskę z unijnego Funduszu Odbudowy (większość środków ma charakter zwrotny). Jeśli KPO zostanie zatwierdzony przez Komisję Europejską, to pieniądze te mogą zacząć płynąć do gospodarki jeszcze w tym roku. To duży zastrzyk środków. Dzięki nim można stworzyć odpowiednie warunki do stabilnego i dynamicznego wzrostu gospodarczego. Takie fundamenty to lepsze prawo i sprawna administracja dające przedsiębiorstwom możliwość



Piotr Hofman

uruchomienia drzemiącej w nich energii. Nie musimy przecież z utęsknieniem patrzeć na Estonię jako kraj, któremu udało się dokonać głębokich reform i dać tym samym impuls do inwestycji. Sami możemy wprowadzić podobne rozwiązania. Jeśli już jednak o pieniądzach mowa, to warto, aby te gigantyczne środki trafiły przede wszystkim do firm z polskim kapitałem. To one muszą być głównym beneficjentem planowanych przez rząd inwestycji. Należy stworzyć im warunki do szerokiej partycypacji w realizacji kluczowych przedsięwzięć, jakie są planowane w ramach KPO czy Nowego Polskiego Ładu. Te miliardy zostać muszą w kraju i służyć budowaniu innowacyjnych, konkurencyjnych polskich przedsiębiorstw. Polski kapitał akumulowany jest w podmiotach z sektora MŚP i to o nie właśnie trzeba się szczególnie zatroszczyć, myśląc o inwestycjach i wydatkach. Potrzebujemy zatem inteligentnego systemu zamówień publicznych, który pozwoli środki publiczne wykorzystać do zgłaszania popytu na innowacyjne rozwiązania motywujące rodzimy biznes do rozwoju. O sile polskiej gospodarki w najbliższych latach decydować będą zatem dobre regulacje i takie organizowanie inwestycji, które zwiększy potencjał krajowych firm. Takiej odbudowy potrzebujemy. Czy chcemy, czy nie, czasy po pandemii wymagają nowych rozwiązań. Światowy kryzys związany z epidemią koronawirusa będzie czasem rewizji dotychczasowych modeli i schematów funkcjonowania każdego obszaru

życia. Rząd zdaje sobie z tego sprawę, dlatego angażuje się w pracę nad Nowym Polskim Ładem i konsultuje Krajowy Plan Odbudowy. Oprzeć się on ma na pięciu filarach. Pierwszy i najważniejszy z nich to odbudowa konkurencyjności polskiej gospodarki. Wspomagają go kolejne cztery filary: cyfryzacja, sprawny sektor zdrowia, mobilna/inteligentna Polska oraz zmiany w zakresie klimatu. Nowy Ład to jawne nawiązanie do czasów prezydenta Roosevelta. W USA jego reformy ekonomiczne po wielkim kryzysie lat 20. i 30. XX w. podniosły kraj z zapaści i zmieniły paradygmat gospodarczy – otworzyły drogę do szerszych ingerencji państwowych w politykę gospodarczą na całym świecie. Według polskiego planu główna pomoc dla sektora MŚP ma się opierać na inwestycjach produkcyjnych oraz zwiększeniu kompetencji kadry i pracowników. Kolejne działania mają pobudzić wdrożenia innowacyjnych, cyfrowych rozwiązań w przedsiębiorstwach. Pozwoli to na wprowadzanie transformacji w kierunku Przemysłu 4.0. Od dawna mówi się, że rewolucja przemysłowa 4.0 może być kołem zamachowym nowego ładu ekonomicznego. Czwarta rewolucja przemysłowa to proces transformacji technologicznej i organizacyjnej przedsiębiorstw, który obejmuje m.in. cyfryzację produktów i usług, wprowadzanie nowych modeli biznesowych i integrację całego łańcucha wartości.

Każdy światowy kryzys pozostawia po sobie inną rzeczywistość. Będziemy świadkami przemian gospodarczych, nowych modeli funkcjonowania w społeczeństwie i kulturze oraz wykorzystania technologii. Inaczej będziemy postrzegać kwestie zdrowotne czy ekologiczne. Zmieniają się sposoby działania przedsiębiorstw i modele zachowań konsumentów. Światowe gospodarki stoją obecnie przed koniecznością dostosowania się do nowych realiów. Te, które zrobią to najszybciej, mają szansę uzyskać przewagę, te które przegapią okres transformacji, mogą pozostać w tyle na długie lata, jeśli nie dekady. Mamy szansę być wśród liderów, potrzebne są tylko przemyślane i mądre decyzje oraz odwaga i konsekwencja w ich wprowadzaniu.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Pandemia nie-COVID-19

Ilu jeszcze ludzi musi „ponadwymiarowo” umrzeć na nie-COVID-19 – „ponadwymiarowo”, a więc w liczbie większej, niż umierali wcześniej – by rządy przyznały, że w walce z COVID-19 zastosowały (i, co gorsza, w większości krajów nadal stosują) lek gorszy od choroby, której ma zaradzić; lek, który na potęgę zabija? Ilu jeszcze Polaków musi „ponadwymiarowo” umrzeć na nie-COVID-19 – „ponadwymiarowo”, a więc w liczbie większej, niż umierali wcześniej – by rząd Polski przyznał, że w walce z COVID-19 zastosował (i, co gorsza, nadal stosuje) lek gorszy od choroby, której ma zaradzić; lek, który na potęgę zabija?

Rzecz jasna nie znam odpowiedzi na te pytania, lecz konkluzja, że rządy – w tym nasz rząd – nie zachowują się tak, jakby postradały zmysły na punkcie COVID-19, staje się coraz trudniejsza do obrony. Aby pojąć, że tak właśnie – na nasze nieszczęście – sprawy się mają, wystarczy przypomnieć, iż w 2020 r. w Polsce zmarło – według raportu przygotowanego przez Ministerstwo Zdrowia – aż o 67 tys. osób więcej niż w roku 2019. To oznacza, że zgonów było aż o jedną szóstą więcej niż rok wcześniej. Mało tego, była to największa liczba zgonów w Polsce od końca drugiej wojny światowej, od 1945 r. I nie da się, choćby nie wiem, jak kto się starał, winy za ten fatalny rekord zwalić na koronawirusa, ponieważ z powodu

samego COVID-19 w 2020 r. zmarło w Polsce 5,4 tys. osób, a z powodu COVID-19 w powiązaniu z chorobami współistniejącymi – 23 tys. osób. A to oznacza, że niemal 40 tys. „ponadwymiarowych” zmarłych osób odeszło z tego świata z powodu innych chorób – i nie sposób ich zgonów wyjaśnić inaczej aniżeli tym, że zmarły one z powodu prowadzenia przez rząd walki z COVID-19 takimi, a nie innymi metodami, czyli lockdownem polegającym na zamknięciu sporej części gospodarki i ludzi w domach oraz niesłychanymi utrudnieniami w dostępie do służby zdrowia.

I co gorsza, dane te – powszechnie przecież znane – do tej pory nie wywołały żadnej refleksji, a w każdym razie nic nie wiadomo o tym, aby miały doprowadzić do rewizji metod walki z COVID-19. Nadal lockdown goni lockdown, a dostanie się do lekarza, nawet „przez telefon”, graniczy z cudem.

Może, jak to z tego rodzaju decyzjami bywa – zważywszy na ich ogromne koszty i także wpływ na życie bardzo wielu ludzi, i to przez długi czas – rządzącym trudno się dziś przyznać (także przed samymi sobą), że kroki przedsięwzięte przez nich w walce z COVID-19, kroki przedsięwzięte przecież w słusznej sprawie i z dobrymi intencjami, w dodatku przedsięwzięte nie tylko przez rząd Polski, lecz także przez większość pozostałych, mogły być jednak niewłaściwe, błędne? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Dawać więcej lockdownu!

Są dwie metody podejścia do problemów w razie braku rezultatów. Metoda pierwsza: skoro dotychczasowe metody nie działają, to szukamy innych, zmieniamy podejście, staramy się zobaczyć problem w nowym świetle. Metoda druga: dotychczasowe podejście nie działa? Przecież w końcu musi, więc dajmy więcej tego samego. To trochę tak, jakby ktoś był przekonany, że musi się przecież unieść w powietrze, machając ramionami. A że się nie unosi, to widocznie wciąż za wolno macha.

potwierdza wnioski badaczy takich jak z Uniwersytetu Stanforda, którzy na podstawie danych z wiosny ubiegłego roku stwierdzili, że nie ma większej zależności między lockdownami a przebiegiem epidemii.

W tym samym momencie Szwedzi (praktycznie brak lockdownu od początku epidemii) mają niespełna 400 przypadków na milion mieszkańców, a zgonów po kilkanaście dziennie. Wielekrotnie mniej niż w będącej gdzieś w połowie drogi pod względem restrykcji między Czechami a Szwecją Polsce.

Brak zależności między restrykcjami a przebiegiem epidemii widać gołym okiem. I zapewne dlatego – choć również z powodów politycznych – gubernator Teksasu Greg Abbott zdecydował o całkowitym otwarciu stanu, ze zniesieniem obowiązku noszenia maseczek włącznie. To policzek dla Joe Bidena, który z maseczki zrobił swój znak firmowy, mający go odróżniać od Donalda Trumpa. „Zbyt wielu Teksaszczyków zostało pozbawionych możliwości znalezienia pracy. Zbyt wielu drobnych przedsiębiorców nie może zapłacić rachunków. To się musi skończyć!” – oznajmił Abbott. Michigan, Luizjana i Missisipi również zniosły ograniczenia. Pozostaje nam teraz obserwować, jak będzie się tam rozwijać sytuacja. Przecież zgodnie z prognozami osób takich jak dr Sutkowski ulice Dallas za moment powinny zapełnić się trupami. ©©

**Badacze
z Uniwersytetu
Stanforda
stwierdzili,
że nie ma większej
zależności między
lockdownami
a przebiegiem
epidemii**

W tę stronę w sprawie epidemii idą bardzo konsekwentnie Czesi, mający dzisiaj jedną z najgorszych sytuacji epidemicznych w Europie (ponad 1,1 tys. przypadków na milion mieszkańców). Tyle że Czesi trwają w nieustannie odnawianym stanie wyjątkowym od początku listopada, a lockdown trwa w różnym zakresie od października ubiegłego roku. I co? I nic. Nie widać, żeby miało to jakikolwiek wpływ na sytuację epidemiczną, co doskonale

DODATEK SPECJALNY

Tenisowa siła kobiet

- Jak się zmieniał kobiecy tenis w Polsce – od Jadwigi Jędrzejowskiej do Igi Świątek
- Z Raszyna do Paryża i dalej – historia mistrzostwa Igi Świątek



MECENAS WYDANIA





W lipcu na kortach Klubu Tenisowego Arka Gdynia odbędzie się turniej tenisa WTA 250. FOT. KLUB TENISOWY ARKA/FACEBOOK

Wielki tenis w Gdyni



Łukasz Zboralski

Firma, której prezesem jest ojciec Igi Świątek, zorganizuje latem w Gdyni tenisowy turniej kobiet WTA 250. Mogą w nim zagrać topowe zawodniczki

To świetna wiadomość dla fanów tenisa w Polsce. Po latach przerwy nad Wisłę wróci turniej z cyklu WTA. W dniach 17–25 lipca 2021 r. na kortach Klubu Tenisowego Arka w Gdyni rozegrany zostanie tenisowy turniej kobiet. Będzie to turniej WTA 250 – to ostatnia kategoria turniejów w tym cyklu. Imprezy tej rangi, a rozgrywanymi jest ich 30 w ciągu roku, mają pulę nagród sięgającą 250 tys. dol. Już wiadomo, że w gdyńskim turnieju pula nagród wynosić będzie 235 tys. dol. Zwycięzcy imprezy zdobędzie 280 pkt w rankingu WTA. Ostatni turniej kobiecy tego typu odbył się w Katowicach w 2016 r.

– Cieszymy się z powrotu cyklu WTA Tour do Polski

i jestem przekonany, że WTA 250 w Gdyni będzie wydarzeniem na światowym poziomie. Polska ma bogate tenisowe tradycje i wspaniałe zawodniczki z cyklu WTA od Agnieszki Radwańskiej do wschodzącej gwiazdy Igi Świątek. Jesteśmy pewni, że turniej odniesie wielki sukces w połączeniu ze wsparciem wspaniałych polskich kibiców – mówi cytowany przez Gdyńskie Centrum Sportu Steve Simon, przewodniczący i dyrektor generalny WTA.

Organizatorem turnieju jest firma Tennis Consulting, której prezesem jest ojciec najlepszej polskiej tenisistki. – Pragniemy stworzyć wydarzenie, które stanie się silną marką w świecie sportu i przyciągnie do Polski

gwiazdy tenisa. Zważywszy na globalny zasięg dyscypliny, mam nadzieję, że turniej w Gdyni będzie też świetną promocją naszego kraju za granicą – objaśniał Tomasz Świątek, prezes Zarządu Tennis Consulting. Dał też do zrozumienia w mediach, że w uzyskaniu licencji na turnieje pomogły sukcesy Igi. Dużą pomocą miał służyć też znany polski deblista Marcin Matkowski. I to Matkowski został dyrektorem nowego turnieju.

Prezydent Gdyni Wojciech Szczurek stwierdził, że to dzięki Idzie Świątek kibice

na świecie przypomnieli sobie o sile polskiego tenisa. Samorządowiec obiecywał, że gdyńskie wydarzenie stać będzie na najwyższym poziomie organizacyjnym.

Tomasz Świątek zdradził, że w turnieju w Gdyni ma zagrać jego córka. Dzięki tym rozgrywkom szanse na zdobywanie punktów w rankingu WTA będą też mieć inne zawodniczki z Polski. Termin imprezy będzie jednak dla wielu kłopotliwy. Najważniejsze mecze turnieju w Gdyni rozegrane zostaną bowiem 24–25 lipca. Tymczasem w piątek 23 lipca rozpoczyna się igrzyska olimpijskie w Tokio. Sama Iga Świątek, aktualnie 15. w rankingu WTA, po wygraniu niedawnego turnieju w Adelajdzie zdradziła, że jej głównym celem w tym roku jest właśnie olimpiada. – Moim głównym celem są tegoroczne igrzyska olimpijskie i dobry występ. Nie deklaruje, że zdobędę medal, bo to nałożyłoby na mnie dodatkową presję i oczekiwania – powiedziała polska zawodniczka.

Jeśli w tym roku część topowych zawodniczek zdecyduje się ze względu na olimpiadę pominąć polski turniej, to nic straconego – jak ujawnił już w magazynie Tenisklub.pl Tomasz Świątek, umowa na organizację WTA 250 w Gdyni została podpisana na pięć lat.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wyniki Australian Open 2021

W ostatnio rozegranym turnieju Wielkiego Szlema w Australii polska zawodniczka – Iga Świątek – dotarła do czwartej rundy. W meczu o ćwierćfinał uległa Simonie Halep (6:3, 1:6, 4:6). Za dotarcie do czwartej rundy Polka otrzymała 320 tys. dol.

Wśród kobiet w Australii triumfowała Naomi Ōsaka, pokonując Jennifer Brady (6:4, 6:3). Wśród mężczyzn tytuł obronił Novak Djoković (po raz dziewiąty zdobywając trofeum), który pokonał w finale Daniłła Miedwediewa (7:5, 6:2, 6:2).

W deblu mężczyzn tytuł zdobyli Ivan Dodig i Filip Polášek, którzy zwyciężyli parę Rajeev Ram – Joe Salisbury (6:3, 6:4). W grze podwójnej kobiet zwyciężyły Elise Mertens i Aryna Sabalenka, pokonując Barbórę Krejčíkovą i Katerinę Siniakovą (6:2, 6:3).

Adelajda w Australii, ostatni weekend lutego. Mecz finałowy turnieju serii WTA 500. Na twardej, niebieskiej kort wychodzą Iga Świątek i Belinda Bencic. Szwajcarka jest nie tylko o cztery lata starsza od 19-letniej Polki, lecz także jest wyżej sklasyfikowana (12. miejsce na świecie wśród kobiet, Polka po Australian Open sklasyfikowana była na miejscu 18.). Ale to Świątek w tym meczu dyktuje warunki gry. Finał – tak jak poprzednie mecze tego turnieju – kończy bez utraty seta, wygrywając 6:2, 6:2.

Po zwycięstwie Iga Świątek wyznaje, że to dowód, iż triumf w 2020 r. we French Open to nie przypadek. – Daje mi to większą pewność, że jestem bardziej rozwiniętym graczem i częściej potrafię grać dobrze. Naprawdę się z tego cieszę – mówi Świątek.

DROGA NA SZCZYT

Jeszcze zanim Iga Świątek sięgnęła po puchar Roland Garros, widać było, że nastolatka z Raszyna pod Warszawą ma ogromny potencjał tenisowy. Szeroka publiczność zrozumiała to w 2019 r., po turnieju we włoskim Lugano. 17-letnia wówczas Świątek doszła tam do finału, w którym niewiele zabrakło jej do wygranej ze Słowenką Poloną Hercog. Iga przegrała, ale do kraju wróciła jako numer jeden w polskim kobiecym tenisie. To wówczas zagwarantowała sobie start w wielkoszlemowym French Open.

Eksperci zauważyli Polkę, ale byli jeszcze powściągliwi w ocenach. W przypadku nastolatka przebieżki w turniejach muszą stać się czymś regularnym, by mówić o formacie zawodnika. Iga swój format potwierdziła błyskawicznie.

Na francuskiej mączce Polka zrobiła to, na co od początku historii polskiego tenisa czekał kraj – zdobyła trofeum jednego z czterech



PZU Głównym Partnerem Igi Świątek – na zdjęciu dr hab. Beata Kozłowska-Chyłła, prezes PZU, i Iga Świątek. FOT. IDA PODSIEBIEJSKA/PZU SA

Z Raszyna do Paryża i dalej



Łukasz Zboralski

Miała zaledwie 17 lat, gdy została rakieta numer jeden w naszym kraju. Dwa lata później, jako pierwsza Polka w historii, triumfowała na turnieju wielkoszlemowym. A jej kariera dopiero się rozpędza – właśnie wygrała kolejny turniej

najważniejszych turniejów tenisowych. To nie udało się przedtem żadnej kobiecie ani też żadnemu mężczyźnie znad Wisły. Wygrywając French Open, Iga wskoczyła na 18. pozycję rankingu WTA.

NA BASEN I KORTY

Po Adelajdzie nie tylko Świątek, lecz także obserwatorzy tenisa są już przekonani, że Polka wdarła się do światowej czołówki nie przez przypadek. Droga do tego momentu w karierze – jeszcze wciąż przełomowego – tak jak w przypadku wielu sportowców była długa i wymagająca ogromu pracy.

Do sportu Igę popchnął ojciec. Tomasz Świątek jest wioślarzem. W 1988 r.

w czwórce podwójnej startował jako reprezentant Polski na olimpiadzie w Seulu. Obie córki – także siostrę Igi, Agatę – zabrał najpierw na basen, a potem na korty. Jak wspominał wcześniej w „Do Rzeczy” Adam Romer, redaktor naczelny „Tenisklubu”, Iga już w wieku 13 lat wyróżniała się na kortach potencjałem uderzeń i zaciętością w rywalizacji.

Jednak by dotrzeć do zawodowej czołówki, młody zawodnik i jego cała rodzina muszą jeszcze ponieść ogromny wysiłek, także finansowy. – Dochodzenie do czołówki tenisa to ogromne koszty. Kiedy młody zawodnik i jego rodzina decydują się na ścieżkę zawodową w tej dyscyplinie sportu, muszą

liczyć się z kosztami za korty, sprzęt, trenerów, odpowiednią dietę i podróże – mówi „Do Rzeczy” Iga Świątek. I dodaje: – Im wyższy poziom, tym nakłady rosną, jednak kiedy dochodzi się do czołówki, bilans jest nieco bardziej korzystny. Najtrudniejszy pod względem kosztów jest więc zdecydowanie okres dochodzenia do zawodowego poziomu.

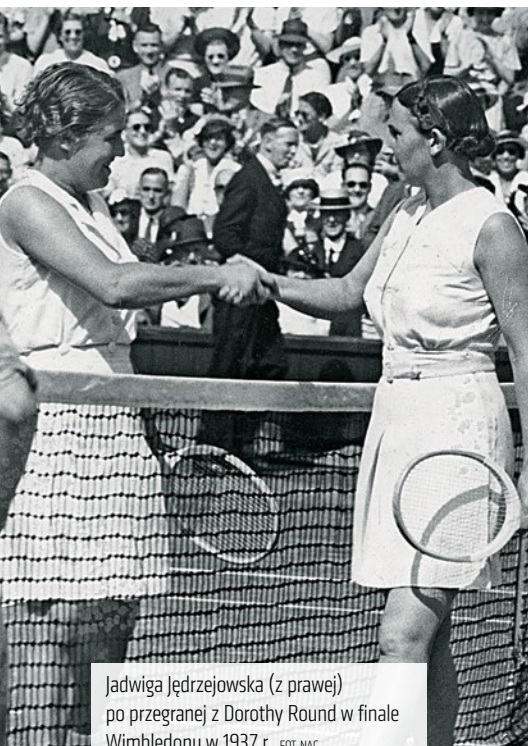
Dzisiaj polska triumfatorka dwóch turniejów pod tym względem jest już zabezpieczona. O Igę biją się duże marki, które widzą jej ogromny potencjał. Od występów w Australii w lutym Świątek występuje w koszulce z logo PZU, największego polskiego ubezpieczyciela.

– Trudno jest być wszędzie i zadbać o wszystko – od sportowego rozwoju przez sprawy organizacyjne do finansowego bezpieczeństwa. Mam nadzieję, że wsparcie solidnego partnera, jakim jest PZU, będzie dla Igi swoistą polisą, która zapewni jej spokój i stabilizację pozwalającą całkowicie skoncentrować się na grze. Wtedy łącząc swój talent z pracowitością, będzie nie do zatrzymania – mówi dr hab. Beata Kozłowska-Chyłła, prezes PZU.

Z PZU związała się na trzy lata. Polską markę na jej strojach będziemy więc oglądać w turniejach Wielkiego Szlema, a także podczas rozgrywek WTA Tour.

– PZU zapewnia mi przede wszystkim bezpieczeństwo, dzięki czemu mogę koncentrować się na treningach. Poza tym cieszę się, że mogę promować polską markę, to dla mnie ważne – mówi Iga Świątek. – Mam świadomość, że setki tysięcy osób ogląda każdy mój mecz, a tym samym widzi logo PZU. Cieszę się również na nasze przyszłe kampanie, podczas których będziemy promować ważne wartości związane z bezpieczeństwem, rozwojem i zdrowiem – dodaje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jadwiga Jędrzejowska (z prawej)
po przegranej z Dorothy Round w finale
Wimbledonu w 1937 r. FOT. NAC



Wiera Richterówna, pierwsza mistrzyni
Polski w tenisie FOT. NAC



Agnieszka Radwańska była najwyższej
sklasyfikowaną Polką w erze open
– na drugim miejscu rankingu WTA

FOT. TYTUS ZMIJEWSKI/PAP



Łukasz Zboralski

Polki liczyły się w tenisie już w czasach, gdy zawodniczki grały w długich białych spódnicach. Choć najważniejsza karta historii tego sportu została zapisana całkiem niedawno

Tenis w Polsce znany był już w końcu XIX w. Wówczas zwany był lawn tennisem, bo właśnie wersja tenisa na trawie opracowana w Wielkiej Brytanii rozpowszechniła się na świecie. Jednak w tamtych czasach gra była jedynie rozrywką wyższych sfer.

Na przełomie XIX i XX w. na terenach Rzeczypospolitej rejestrowano już kluby i sekcje lawntennisowe. Najprężniej ta dyscyplina rozwijała się w ośrodku krakowskim. W zaborze austriackim jedną z najlepszych tenisistek była Wanda Nowak-Dubieńska, jedna z późniejszych czołowych wszechstronnych sportsmenek odrodzonej Polski. Dość wspomnieć, że jako pierwsza Polka startowała na olimpiadzie we florecie (Paryż 1924 r.) i należała do czołówki biegaczek narciarskich (mistrzyni kraju w biegu na 8 km w 1924 r.). To właśnie ona obroniła się

przed atakującą czołówką kobiecego tenisa w kraju Jadwigą Jędrzejowską, gdy w 1928 r. odprowadziła młodszą zawodniczkę w finale mistrzostw kraju.

W międzywojennej Polsce panie rozgrywały swoje mistrzostwa od 1921 r., gdy powstał też Polski Związek Lawn-Tenisowy. Kobiecy tenis był więc nad Wisłą gotowy, gdy na świecie zaczęła się zawodowa gra kobieca – za cezurę uważa się rok 1926, w którym serię pokazowych meczów dały Francuzka Suzanne Lenglen i Amerykanka Mary Kendall Browne (Browne przegrała wszystkie 38 pokazowych meczów).

Wówczas jeszcze na kortach dominowała biel. I nie tylko biel – stroje pań zakrywały całe ciało. Były więc białe koszule z długimi rękawami i długie spódnice lub suknie. Pojawiały się już jednak pierwsze wyłomy w tej tradycji.

Wspomniana Lenglen, gdy wygrywała jako debutantka Wimbledon w 1919 r., „szokowała” publiczność strojem z odkrytymi ramionami i spódnicą sięgającą do połowy łydki (oraz tym, że w przerwach gry wzmacniała się alkoholem).

ZAPOMNIANA PIERWSZA MISTRZYNI

Choć w świadomości Polaków jako legenda międzywojennego tenisa zapisała się Jędrzejowska, to pierwszą rakieta nad Wisłą była przez kilka lat przed nią inna zawodniczka. Pierwsze mistrzostwa Polski w 1921 r. wygrała wnuczka łódzkiego fabrykanta – Wiera Richterówna. Była też numerem jeden podczas pięciu kolejnych turniejów aż do roku 1927 (w 1923 r. turnieju nie rozegrano). W finałach spotykała się głównie z Dubieńską. Sama Dubieńska na swoje jedyne mistrzostwo Polski czekać

Od Jędrzejowskiej do Świątek



Iga Świątek w 2020 r. wygrała Roland Garros. W tym roku (na zdjęciu) zwyciężyła w turnieju w Adelajdzie

FOT. BRENTON EDWARDS/AFP/EAST NEWS

musiała do 1928 r., gdy w finale pokonała wschodzącą gwiazdę – Jadwigę Jędrzejowską (ta w tym turnieju w ćwierćfinale odprowadziła do domu Richterównę).

W międzywojennej Polsce tenisistki nadal grały ubrane na białą, choć stroje zaczęły być już wyraźnie krótsze. „Kostiumy tenisowe [...] od lat przechodzą ciągłą metamorfozę. Zdawało się już, że teren opanują w zupełności »shorty«, czyli krótkie spodenki, ale okazało się, że strój ten nie każdej odpowiada kobiecie. Dlatego też komponuje się sukienki, dość krótkie, aby umożliwiły swobodę ruchów na korcie” – pisano w czasopiśmie „Raz, Dwa, Trzy” w 1938 r. W prasie opisywano też projekty strojów dla kobiet – lekkich i przewiewnych sukienek do kolan z odsłoniętą szyją. Już wówczas pończochy, zwijane poniżej kolan, zaczęły wypierać skarpety zwijane przy kostce. Coraz częściej panie występowały też w długich spodniach. Prawdziwą nowością był daszek zakładany jako ochrona przed słońcem.

Od 1929 r. zaczęła się w Polsce era Jadwigi Jędrzejowskiej. To wówczas triumfowała po raz pierwszy w mistrzostwach kraju. I do wybuchu wojny żadna z pań nie była jej w stanie tego tytułu odebrać. „Gra ona już dziś znakomicie. Niezwykle mocny drive zarówno z prawej, jak i z lewej strony, doskonały plasing, szybki start do piłki, silny serwis, [...] niezłe początki gry przy siatce [...]”. Jeśli czego brak naszej młodej tenisistce na

zawodniczkę światowej klasy – to chyba tylko rutynę oraz opanowania nerwów” – pisano o jej grze w mistrzostwach Polski w 1930 r. w czasopiśmie „Start”.

„DŻADŻA”

Jędrzejowska na korcie pojawiała się... z biedy. Pragnęła pomóc rodzicom borykającym się z finansowymi trudnościami i na pobliskim AZS w Krakowie za grosze pomagała zbierać piłki. Sama grywała wówczas poza kortem, rakieta wystrugana z drewna przez ojca. Gdy w wieku 13 lat wstąpiła do AZS, traktowano ją z góry. Zawodniczki nie chciały grywać z nastolatką z ubożego domu. Trenowała z chłopcami.

Wkrótce potem rządziła już na krajowych kortach, a niebawem jej sława wykroczyła daleko poza rodzinny kraj. Od 1932 r. próbowała sił w Wimbledonie, przechodząc co roku do wyższej rundy. W końcu w 1937 r. zagrała w finale tej imprezy, gdzie w trzech setach uległa Brytyjce Dorothy Round (2:6, 6:2, 5:7). Jak ogromny był to sukces, najlepiej świadczy to, że zdołała go powtórzyć po dekadach dopiero Agnieszka Radwańska – pochodząca zresztą z tego samego miasta co międzywojenna sława.

W 1937 r. Jędrzejowska dotarła też do finału mistrzostw USA, gdzie przegrała z Anitą Lizaną. Dwa lata później była finalistką mistrzostw Francji (przegrała z Simone Mathieu).

Dalszą karierę „Dżadży”, jak mówiono o niej za granicą, przerwała druga wojna światowa. Nie skorzystała wówczas z oferty swojego byłego partnera tenisowego – króla Szwecji Gustava V, który umożliwił jej wyjazd z okupowanego kraju. Została i cierpiała okupacyjną biedę, pracując m.in. w fabryce obuwia. Po wojnie wróciła do tenisa i w kraju nadal znaczyła wiele. Sukcesu za granicą już jednak nie udało jej się osiągnąć.

„ISIA” I IGA

Późniejszy okres tenisowy jest pewną wyrwą w międzynarodowych sukcesach Polek. Dopiero po przemianach ustrojowych mogliśmy oglądać rodaczki z szansami na grę w finałach międzynarodowych turniejów. Do półfinałów rozgrywek WTA dochodziła w latach 90. Magdalena Grzybowska. Zdarzało się jej wygrywać z Venus Williams czy Conchitą Martínez. W 1998 r. była sklasyfikowana na 30. miejscu w rankingu WTA.

Polski tenis na wyżyny wyniosła jednak dopiero Agnieszka Radwańska.

Musielismy czekać dekady, by Polka powtórzyła wyczyn Jędrzejowskiej i zagrała w finale turnieju wielkoszlemowego.

„Isia” zagrała o wygraną Wimbledonu w 2012 r. Uległa jednak Serenie Williams. W Australian Open dwukrotnie docierała do półfinału (lata 2014 i 2016), a na Roland Garros była w ćwierćfinale (2013 r.).

Radwańska trafiła już w erę tenisa, podczas której z dawnych strojów została tylko biel, i to wyłącznie na Wimbledonie. W 1972 r. na US Open pozwolono bowiem graczom na kolorowe stroje. Od tego czasu panie grywają w najwyśmienitszych kreacjach. Amerykańska zawodniczka Anne White w 1985 r. na Wimbledonie wystąpiła w jednoczęściowym kombinezonie z lycry. Sędzia upomniał ją i nakazał na następny dzień rozgrywek zmienić strój na bardziej odpowiedni. W pozostałych wielkoszlemowych turniejach rozpoczęła się prawdziwa rewia mody. Venus Williams w 2010 r. na Roland Garros wystąpiła nawet w stroju z czarnej koronki, pod który włożyła bieliznę w kolorze ciała.

I choć Radwańska była nawet drugą zawodniczką rankingu WTA, to najważniejszą kartę historii polskiego kobiecego tenisa do tej pory zapisała Iga Świątek. W ubiegłym roku nie tylko dotarła do finału wielkoszlemowego French Open (pokonując po drodze m.in. Simonę Halep), lecz także ten finał z Sofią Kenin wygrała (6:4, 6:1). Nic dziwnego, że w 2020 r. WTA przyznało jej aż dwie z najważniejszych dorocznych nagród – WTA Fan Favorite oraz WTA Most Improved Player of the Year. Zyskała taką popularność, że w plebiscycie na sportowca roku wyprzedził ją jedynie Robert Lewandowski.

W tym roku Świątek zaczęła występować od australijskich turniejów, w tym od startu w Australian Open. Tam drogę do ćwierćfinału zasłoniła jej Halep, rewanżując się za ubiegłoroczną porażkę w Paryżu. Jednak już po chwili Iga udowodniła, że należy do ścisłej kobiecej tenisowej czołówki. Wygrała w Adelajdzie turniej z serii WTA 500, dając kibicom powód do czekania na kolejne występy w wielkim szlemie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem z:

„Tenis ziemny kobiet w Polsce w okresie międzywojennym”, Teresa Drozdek-Mańkowska, Akademia im. Jana Długosza w Częstochowie, 2011; „Jadwiga Jędrzejowska. Latająca Polka”, Sportowcydlaniepodleglej.pl.

Zatrzymać włóknienie



Katarzyna Pinkosz

Zapalenie płuc wywołane koronawirusem może skończyć się zgonem. Jednak równie groźne są też przewlekłe choroby płuc, które rozwijają się skrycie



Od 4 mln do 5 mln osób w Polsce choruje na astmę, 3 mln ma przewlekłą obturacyjną chorobę płuc (POChP), u 23 tys. rocznie rozpoznaje się raka płuca. Jednak problemem są też rzadsze, przewlekłe i postępujące choroby płuc. Trudno je rozpoznać, gdyż ich objawy są niespecyficzne i rozwijają się powoli. Nawet jeśli pacjent skarży się na złe samopoczucie, szybsze męczenie się czy duszność, to lekarz będzie raczej podejrzewał choroby występujące częściej, takie jak POChP czy niewydolność serca. Zwykle upływa wiele miesięcy, a nawet lat, zanim zostanie postawiona właściwa diagnoza.

BLIZNA W PŁUCACH

Jedną z takich podstępnych i trudnych do zdiagnozowania chorób jest idiopatyczne włóknienie płuc (IPF). – Tylko ok. 30 proc. chorych przeżywa pięć lat od diagnozy; w przypadku nowotworów gorzej rokuje tylko rak płuca i trzustki. IPF to choroba postępująca, nieuchronnie prowadzi do zgonu – mówi dr hab. n. med. Sebastian Majewski, profesor UM z Kliniki Pneumonologii Uniwersytetu Medycznego w Łodzi.

Przyczyna choroby nie jest do końca znana (stąd w jej nazwie słowo „idiopatyczne”). Prawdopodobnie u osób podatnych na zachorowanie z powodu uwarunkowań genetycznych dochodzi do

patologicznych procesów naprawczych w nabłonku pęcherzyków płucnych. W efekcie zaczynają one włóknieć (pojawia się tkanka przypominająca bliznę). – Czynniki ryzyka, prowadzącymi do powtarzających się mikrouszkodzeń nabłonka pęcherzyków płucnych, są m.in.: palenie papierosów, wirusowe infekcje dróg oddechowych, zanieczyszczenia powietrza, narażenie na wdychanie pyłów, ale prawdopodobnie także mikroaspiracje treści żołądkowej do płuc: wielu chorych na IPF ma refluks żołądkowo-przełykowy – dodaje prof. Majewski.

Gdy nabłonek pęcherzyków płucnych staje się blizną, nie mogą się one rozprężyć. Zmniejsza się ich pojemność, a chory coraz częściej odczuwa duszność: początkowo po większym wysiłku, potem po coraz mniej, a nawet gdy odpoczywa. Pojawia się też suchy kaszel. Choroba rozwija się skrycie, przez miesiące, a nawet lata. Najczęściej dotyka osób ok. 60.–70. roku życia, częściej palaczy papierosów (70 proc. chorych), którzy postępujące pogarszanie się tolerancji wysiłku fizycznego tłumaczą wiekiem („Tak musi być”) czy np. konsekwencją wieloletniego palenia papierosów bądź współistnieniem innych chorób przewlekłych takich jak: POChP, niewydolność serca. – Ze względu na niespecyficzne dolegliwości ponad połowa chorych na IPF ma początkowo rozpoznane inne schorzenie. Zwykle odwiedzają oni co najmniej

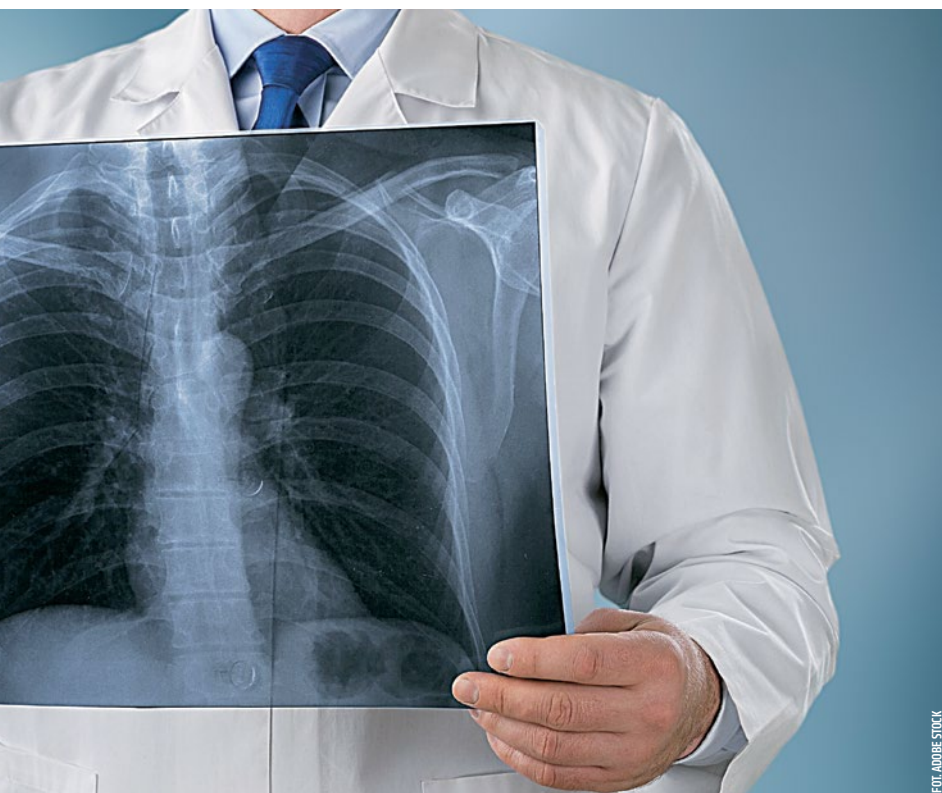
trzech lekarzy, zanim zostanie postawiona prawidłowa diagnoza. To dane europejskie, jednak w Polsce jest podobnie – mówi prof. Sebastian Majewski.

Szacuje się, że w Polsce na IPF choruje ok. 6–7 tys. osób, z których zdecydowana większość nie ma prawidłowo postawionej diagnozy.

LEKI: NIE DLA NAJCIEŻEJ CHORYCH

Przez wiele lat nie było leków hamujących postęp choroby. Sytuacja pacjentów poprawiła się dopiero niedawno, dzięki pojawieniu się dwóch nowoczesnych leków antyfibrotycznych (przeciwzwłóknieniowych). Obydwa są dostępne w Polsce w ramach tzw. programów lekowych.

Pojemność płuc stopniowo zmniejsza się wraz z wiekiem. To normalny proces fizjologiczny: zdrowy 60-latek traci rocznie ok. 30–40 ml pojemności życiowej płuc w związku z naturalnym procesem starzenia. Chory na IPF (który nie jest leczony) średnio traci rocznie ok. 200 ml pojemności życiowej płuc. Jeśli jest leczony, to o ok. połowę mniej. Leki antyfibrotyczne spowalniają tempo zmniejszania się pojemności płuc i przedłużają życie chorych na IPF. – Niestety, nie są dostępne w Polsce dla wszystkich chorych. Zapisy programów lekowych są dość sztywne, możemy oferować leczenie jedynie pacjentom, którzy spełniają określone kryteria.



FOT. ANDRZEJ STOLCK

Tych, którzy mają bardziej zaawansowaną chorobę, gorsze parametry czynnościowe płuc, nie możemy włączyć do leczenia – zaznacza prof. Majewski.

Stresujące dla chorych włączonych do leczenia są kontrolne oceny ich stanu zdrowia odbywające się co pół roku: jeśli w tym czasie pojemność życiowa płuc pogorszy się o 10 proc. lub więcej (istotna progresja choroby), to zgodnie z zapisami programów leczenie nie może być kontynuowane. – Takie są zapisy programów, mimo że są już wyniki badań świadczące o tym, iż w kolejnym półroczu pojemność płuc u pacjentów kontynuujących terapię wcale nie musi tak szybko spadać. Kontynuacja leczenia w tej grupie chorych powoduje, że żyją oni dłużej – dodaje prof. Majewski. Jeśli parametry czynnościowe płuc u chorego z potwierdzoną progresją choroby na jednym z leków antyfibrotycznych, po wykluczeniu go z programu lekowego, nadal kwalifikują go do programu z drugim lekiem, to może zostać do niego włączony. Jeśli nie, wówczas pozostaje bez leczenia hamującego postęp choroby, która zwykle gwałtownie przyspiesza.

Na początku 2020 r. ukazały się pierwsze polskie wytyczne diagnostyki i leczenia IPF. Eksperci na podstawie najlepszych dostępnych dowodów zarekomendowali w nich stosowanie leczenia antyfibrotycznego w szerokiej grupie

chorych na IPF, bez względu na wyjściowy stopień upośledzenia czynności płuc i stwierdzaną w trakcie terapii ewentualną progresję choroby. Zalecili aktualizację programów lekowych. Niestety, pandemia spowodowała, że przez rok niczego w tej sprawie nie zmieniono.

FAŁA COVID-19 WYŁĄCZA Z LECZENIA

Epidemia COVID-19 negatywnie odbiła się na pacjentach z rzadkimi chorobami płuc, w tym IPF. Wiele oddziałów pulmonologicznych zostało przekształconych w „COVID-owe”. W początkowym okresie wiele planowych wizyt było odwoływanych; często rezygnowali z nich również sami pacjenci, obawiając się zakażenia koronawirusem. – W naszym ośrodku to „zamknięcie” trwało tylko sześć tygodni. Rokowanie chorych jest bardzo złe, podobne jak w chorobach nowotworowych, dlatego uznaliśmy z dyrekcją szpitala, że musimy przywrócić wizyty planowe dla chorych z podejrzeniem IPF. W niektórych ośrodkach to „otwieranie” trwało jednak znacznie dłużej – mówi prof. Majewski.

Najbardziej ucierpiała diagnostyka. Z powodu ograniczeń wizyt osobistych w gabinetach lekarzy pierwszego kontaktu pacjenci nie otrzymywali skierowań do ośrodków pulmonologicznych; a nawet jeśli je otrzymywali, to często

zwlekali z przychodzeniem do lekarza, obawiając się zakażenia koronawirusem. – Największy dramat był między marcem a lipcem, nie mieliśmy w ogóle nowych pacjentów, których moglibyśmy włączyć do leczenia. Sytuacja nieco poprawiła się w czasie wakacji, kiedy było mniej zachorowań na COVID-19, jednak w trakcie „drugiej fali” znów było widać zmniejszenie liczby nowych chorych docierających do ośrodka. Od stycznia tego roku jest nieco lepiej, nie wiadomo jednak, czy sytuacja znów się nie pogorszy, gdy pojawi się „trzecia fala” pandemii. Prawdopodobnie znów przestaną pojawiać się nowi pacjenci – mówi prof. Majewski.

Choroba jednak nie czeka na koniec epidemii COVID-19, wciąż postępuje, a zmian, które zaszyły w płucach, nie daje się cofnąć. W dodatku jeśli choroba zostanie zdiagnozowana zbyt późno, to pacjent może już nie spełnić kryteriów włączenia do programów lekowych i stracić szansę na leczenie spowalniające postęp choroby. Dlatego eksperci apelują, by pacjenci – jeśli zauważają duszność i pogorszenie tolerancji wysiłku – nie zwlekali z wizytą u lekarza. Konieczne jest zdiagnozowanie przyczyny, a jedną z nich może być rzadka choroba płuc. Eksperci mają też nadzieję na szybkie zmiany kryteriów programów terapeutycznych, by dać szansę na leczenie chorym, którzy często docierają teraz do ośrodków w zaawansowanym stadium choroby.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Zadbać o płuca

Pojemność życiowa płuc rozwija się do ok. 18.–21. roku życia, po tym czasie stopniowo zaczyna się zmniejszać. Czynniki mające niekorzystny wpływ na pojemność płuc, to:

- palenie papierosów i wdychanie dymu tytoniowego (szczególnie niebezpieczne w okresie ciąży i w pierwszych latach życia dziecka);
- smog (w rejonach o dużym zanieczyszczeniu powietrza częściej rodzą się dzieci z mniejszą pojemnością płuc; są one też bardziej narażone na choroby płuc w późniejszym wieku);
- poród drogą cesarskiego cięcia;
- częste infekcje dróg oddechowych, zwłaszcza w pierwszych latach życia;
- nieleczenie (lub niewłaściwe) leczenie astmy i innych chorób układu oddechowego;
- niska aktywność fizyczna.



Z prof. Markiem Brzosko, krajowym konsultantem w dziedzinie reumatologii rozmawia Katarzyna Pinkosz

Gdy nie można złapać powietrza

KATARZYNA PINKOSZ: Sinienie palców rąk, nóg, twardnienie skóry, obrzęki – o takich pierwszych objawach opowiadają chorzy na rzadką chorobę, jaką jest twardzina układowa. Często przez wiele miesięcy chodzili od lekarza do lekarza, poszukując diagnozy. Tak trudno rozpoznać twardzinę?

PROF. MAREK BRZOSKO: Pod wpływem zimna lub np. stresu palce sinieją, bledną, a następnie czerwienieją; tym objawom towarzyszy silny ból – to tzw. objaw Raynauda. Pacjenci zwracają na niego uwagę, gdyż jest bardzo charakterystyczny. Gdy pacjent z takim objawem trafi do lekarza rodzinnego, powinien skierować go do reumatologa. Objaw Raynauda często jest pierwszym objawem twardziny układowej, ale nie zawsze jego pojawienie się oznacza właśnie tę chorobę. Poza tym nie występuje on u wszystkich chorych. Niektórzy pacjenci odczuwają takie objawy jak twardnienie skóry, obrzęki. Zmienia się też wygląd twarzy, wargi stają się mniejsze, wyostriża się nos, zanika bruzda na twarzy, pojawiają się pionowe zmarszczki wokół warg. To wszystko nie dzieje się nagle, cały proces może trwać nawet kilka lat.

U niektórych pacjentów choroba zajmuje także narządy wewnętrzne. Do wczesnych objawów należą bóle stawów, mięśni. W późniejszym okresie twardzina może uszkadzać nerki, układ

oddechowy, układ krążenia. Pojawia się wtedy osłabienie, duszność, pogorszenie wydolności fizycznej.

Jednak osłabienie, pogorszenie wydolności fizycznej to mogą być objawy wielu chorób?

Tak, dlatego jest tak duży problem z rozpoznawaniem twardziny układowej. To choroba rzadka: w Polsce ma ją ok. 5,4 tys. pacjentów. Niewielu lekarzy rodzinnych kiedykolwiek się z nią zetknęło. Czas od pierwszych objawów do postawienia diagnozy może trwać nawet kilka lat, zwłaszcza jeśli pacjent ma delikatne objawy albo zrzuca je na karb np. wieku.

To nie jest jednak tylko choroba osób starszych?

Najczęściej rozwija się ok. 40.–50. roku życia, choć zdarza się też u 20-latków, a nawet u dzieci.

Dlaczego częściej chorują kobiety?

Choruje kilka razy więcej kobiet niż mężczyzn; prawdopodobnie wpływ na to mają hormony kobiece, a także ciąża i procesy immunologiczne, które podczas niej zachodzą. Twardzina jest jedną z chorób autoimmunologicznych; organizm sam atakuje własne tkanki. Rozwija się powoli, skrycie. Często pacjenci bagatelizują objawy. Jeśli mają objaw Raynauda, to

prawdopodobnie pójść z tym do lekarza. Jeśli nie ma objawów skórnych ani silnych bólów stawów, lecz jedynie pojawia się gorsza tolerancja wysiłku, to pacjent się do tego adaptuje: np. unika chodzenia po schodach; jeśli może, to korzysta z windy.

Choroba skraca życie?

Tak, zwłaszcza jeśli atakuje układ oddechowy, a w płucach pojawiają się zmiany śródmiąższowe. Tak dzieje się u ok. 30 proc. chorych.

Zmiany śródmiąższowe: to znaczy?

Dochodzi do włóknienia tkanki płucnej. Przez to przy wdechu pacjent nie może nabrać wystarczającej ilości tlenu. Stąd duszność.

Jakie są szanse na zatrzymanie postępu zmian płucnych?

Twardzina to choroba postępująca. Są leki, które hamują jej postęp, jednak mają wiele działań niepożądanych, dlatego część osób nie może ich stosować.

Nie pomagają leki stosowane w astmie czy przewlekłej obturacyjnej chorobie płuc?

Nie, ponieważ tkanka płucna jest zwłókniała i nie może się rozprężyć. Chory nie ma czym oddychać. To okropne uczucie: duszność wywołuje niedotlenienie mózgu.



Chory, który nie może oddychać, jest przerażony, nie może złapać powietrza.

Dopiero niedawno jeden z leków stosowanych w chorobach śródmiąższowych płuc został zarejestrowany do leczenia zmian płucnych w twardzinie układowej. W Polsce jednak jesteśmy dopiero na początku procesu refundacyjnego, lek musi jeszcze ocenić Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji. Hamuje on rozwój zmian w płucach, a także nieco je cofa. Cieszymy się, że taki lek się pojawił, daje on bowiem nadzieję na poprawę sytuacji. Może przedłużyć życie chorych i poprawić jego jakość, zmniejszyć duszność. Życie z dusznością nie jest łatwe, a chory na twardzinę z czasem odczuwa duszność przy najmniejszym wysiłku.

Chorobą, która zabiera oddech, zajmują się reumatolodzy?

To rzadka choroba, lekarzowi rodzinemu trudno ją rozpoznać. Jeśli pacjent ma zmiany skórne i stawowe, to prawdopodobnie zostanie skierowany do reumatologa. Z rozpoznaniem choroby da sobie też radę pulmonolog. Jednak problem polega na tym, że pacjent często nie jest wysyłany do specjalisty, dlatego choroba jest rozpoznawana późno, gdy są już jej poważne powikłania. Zarówno

reumatolodzy, jak i pulmonolodzy zajmują się jej leczeniem.

Pacjenci z chorobami rzadkimi mieli problem z diagnozowaniem jeszcze przed epidemią COVID-19. A jak wygląda ich sytuacja w czasie epidemii?

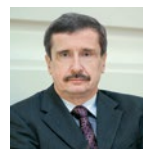
Zmniejszyła się liczba porad lekarzy rodzinnych, przez to mniej pacjentów zostało skierowanych do reumatologów i pulmonologów. Nie da się rozpoznać choroby na podstawie teleporady. Zdarza się, że sami pacjenci obawiali się przyjscia na wizytę do lekarza, ale też często nie dostawali skierowania od lekarza rodzinnego. W kwietniu i we wrześniu 2020 r. liczba porad reumatologicznych była o połowę mniejsza niż w analogicznym okresie 2019 r. Na pewno przełoży się to na pogorszenie stanu zdrowia osób niezdiagnozowanych.

Problemem jest też zbyt mała liczba lekarzy reumatologów. W całej Polsce jest ich tylko ok. 1,2 tys.; w niektórych przychodniach na wizytę trzeba czekać nawet dwa-trzy lata. Tymczasem im wcześniej twardzina zostanie rozpoznana, tym lepiej, gdyż proces postępowania zmian w płucach trzeba jak najszybciej zatrzymać.

Dla chorego z postępującym włóknieniem płuc zachorowanie na COVID jest śmiertelnie niebezpieczne?

Tak, jednak dotyczy to tych pacjentów, którzy nie są zdiagnozowani ani leczeni. Pacjenci reumatologiczni, którzy leczą swoją chorobę, nie chorują często na COVID, a jeśli nawet, to zwykle nie zawsze jest konieczny pobyt w szpitalu. Takie są dane z bazy EULAR (Europejskiej Ligi do Walki z Reumatyzmem). Nie potrafimy na razie wyjaśnić dlaczego; czy tak pracuje układ odpornościowy pacjentów reumatologicznych, czy to zasługa leków, które przyjmują. Faktem jest, że choroby reumatologiczne, w tym twardzina układowa, nie są wymieniane jako czynniki ryzyka hospitalizacji i zgonu z powodu COVID-19. Być może jest to wpływ samej choroby autoimmunologicznej i przyjmowanych leków, a być może „zasługa” tego, że ci chorzy tak bardzo boją się zachorowania, iż tak mocno się izolują...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Marek Brzosko –
jest kierownikiem Kliniki Reumatologii, Chorób Wewnętrznych, Geriatrii i Immunologii Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego, krajowym konsultantem w dziedzinie reumatologii, prezesem Polskiego Towarzystwa Reumatologicznego.

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Pomnik **męczeństwa** hetmana



JACEK KOMUDA

Około 9 km na południe od leżącego na terenie Ukrainy Mohylowa Podolskiego, za wsią zwaną Berezovca, na terytorium Mołdawii, znajduje się czworokątny pomnik. Oznacza on miejsce, w pobliżu którego w nocy z 6 na 7 października 1620 r. zginął hetman Stanisław Żółkiewski, zwycięzca spod Kłuszyna, zdobywca Moskwy, jednak w chwili śmierci sterany wódz rozbitej wyprawy do Mołdawii.



Pomnik
Żółkiewskiego
pod Cecorą
FOT. WIKIPEDIA

Kres życia hetmana był zwieńczeniem bitwy pod Cecorą i przebranej kampanii. Uprzedzając uderzenie tureckie, Żółkiewski wkroczył z armią do Mołdawii, stając po stronie proпольskiego hospodara Grazzianiego, zamierzając zdobyć strategiczne twierdze i przeprawy w południowej części księstwa. Rzeczywistość zweryfikowała te plany. Najpierw

zawiódł władca, który wprowadził wyciął poselstwo tureckie przebywające w Jassach, ale później uciekł i zawrócony przyprowadził do obozu hetmana zaledwie 600 jeźdźców. Zaskoczyli Turcy, którzy pod wodzą Iskendera paszy zgromadzili duże siły, składające się głównie z Tatarów. Ostaniec armia koronna założyła obóz w zakolu Prutu pod Cecorą (obecnie Tutora), gdzie poniosła klęskę. Wkrótce w obozie wybuchła panika, czeladź i lisowczycy ograbili namioty starszyny, część żołnierzy uciekła na własną rękę

do Rzeczypospolitej, pozostawiając hetmana z garścią wojska. Żółkiewski opanował jednak zamieszanie i zarządził odwrót ku granicom Rzeczypospolitej. Odwrót – ze względu na przewagę ordy, w szyku taborowym – osłaniający maszerujących żołnierzy rzędami wozów i kolas.

W ten sposób rozpoczął się morderczy przemarsz dokonywany głównie w nocy. W taborach brakowało paszy i żywności, często wody, Żółkiewski jednak uparcie przebił się spod Cecory na północ i odparł kolejne ataki Tatarów. 6 października tabor dotarł do wioski Saucy znajdującej się ok. 10 km. od Mohylowa. I tutaj właśnie doszło do tragedii. Hetman zamierzał maszerować bez odpoczynku do granicy, jednak na naleganie żołnierzy zgodził się na odpoczynek. W tym samym czasie, jak podaje Ryszard Majewski, część oficerów zażądała, aby przeprowadził rekwizycję wśród czeladzi i lisowczyków, odbierając tej hałastrze łupy zabrane z namiotów pod Cecorą. Żółkiewski odmówił, jednak zapowiedział przeprowadzenie rewizji i ukaranie rabusiów zaraz po przekroczeniu granicy. Miał to tragiczne skutki.

Natychmiast po rozpoczęciu marszu czeladź i swawolnicy, czujący już na karku ciężar katowskiego miecza, zaczęli wraz z wozami z łupem opuszczać tabor, kierując się bezpośrednio w stronę Dniestru. Inni rzucili się na rabunek, zaczęli chwycić i wyprzęgać konie od wozów, aby na nich uciec.

Tabor został rozerwany, w chaosie nikt nie słuchał Żółkiewskiego. Przy wodzu zostało ledwie 300 ludzi. Hetman wielki zsiadł z konia i przebił go szabłą, pokazując, że nie będzie uciekał. Razem z towarzyszami maszerowali na wschód – ku Dniestrowi.

Jednak już po kilku chwilach zostali zaatakowani przez Tatarów – grupa się rozproszyła, a przy Żółkiewskim pozostało już tylko kilku spieszonych rajtarów, Dönhoff, Złotopolski, Kurzawski i Silnicki. Abraham Złotopolski zrzucił wówczas z konia jakiegoś obłąkanego towarzysza husarskiego i wsadził na wierzchowca hetmana. Kiedy pojawiła się liczna grupa jeźdźców polskich, Żółkiewski zniknął między nimi. Nikt go już później nie widział, istnieje więc kilka wersji jego śmierci.

Nazajutrz znaleziono ciało hetmana w odległości ok. 5 km na południe od Mohylewa, a więc znacznie dalej na północ niż miejsce, w którym stoi pomnik; ciało 73-letniego wodza. Żółkiewski oddał życie w walce, miał odciętą prawą rękę, dwie rany na skroni i na piersi – co z kolei sugerowało, że zostały zadane przez jeźdźca. Inne wersje podają, że kazał zabić się swoim Kozakom z Baru albo sam szukał śmierci, wołając niż hańbę wodza, który zgubił wojsko Rzeczypospolitej. Iskender kazał odrąbać mu głowę i wystać sułtanowi. Józef Julian Sękowski podaje też wierszyk, który ułożył na tę okoliczność nadworny poeta padyszacha:

Głowa zawisła wysoko w złotym pałacu sułtana

Ten tylko może go spotkać honor na dworze Osmana.

Ciało odnaleźli później służby żony hetmana – Reginy, która wykupiła również głowę. Później ich syn Jan, pod osłoną swej chorągwi, postawił obelisk na kurhanie, w którym pochowano poległych. W 1868 r. został on zniszczony przez miejscowego prawosławnego diakona, który sprowadził się znaleźć tam skarby. Pomnik odbudowano w 1912 r. i odnowiono w 2003 r. staraniem polskiej ambasady i stowarzyszenia Wspólnota Polska. ©

I RZECZYPOSPOLITA

Mohylów

WIOSENNE GOŁĄBKI PAWŁA STASIAKA

Z wielką przyjemnością chciałbym zaproponować gorące danie – znakomite na wiosenne popołudnia i wieczory, sprawdzi się w okresie, kiedy jeszcze nie jest za gorąco. Jednocześnie nie jest bardzo ciężkim daniem dla naszego organizmu. No i wypełnia nam czas oczekiwania na świeże warzywa, które już niebawem powinny zagościć na naszych stołach w dużej ilości.

A danie to gołąbki z mięsem z piersi indyka.

Składniki:

- główka kapusty
- 1 kg filetu z indyka
- 400 g ryżu
- 2 jajka ekologiczne
- 2 duże cebule
- 2 łyżki masła klarowanego
- przyprawy: łyżka ziaren kminku, odrobina czarnuszki i oregano oraz szczypta płatków chilli, pieprz, sól, ziele angielskie, liście laurowe
- bulion warzywny

Przygotowanie:

Mielemy filet z indyka. Gotujemy ryż. Po ostygnięciu ryż i zmielone mięso mieszamy. W garnku gotujemy wodę i po zagotowaniu wkładamy do niego kapustę. Po ugotowaniu odcinamy zewnętrzne

liście kapusty i odkładamy do ostygnięcia. Cebulę przesmażamy na patelni z dodatkiem masła klarowanego. Dodajemy ją do zmielonego indyka. Doprawiamy pieprzem, kminkiem, czarnuszką, oregano i chilli, dodajemy surowe jajka i dokładnie mieszamy.

Na sparzonych liściach kapusty układamy nadzienie i zawijamy gołąbki. Na dnie garnka układamy kilka liści kapusty (żeby nam gołąbki nie przywarły) i na to układamy gołąbki. Zalewamy bulionem warzywnym, dodajemy liście laurowe, ziele angielskie i kminek. Gotujemy ok. godziny.

Po ugotowaniu gorące wyjmujemy i bezpośrednio serwujemy na talerzu lub w miseczce. Jeśli ktoś lubi jakieś smakowe sosy, to zawsze można je dodać, ale ja preferuję naturalny smak tego dania, łączącego łagodnego, wręcz aksamitnego indyka z chilli, oregano, kminkiem i czarnuszką.

Życzę smacznego! ☺☺

oprac.
raw

Paweł Stasiak jest piosenkarzem, liderem zespołu Papa D (dawniej Papa Dance).



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Forever young

Miniserialem HBO „Allen kontra Farrow” to dokument opowiadający o sprawie molestowania przez Woody’ego Allena adoptowanych przez Mię Farrow dzieci. Dotychczas wyświetlono dwa odcinki z czterech. Nie będę odnosić się do głównej kwestii, myślę, że wielbiciele filmów Allena, do których się również zaliczam, zmieniają stosunek do reżysera po obejrzeniu tego serialu...

Jedną z głównych narratorek filmu jest Mia Farrow, aktorka, lat 76, była żona Allena. Zagrała w kilkunastu jego filmach oraz w licznych filmach innych reżyserów. Matka licznej gromadki własnych i adoptowanych dzieci. W serialu widzimy prześliczną Farrow z dzieciństwa – pochodzi ona z rodziny aktorskiej, gdzie – jak widać – amatorskie filmy kręcono już w latach 50., kiedy w Polsce mało kto słyszał o przenośnej kamerze. Potem widzimy ją w czasach szczytu kariery, w latach 70. i 80. Prześliczna dziewczyna o wielkich niebieskich oczach, blond włosach, drobnych rysach. Sam wdzięk i urok dziewczęcej sylwetki.

Głównie widzimy ją jednak teraz – kobietę siedemdziesięcioletnią. Wciąż ładna, twarz bez zmarszczek, gładka jak u 30-latki. Tylko oczy... Te cudowne, niegdyś wielkie oczy są teraz zepchnięte w głąb twarzy. Lifting (czy tylko jeden?) nadał im także lekko skośny kształt. To oczy charakterystyczne dla twarzy po liftingu. Nie tylko ich kształt i położenie się zmieniły, lecz także całkowicie zmienił się



wyraz twarzy. Ta twarz bez zmarszczek, ale pozbawiona wyrazu. Obca twarz.

Nie wątpię, że Mia Farrow zrobiła zabieg u renomowanego lekarza; z filmu wynika, że kłopoty finansowe nie są jej problemem. Czy sama jest świadoma swojej metamorfozy? Czy inne kobiety, które poddały się podobnemu zabiegowi, wiedzą, jak teraz wyglądają? W Hollywood operacje plastyczne są przecież obecnie jak manikiur. Robią je rutynowo mężczyźni i kobiety. W środowisku aktorskim nie dać się chirurgicznie odmłodzić, uchodzi za godne potępienia zacofanie cywilizacyjne. Rezultaty tych zabiegów są różne – czasem dobre, niezmieniające rysów i wyrazu twarzy, czasem katastrofalne, tak jak w przypadku nieszczęsnej Bogumili Wander, prześlicznej niegdyś prezenterki telewizji, której zniekształcona niemal karykaturalnie twarz stała się twarzą obcej osoby.

„Starzeć się z godnością”? Nie wiem. Może tak, może nie. Medycyna kokietuje możliwościami, świat wokół wymusza wieczną młodość i urodę. Można skorzystać. Ale czy wiadomo, jaka jest stawka? ☺☺



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Ballada fryzjerska

Kiedy poznawałem moją żonę ładnych parę lat temu, miała fryzurę jak Uma Thurman w „Pulp Fiction”. I podobnie jak ona była brunetką. W takiej kobiecie się zakochałem, taka mi się śniła, taka po prostu była i nie spodziewałem się, że może być inna.

Po jakimś czasie kobiecie mego życia fryzura się znudziła. I ciach – ścięła włosy. Niby była ta sama, ale jednak zupełnie inna. Dziwnie się czułem. W głowie wciąż miałem tę babkę z włosami jak Uma Thurman, ale kiedy się rano budziłem, leżała obok mnie dziewczyna ostrzyżona nieomal na jeża. Długo mnie to zaskakiwało. Długo nie mogłem się do tego przyzwyczaić.

Ale w końcu coś pyknęło mi w głowie. Pewnego dnia obudziłem się i wcale się nie zdziwiłem. Widok był swojski i normalny. Co więcej, podobał mi się. Także wtedy, kiedy włosy troszkę odrosły – w ślad za trendami stylistycznymi – acz nadal z męskiego punktu widzenia pozostawały krótkie. Tymczasem wokół pojawiała się coraz więcej kobiet z krótkimi włosami. Wiele moich koleżanek chesało się w ten sposób, więc nie była to ekstrawagancja, ale dość głęboko osadzona i długotrwała moda. No więc ja z typowo męskim opóźnieniem do tej mody się dostosowałem.

Wtedy moja żona brunetka stała się blondynką. A ja już byłem w tym wieku, że akceptacja zmian nie przychodziła mi zbyt łatwo. Kurczę, zakochałem się w zielonookiej

brunetce, a tu nagle żyję ze złotowłosą. Jakże tak? Tym razem jednak przystosowałem się szybko. Nigdy nie kręciłem z żadną blondynką, widywałem je tylko z daleka, więc uznałem, że super – wszak faceci wolą blondynki, więc dostałem bonus od losu. A właściwie od żony. Łatwo poszło. I daleko. Znow – jak za czasów Umy Thurman – miałem kanoniczny obraz mojej już wówczas żony. Tym razem była to krótkowłosa blondynka.

Lecz gdzieś tak ze dwa, trzy lata temu, wszystkie moje krótkowłose koleżanki zaczęły obrastać. Widać, gdzieś ktoś tam w Paryżu czy Nowym Jorku przekręcił wajchę, uznając, że epoka krótkich fryzur dobiegła końca. Trend w końcu dotarł i do naszego domu. – Zapuszczam – dramatycznie oznajmiła pewnego wieczora moja żona, a deklaracja nie przyszła jej łatwo. Co innego bowiem ściąć w kilka minut u fryzjera, a co innego miesiącami mozolnie zapuszczać, kiedy w okresie przejściowym wygląda się tak sobie. Ale kości zostały rzucone.

No i teraz mnóstwo moich znajomych wygląda trochę jak amerykańscy gliniarze z filmów z lat 70. ubiegłego wieku. Przy czym okres przejściowy już przeszedł i chyba dotarliśmy do efektu końcowego. Tak właśnie ma być. A ja niestety nie nadążam. Przez lata przyzwyczajałem się do krótkich włosów, a kiedy je wreszcie zaakceptowałem i pokochałem, mam wykonać w tył zwrot i ruszyć w drogę powrotną. Jak dla mnie to za szybko. Ale dam radę. ©©



MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Inkwizycje stare i nowe

Tak, przyznaję – sy-piałam w dawnym więzieniu inkwizycji dla duchownych, którzy dopuścili się przestępstw. Rankiem budził mnie przenikliwy dźwięk największego w Hiszpanii, 18-tonowego dzwonu w Toledo. Myłam zęby, gapiąc się przez okno na detale Bramy Lwów, czyli bocznego wejścia jednej z najpiękniejszych katedr świata chrześcijańskiego. Schodziłam na śniadanie do wnętrza dostępnych niegdyś tylko kanonikom katedralnym. Pod drewnianymi belkami stropu z XV w. zasypiałam i budziłam się z myślą: „Niech żyje Christianitas!”.

Bo dzięki niemu ja – ochrzczona na wschodzie Polski – wchodziłam do katedry Królów Katolickich bez kompleksów, umiając „czytać” to, co wyrzeźbiły dłuta i wymalowały pędzle mistrzów. To uniwersalizm katolicyzmu podarował wehikuł czasu, dzięki któremu i królowa Izabela, i jakaś Wołczyk pięć wieków później wiedziały, dlaczego zginają kolana przed ołtarzem.

Ten cud umyka hordom rewolucjonistów, których uwiera piękno, którego nie rozumieją. I dlatego chcą zburzyć cywilizację, pozwalając ludziorom oddalonym w czasie i miejscu trzymać się za ręce i miejsu trzymać się za ręce ponad głowami pokoleń i z jednakową nadzieją spoglądać w niebo.

Dlatego mam słabość do katedr. Zwiedziłam ich mnóstwo od Włoch do Portugalii, ale tylko tę w Toledo

opuszczałam eskortowana przez strażników. Oczywiście, że byłam niewinna! Poświęciłam się dla dobrej sztuki i schowałam się po mszy św. w pewnej niszy. Pisałam wtedy długi esej o „Błudniery w katedrze” i potrzebowałam w spokoju przyjrzeć się sławetnym, nieprzystojnym płaskorzeźbom na chórze. Zdradziła mnie elegancja. Gdybym pomykała po posadzce w adidasach, a nie na obcasach, strażnik nie nakryłby mnie w niecodziennej pozycji z głową wsadzoną za kraty. Gwardziści odprowadzili mnie tylko do drzwi, a nie do lochu, ciesząc się zapewne, że intruz w katedrze nie okazał się zamachowcem ISIS, a tylko nieszkodliwą wariatką. I to w Toledo poznałam się i rozmach pedagogiki wstydu, którą serwowano już wtedy Hiszpanom, a którą także nas karmi się od paru lat. Współpracowałam wtedy z jedną z galerii w Toledo, rysowałam dla niej rysunki tuszem. Któregoś dnia się zbuntowałam: „Dlaczego zawsze muszę rysować elementy sztuki sefardyjskiej (dziedzictwa po Żydach) albo mudejarowej (po muzułmanach), a nie wasze cuda architektury chrześcijańskiej?”. „Bo turysta woli kupować pamiątki niezwiązane z katolicyzmem” – odpowiedział chłodno szef. „Ale czemu wy się tak wstydzicie swoich korzeni, skoro schrytynizowaliście pół świata?”. „No właśnie – powiedział szef – i tego nam nigdy nie wybaczą”.

Nam, Polakom, nie wybaczą zaś trwania w wierności. ©©



ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Rewolucja kulturalna

Fundacja Billa i Melindy Gatesów wsparła ostatnio przygotowanie dla amerykańskich szkół podręcznika dla nauczycieli matematyki. Jego celem jest pomoc w walce z objawami „supremacji kultury białego człowieka podczas lekcji matematyki”. Owe objawy występują np. wtedy, gdy nauczyciel każe uczniom pokazać wyniki ich obliczeń czy rozwiązań zadanych problemów w formie pisemnej. Według nowego podręcznika tego rodzaju wymaganie umacnia niebezpieczny kult słowa pisanego (pisma) oraz tendencje paternalistyczne: „requiring students to show their work reinforces worship of the written word as well as paternalism”. Co zatem wolno? Można np. proponować uczniom, by zamiast rozwiązywać równania, uczyć się tych wszystkich cosinusów i tangensów (to przecież słowa białego człowieka!) – ujawnili swoje matematyczne zdolności, tworząc filmiki na TikToku (chińska aplikacja internetowa, pozwalająca na wysyłanie krótkich materiałów wideo) albo też komiksy nawiązujące do matematycznych procedur. Departament oświaty stanu Oregon wydał podobną instrukcję, której celem jest poprawienie równości w matematyce.

W matematyce nie chodzi o równania, chodzi o równość, a tę narusza uprzywilejowanie białej rasy. To trzeba wyeliminować. Trzeba zatem zrezygnować z nacisku na prawidłowe odpowiedzi. Okazuje się on właśnie przejawem niebezpiecznej dominacji myślenia białego człowieka (w oryginale to

brzmi lepiej: „toxic characteristic of white supremacy culture”). Nauczyciele muszą przejść kurs w dziedzinie „math equity” – równości w matematyce. Matematyka nie jest obiektywna – jest kulturowo uwarunkowana. Należy to ujawnić poprzez skupienie się na „etnomatematyce”, która pozwoli „zidentyfikować i przezwyciężyć sposoby, w jakie matematyka jest używana do podtrzymywania poglądów kapitalistycznych, imperialistycznych i rasistowskich”. „Etnomatematyka” jest najbardziej zaawansowana w okręgu szkolnym w Seattle. Jej obowiązkowe kursy prowadzą tam specjaliści trenerzy, certyfikowani przez Google i Apple. Czy dodawanie i odejmowanie to tylko płytko ukryte sposoby pozabawiania niezachodnich kultur ich godności za pomocą rasistowskiej matematyki? W centrum edukacji matematycznej musi być postawiona kwestia rasy i opresji społecznej, dominacji i przywilejów. I tak już się dzieje na uniwersytetach amerykańskich najbardziej zaawansowanych w dziedzinie emancypacji. Pomysł proletariackiej matematyki nie został zrealizowany jak dotąd nawet w Korei Północnej. Wydaje się jednak, że może się udać, pod nową, rewolucyjną nazwą w szkole amerykańskiej.

To oczywiście tylko mały przykład wojny kulturowej, która toczy się w Ameryce i w całym tzw. świecie zachodnim w sposób widoczny od 1968 r. i nasila się w ostatnich kilku latach, przebijając kolejne granice agresji i absurdu. Agresję widzieliśmy w czasie manifestacji związanych z ruchem Black Lives Matter – niszczenie pomników (m.in. Waszyngtona, Jeffersona, Kościuszki, Churchilla), oczywiście obok masowego wandalizmu ulicznego. Potem zobaczyliśmy jej początki w Polsce – pod hasłem „wyp.....ać”. Absurdy tymczasem niszczą szybko, coraz skuteczniej, życie akademickie – jak widać, już nie tylko na wydziałach tzw. nauk społecznych czy humanistycznych.

„Reforma Gowina” w Polsce pomoże niewątpliwie doganiać te amerykańskie standardy. Dokąd zajdziemy z etnomatematyką? Jakie szczyty zdobędziemy dzięki niepowstrzymanej emancypacji? Pokazuje te możliwości tzw. cancel culture, czyli forma agresji skierowanej przeciw tym, którzy myślą inaczej, ostracyzm, bojkot ludzi myślących inaczej, niż nakazują podręczniki z Seattle, czy zarządzenia cenzorskie takich firm jak Twitter czy Facebook.

Hasłem oświecenia było wezwanie z tekstu Kanta: „Sapere aude!”. Odważ się być mądrym. Teraz okrzyk emancypacji brzmi inaczej: „Nie waz się myśleć!”. Słuchaj rozkazów, które płyną ze sztabów rewolucji kulturalnej. To zjawisko, inspirowane przez tę samą ideologię, która napędza dzisiejszą katastrofę Zachodu – czyli przez marksizm – już znamy. To rewolucja kulturalna w Chinach komunistycznych. Zaczęła się w maju 1966 r. od kampanii walki przeciw „czterem starym rzeczom”. Stare idee, kulturę, obyczaje i tradycje próbowano wykorzenić metodami, jakie dziś podejmują, jeszcze nieśmiało, emancypatorzy w Ameryce i w Polsce. W Chinach walka z „feudalnymi przeżytkami” w nauce, kulturze i życiu codziennym doprowadziła do zniszczenia setek tysięcy bezcennych zabytków, do prześladowania i upokarzania milionów ludzi, zwłaszcza ludzi myślących. Kiedy po latach tych „eksperymentów” kraj stanął nad przepaścią, szczęśliwie dla Chin zmarł przewodniczący Mao, a pragnąca kontynuować rewolucję kulturalną „banda czworga” została aresztowana i osądzona. Dzięki temu zdrowemu odruchowi chińska cywilizacja ocalała. Chiny są dziś potęgą. Jaką? Wystarczy zobaczyć dokończoną właśnie inwestycję: biegnącą przez Karakorum (góry sięgające 8 tys. m) autostradę Chiny-Pakistan. Co pomoże nam zbudować etnomatematyka – poza kulturą samonienawiści? ©





Wojciech Cejrowski
korespondencja
z USA

PIZZA DO ODŚNIEŻANIA

Zamówiłem pizzę. Do-
wieźli. Odbieram, daję
napiwek, a ten chłopak
z pizzerii podziękował,
ale tak jakoś dziwnie wygląda
i nie idzie sobie. Za mało
dałem czy co? Przy pizzy
wartej dwóch piątka napiwku
to nie jest za mało...

– Szepaszam Pana, nie
powinienem, no ale... jest taka
sprawa...

Kryguje się, jakby mi coś
rozwalili na podjeździe – po-
myślałem i aż wyjrzałem, czy
nie wałnął w moje auto. Nie
wałnął, ale...

– A gdzie jest twoje auto,
chłopcze? – pytam zdziwiony,
bo nigdzie nie widać żadnego
samochodu poza moim. – Pie-
chotę przyszedłeś czy co?

– No właśnie, szepaszam
Pana, ale, czy tego? Czy by
mnie Pan mógł podrzucić do
mojego auta? Jakąś miłą, może
więcej. Zniosło mnie z drogi
i już nie mogłem się cofnąć. No
to przyniesłem tę pizzę pieszo,
a tera trza, by mnie wciągnąć
linką z powrotem na drogę.

Oczywiście pomogłem mu.
Najpierw zjedliśmy tę moją
pizzę, zanim wystygła, a potem
pojechaliśmy do jego auta. Cały
czas – i przy jedzeniu, i w trak-
cie jazdy – miałem poczucie
winy, że naraziłem chłopaka na
takie kłopoty.

Zamówiłem sobie tę pizzę
nie dlatego, że jakoś szcze-
gólnie lubię pizzę. Chodziło
bardziej o ich reklamę: DO-
STARCZYMY WSZĘDZIE. (I ZA-
WSZE.) Skoro tak się chwala,
to postanowiłem ich wyko-
rzystać do sprawdzenia, czy
szlak przejezdny. Spadł śnieg,
a tu u nas na prerii śnieg pada
bardzo rzadko. Średnia roczna
dwa centymetry, ale rozło-
żone w czasie. Jeżeli w nocy
poproszę, to po śniadaniu

znika i śladu nie ma. Co roku,
owszem, mamy na początku
lutego odpowiednik polskiej
zimnej Zośki, ale to oznacza
mrozy bez śniegu. I wte-
dy zdarza się szklanka, bo
w dzień mży, a nocą mrozek
i jeżeli z okazji zimnej Zośki
ten mrozek nie znika dwa dni,
to jest gruba afera.

Miejscowi siedzą wtedy
w domu i czekają. A ty, przy-
byszu z północy, gdybyś chciał
jechać po zakupy, to nie jedź, bo
co z tego, że dokładnie wiesz, co
robić na lodzie i śniegu i jak wy-
prowadzić auto z poślizgu, co
z tego, że TY jeden wiesz, skoro
nikt inny na tej drodze nie wie.
Oni po prostu tańczą autami –
jazda figurowa, a jednocześnie
wałą w siebie nawzajem, czyli
wrestling; sam nie wiem, jak to
nazwać, ale to niebezpieczne.
Ich pierwsza reakcja na poślizg
to ostre hamowanie, więc kręcą
piruety na środku autostrady –
przed czymś takim nie
ucieknieś.

Dlatego gdy na naszej
prerii leży śnieg lub gdy zrobi
się szklanka, siedzę w domu,
nie wychodzę, a potem, zanim
wyjdę, wolę sprawdzić, czy już
po wszystkim. No i w tym celu
zamówiłem pizzę – żeby mi
dostawca przetestował drogę.
Przetestował, zniosło go
z drogi, zarył nosem w wirze
prerii – czyli wiem, że jeszcze
ślisko i zanim lód wyparuje,
trzeba poczekać.

Oni nawet tego nie wiedzą,
że lód paruje i nie trzeba
czekać na roztopy. O sublima-
cji (parowanie wprost z lodu)
nie mają pojęcia, a jakby im
powiedzieć, że mokre pranie
wywieszzone na mróz wysy-
cha, to zabiją śmiechem. Oni
uważają, że ubranie zamarz-
nie i można połamać spodnie
jak chipsy.

Zabrałem chłopaka od
pizzy moim autem. Jedziemy,
a on pyta:

– Jak pan to robi? Jakież
inne opony?

– Po prostu nie hamuję, gdy
się ślizgamy.

– Tylko co?

– Ślizgam się.

– Ale nie spadamy z drogi.

– Bo się ślizgam prosto. Tak
samo jak dzieci na zamrażni-
tej rzece. Da się do pewnego
stopnia utrzymać kierunek
prosty. Gorzej ze skręcaniem.

– Gdzie się pan tego na-
uczył?

– Na zamrażniętym
jeziorze. Najpierw na butach,
a potem Ojciec trenował mnie
z poślizgów autem.

– E?

– Gdy była porządna zima
i mrozy trzymały miesiąc, na
naszym jeziorze były wyjeź-
dzone drogi. Ludzie skracali
sobie dystans i furmankami
do kościoła jechali na szago
przez jezioro. Droga przez las
była dłuższa i trudna, zaspy,
a po jeziorze jak po stole.

– A nie baliście się, że się
zarwie?

– To sprawdzali rybacy.
Wiercili przeręble, żeby ryby
miały czym oddychać. To
trochę pomaga, ale kiedyś
i tak przyszła taka przyducha,
że pod lodem pływało pełno
trupów i potem z 10 lat nie
było ryb. Wydusiły się. No ale
ja nie o tym. Rybacy wiercili
przeręble i wtedy było widać,
jaki to lód. Gruby i porządny
czy kruchy. Leży na wodzie
i się opiera czy pod spodem
pusto i może się załamać.

– Ojciec uczył pana pośli-
zgów autem na jeziorze?!

– Na Alasce pewnie ludzie
robią to samo.

– I pan się nie bał?

– Ufałem Ojcu, ufałem
wujkowi rybakowi. To był

przedwojenny Mistrz Rybac-
twa Śródlądowego i na ścianie
miał dyplom podpisany przez
prezydenta Rzeczypospoli-
tej. Mieliliśmy wtedy garbusa.
Wjeżdżaliśmy na jezioro
i ślizgaliśmy się w sposób
kontrolowany.

– A policja?

– Zaczepili nas tylko raz,
we wsi, i powiedzieli, żeby
tego nie robić, bo wlepią
mandat. Ojciec im na to, że
przepisy ruchu drogowego
nie obowiązują na wodzie,
podobnie jak nie obowiązują
na pustej łące. Ale następnym
razem, gdy ćwiczyliśmy
poślizgi, Ojciec zawiesił z tyłu
garbusa koło ratunkowe,
a mnie kazał założyć kamizelkę
pływacką. Na drzwiach napisał
pastą do zębów ORP „Garbus”.
I jeszcze mi coś powiedział,
od czego poczułem się bardzo
dorosły. Kazał nie powtarzać
Mamie, bo miałem wtedy
może dziewięć lat. Powiedział
mi tak: – To teraz mamy ich
wszystkich w dupie, synku.
I ślizgamy się po jeziorze naszą
małą jednostką. A kiedyś może
też wyślizgamy cały ten ich
komunistyczny system opresji,
gdzie nic nie wolno.

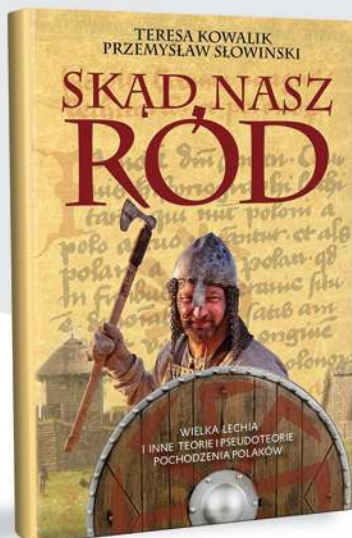
Opowiedziałem tę historię
moim Chrześcianom i oni
oczywiście też chcą, żeby
ich kiedyś zabrał na jezio-
ro ćwiczyć poślizgi autem.
Zabiorę. I na pamiątkę mojego
świątecznego Ojca (z fantazją,
której ja mam tylko mały ka-
wałek) wymaluję na drzwiach
napis: ORP „Stachu”. I też będę
musiał powiedzieć chłopcom
to, co mi powiedział Ojciec:
Tylko nie powtarzajcie Ma-
mę. I też będziemy mieli ich
wszystkich w dupie, cały ten
współczesny system opresji.
I nadzieję, że kiedyś go wyśli-
zgamy. ©

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~830~~zł

**W PREZENCIE
KSIĄŻKA**

T. KOWALIK, P. SŁOWIŃSKI
„SKĄD NASZ RÓD”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

292,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 544zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 6d32a41529

stop.
cafe

BUDZI APETYT NA ŻYCIE


ORLEN

NOWOŚĆ



Twoje śniadanie na ciepło!

Dostępne na wybranych stacjach ORLEN, o ofertę zapytaj sprzedawcę.